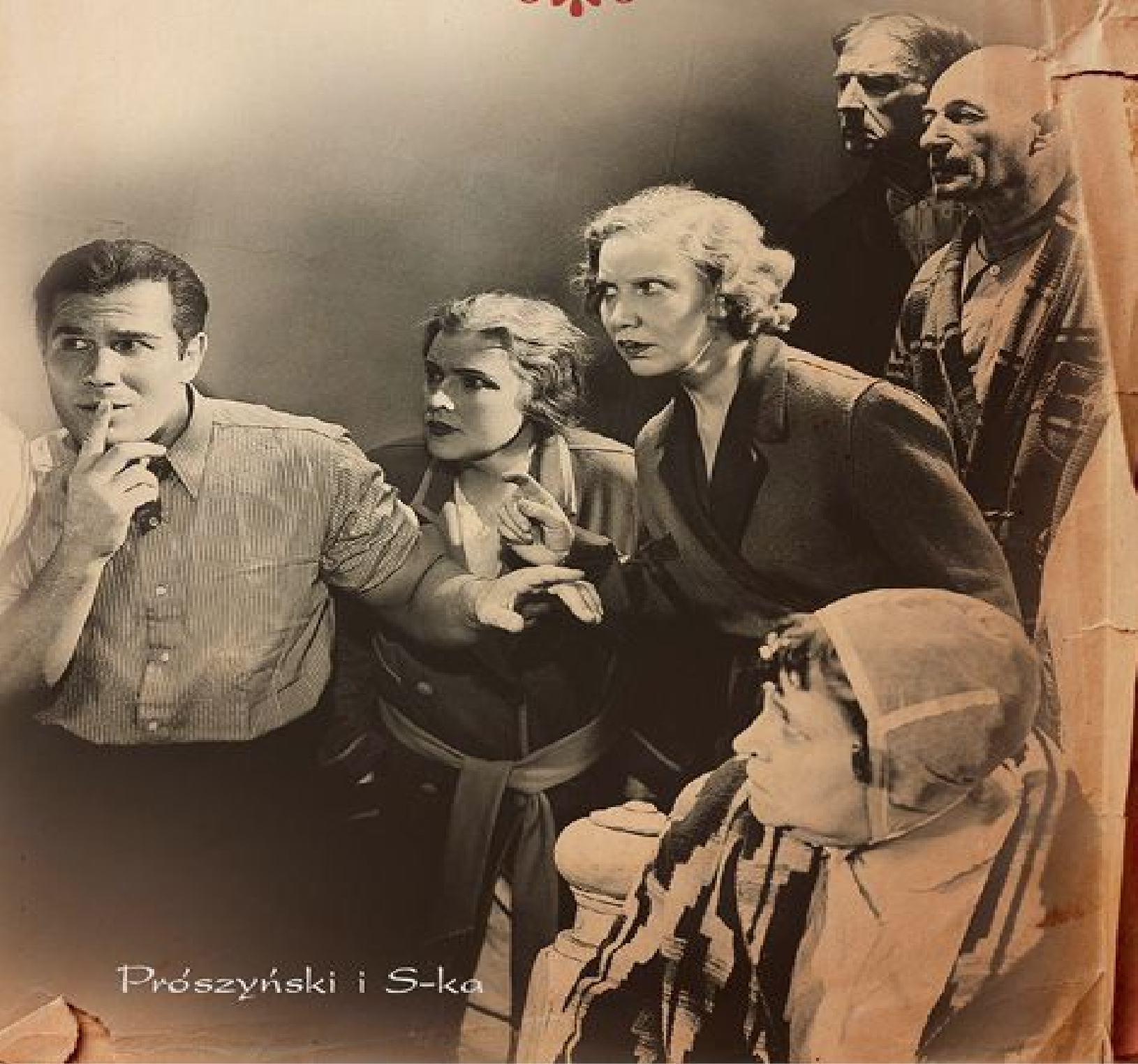


JOANNA SZWECHŁOWICZ



OSTATNIA WOLA



Prószyński i S-ka

JOANNA SZWECHŁOWICZ



OSTATNIA WOLA



Prószyński i S-ka

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz
www.panczakiewicz.pl

Zdjęcia na okładce
Everett Collection/Shutterstock
Vitaly Korovin/Shutterstock

Redaktor prowadzący
Anna Derengowska

Redakcja
Joanna Habiera

Korekta
Maciej Korbasiński

ISBN 978-83-8069-677-8

Warszawa 2015

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Piątek, 30 grudnia 1938

POCIĄG RELACJI POZNAŃ–ZBĄSZYŃ, PIĄTA PO POŁUDNIU

Postanowiłam umrzeć w sylwestra. Doktor nie pozostawił mi żadnych złudzeń. Zawsze ceniłam go właśnie za szczerość. Teraz też się nie obrażam i wyrok przyjmuję ze spokojem. Rak wątroby. Wiem, wszyscy czekacie, aż „sprawa w końcu się rozwiąże”. Ta diagnoza poprawi wam więc humor (nie obruszaj się, Wando).

Nawet świątobliwy Aleksander zapewne uważa, że powinnam umrzeć choćby po to, by uciąć spekulacje. Zgadzam się. Przeżyć dziewięćdziesiąt pięć lat, dwa zawały i trzech mężów to jednak pewna nieprzyzwoitość. Teraz postanowiłam z tym skończyć. Sama wybiorę czas i miejsce, nie pozwolę, by o moim losie decydowała fizjologia.

Dlatego zapraszam was na piątek, trzydziestego grudnia i proszę, byście zarezerwowali sobie czas do pierwszego popołudnia nowego roku. Wieczorem odbędzie się uroczysta kolacja. W sobotnie południe odczytam moją ostatnią wolę. Będzie z nami pan Wasilewski, doktor prawa. Wszystko z nim uzgodniłam, niechaj więc nikt nie próbuje później podważać testamentu. Skandal i tak wystarczająco was skompromituje. Zwłaszcza osobę, która otrzyma mój majątek niemalże w całości. Wszyscy będą podejrzewać ją o to, że wykorzystwała słabą na umyśle starszą panią i ukradła pieniądze krewnym.

Zatem umrę w sobotę, a potem proszę mi wyprawić ateistyczny pogrzeb, uronić kilka łez, ale bez przesady. Dobry Boże, mam przecież prawie sto lat! Niech nikt się nie waży zamawiać mszy i urządzać pogrzebu z księdzem. Aleksandrze, nie próbuj żadnych ostatnich namaszczeń! Sześćdziesiąt lat moja noga w kościele nie powstała, więc trupa też nie dostanę. Jedna msza, a będę was straszyć po nocach. Zenonie, wiem, że lubisz zdobywać odpusty w imieniu zmarłych krewnych, ale zapewniam, że Kościół nie przewidział aż tak hojnych odpustów, które mogłyby zapewnić zbawienie mojej skromnej osobie. Samobójstwo też raczej w tym nie pomoże.

Sprawa jest prosta, ktoś z was przywita rok 1939 jako mój szczęśliwy spadkobierca. A pozostali obejdą się smakiem. Majątek nie będzie ani nagrodą za cnotę (to dopiero byłoby głupie!), ani nawet kaprysem starszej pani (to już lepiej). Gdy sprawa się rozstrzygnie, wierzcie mi, zauważycie w tym logikę.

Dla porządku dodam, że obawiam się, iż nowy rok nie okaże się szczęśliwy nawet dla ludzi bogatych. Niektórzy z was są zbyt młodzi, by uwierzyć w groźbę kolejnej wojny – zakładacie, że wszystkie złe rzeczy już się wydarzyły i służą temu, by zapełniać podręczniki historii. Cóż, naiwność jest przywilejem ludzi pozbawionych rozumu. Nie da

się jednak ukryć, że nawet w czasie wojny lepiej być bogatym niż biednym, więc spadkobierca skorzysta.

Piątkowy pociąg z Poznania odchodzi o czwartej. Ze stacji w Zbąszyniu zabiorą was sianie albo samochody, w zależności od pogody i mojego nastroju, czy też będzie romantyczny, czy nowoczesny. Zawiozq was do Janowca. Nie, nie możecie przybyć własnym pojazdem. Nie, nie możecie zabrać ze sobą towarzystwa. A kto z zaproszonych nie przyjedzie, niech na nic nie liczy.

Wasza ukochana ciotka
Wirydianna Korzycka

I dopisek na dole: *List numer 6*

Nic więcej, nawet uprzejmego „do zobaczenia”. I żadnego nagłówka, jakiegoś „drodzy krewni”, „szanowni państwo”, czegokolwiek. Zaimki małą literą, oczywiście. Zasady dobrego wychowania nie obowiązują bogatej dziedziczki, milionerki z pałacu. List pisany na maszynie. Na dole ten numer. Jakby to nie był list, ale służbowe polecenie z urzędowej kancelarii.

Była pewna, że ciotka Korzycka planowała zabawić się ich kosztem. Może nawet symulowała chorobę i pociągnie jeszcze co najmniej dziesięć lat. To byłoby w jej stylu. Przeżyła już dwóch swoich siostrzeńców, którzy nie zobaczyli ani złotówki z legendarnego majątku barona Korzyckiego.

Nina Kwiatkowska westchnęła ciężko, złożyła list i wrzuciła go do brązowej wysłużonej torebki. Przymknęła oczy. Była bardzo zmęczona. Pociąg stukał po szynach w równym rytmie, za oknem przesuwał się monotony krajobraz, ośnieżone domy i lasy, co jakiś czas małe miasteczko lub wioska... W głowie panny Kwiatkowskiej kłębiło się jednak zbyt wiele myśli, by mogła pójść w ślady starszego pana, który podróżował w tym samym przedziale i od kilku minut głośno pochrapywał.

Jednym z siostrzeńców, którzy nie doczekali śmierci ciotki, był ojciec Niny. Narobił masę długów, zwodząc wierzycieli nieokreślonymi wizjami spadku po baronowej. Potrafił się przedstawić jako jej ukochany krewny, mimo że Korzycka zaszczyciała go swoim zainteresowaniem raz na kilka lat. Potem zmarł na wylew w jakiejś podrzędnej spelunie i zostawił gromadę rozwścieczonych wierzycieli. Dopiero niedawno spłaciły z matką ostatnie długi.

Osiem lat! Osiem lat Nina pracowała jako sekretarka w firmie Mertel i S-ka, porzuciwszy wcześniej studia na anglistyce po pierwszym roku. Przez osiem lat jeden płaszcz, dwie sukienki i jedna para butów. Korzycka doskonale wiedziała o ich kłopotach – o czym ona nie wiedziała? – ale nie pomogła. Teraz Nina była zmęczoną życiem starą panną bez wykształcenia.

Popatrzyła spod półprzymkniętych powiek na ciotkę Wandę. Ta bez przerwy się kręciła i trajkotała z błogim uśmiechem, jakby u kresu podróży czekał na nią spóźniony prezent bożonarodzeniowy. Jej egzaltowany słowotok był nudny i powtarzalny. Wszystkie te frazy i spostrzeżenia Nina znała już na pamięć, dzięki czemu tylko uprzejmie kiwała głową, wzdychała i rzucała znaczące spojrzenia w odpowiednich momentach, ale słuchać nie

musiała.

Wanda Jarecka miała pulchną figurę, pięćdziesiąt lat i męża na cmentarzu już od prawie ćwierć wieku. Nie można jej było zarzucić niczego konkretnego, prócz tego, że była męcząca i pretensjonalna. To oczywiście nieładnie – nie lubić kogoś dlatego, że łączy zieloną bluzkę z czerwoną spódnicą, dużo mówi i zachowuje się jak pensjonarka. W swoich wywodach Wanda często gubiła wątek, by – po dziesiątkach wtętoństw i uwag – niespodziewanie do niego wrócić. Nina miała zawsze wyrzuty sumienia wobec ciotki, co sprawiało, że usilnie starała się być dla niej miła. A efektem tego przymusu była jeszcze większa niechęć do krewnej.

Cieężko było na jej widok udawać radość na dworcu. Niełatwo podróżować razem w przedziale drugiej klasy. Ale najtrudniej było słuchać jej idiotycznych teorii.

– Moja droga, sprawa wydaje się prosta. Majątek dostanie któraś z osób, o których ciotka wspomniała w liście. Bezpośrednio. Aleksander, Zenon albo ja. Tak działa podświadomość, o której ostatnio czytałam. Ciotka podczas pisania myślała o swoim spadkobiercy. Które z nas? Najbardziej lubi Aleksandra, wiem. To wnuk jej siostry, a wiadomo, że linia żeńska jest bardziej pewna. Nie mówię, że kogoś o coś podejrzewam, ale... sama wiesz, jaki jest świat. Nie można ręczyć za czyjeś prowadzenie się. A już ciotka podobne kwestie musi doskonale rozumieć.

Westchnęła, jakby ta wiedza była niezwykle przytłaczająca. Wzdychanie stanowiło jedną z nielicznych rozrywek w jej wdowiej egzystencji. Obok pieczenia ciastek, niesporów i obserwacji bliźnich.

– Ale to zakonnik – dodała, znów wzdychając. – Majątek dostałby się Kościołowi. Wyobrażasz to sobie? Niemożliwe. Prędeż utopiłaby pieniądze w Warcie, a pałac kazała zburzyć. Chcesz karmelka? Nie? Powinnaś więcej jeść, wyglądasz jakoś – wybaczone – trupio. Zenona nie szanuje i uważa go za leniwego bigota. Ale on jest synem jej ulubionego brata, tego, który się utopił z miłości. Piękna historia. Tak, tak... – Z westchnieniem spojrzała na sufit przedziału, jakby przywoływała opatrność na świadka. – Może on? Jeśli nie, zostaje ostatnia możliwość. Ja. Nie wiem dlaczego... może ciotka docenia moją szczerłość, naturalność, dobre serce? Czasem jestem zbyt egzaltowana, ale dwulicowości zarzucić mi nie sposób. Może pod koniec życia baronową zmęczyły fałsz i obłuda, których pełno wokół? To miałyby sens, prawda?

Nina machinalnie pokiwała głową.

– Tak, zapewne. Ale jest jeszcze Tadeusz, najmłodszy. Wnuk brata, czyli też bliskie pokrewieństwo. Moim zdaniem to będzie ciocia albo on.

Skłamała. Miała świadomość, że Korzycka lubi nabierać ludzi, budząc w nich płonne nadzieje. Baronowa uśmiełaby się z rozważań Wandy. Majątek niewątpliwie przeznaczony na jakiś cel dobroczynny, absurdalny i szalony, aby nawet po śmierci zrobić całej rodzinie na złość.

Nina czuła coraz większe zmęczenie. Żeby zdążyć na pociąg, musiała wyjść wcześniej z pracy. Firma Mertel i S-ka nie tolerowała takich wyjść, ale panna Kwiatkowska uznawana była za najlepszą z sekretarek, więc w drodze wyjątku po tygodniu próśb udzielono jej łaskawej zgody. Pod warunkiem, że odrobi te dwie godziny i przyjdzie wcześniej. Dlatego Nina wstała dziś o czwartej rano, po prawie bezsennej nocy, i wzięła

walizkę do pracy. Potem ze względów oszczędnościowych zrezygnowała z tramwaju i biegła ze Starego Miasta na dworzec, ślizgając się po oblodzonych chodnikach. Chciała wsiąść do trzeciej klasy, ale skoro ciotka Wanda jechała drugą...

– Nino, słuchasz mnie? Nie masz gorączki? Zadbaj o siebie, dziewczyno. Ciekawa jestem, czy zaprosiła Urszulę Klimt. Jeśli tak, to zapytam ją, co dalej z hrabianką Mioduszewską...

– Pewnie ją zabiła. Ona zabija najładniejsze kobiety. Widać ma taką potrzebę.

Mówiąc to, panna Kwiatkowska gwałtownie poderwała głowę, która przed chwilą zaczęła jej opadać na pierś. Organizm domagał się snu, ale temat hrabianki Mioduszewskiej był miłą odskocznią. Ciotka Wanda lubiła jednak bardziej meandryczny tok rozmowy. Uśmiechnęła się pokrzepiająco.

– Zmęczona? Przepracowujesz się. Powinnaś znaleźć męża. Jesteś przecież ładną, miłą dziewczyną. Włosy masz przepiękne, choć ja osobiście wolę blond, ale niebieskie oczy i brązowe włosy to nie jest najgorsze zestawienie. Musiałabyś trochę przytyć, żeby biustu dostać. – Obciągnęła swoją opiętą bluzkę. – I rumieńców jakichś, ale ogólnie jesteś całkiem... Myślisz, że zabiła? Dlatego nie lubię powieści w odcinkach. Jeden kaprys, głupi list do redakcji, i po dziewczynie. Człowiek się przywiąże i potem na lodzie zostaje. Teraz do głowy mi przyszło, że Urszula dwa odcinki rozwodziła się nad pochodzeniem i dzieciństwem hrabianki... W jakim celu? Po co tyle pisania, skoro od razu zabiła biedaczkę?

– Wierszówka, ciociu. Płacą jej za ilość, nie za jakość – machinalnie odpowiedziała Nina, hamując ziewanie. – Dlatego co kilka stron przypomina, że ktoś ma irytujący głos albo dziwacznie się ubiera... Jakby czytelnik cierpiał na demencję. Ale może to słuszna strategia. Większość ludzi to przecież idioci.

Ciotka pokiwała głową, wpatrując się w krajobraz za oknem.

– Lubię śnieg, ale w takiej ilości może być kłopotliwy. Zwłaszcza tam, na wsi. Co myślisz o moim kapeluszu? Nie jest zbyt niepraktyczny na wieś? Tak, pewnie masz rację. Píše dla pieniędzy. Na tym polega jej praca. Ale ja nie lubię tak myśleć o sztuce. Przecież to nie kaletnictwo czy zajęcie w biurze. Tu potrzeba dużej wrażliwości. Urszula tworzy piękne historie, niemożliwe, żeby tylko dla zarobku...

Tu wydała z siebie dwa westchnienia. Tym razem natury ogólnej, by podkreślić problem materializmu rządzącego światem, a zwłaszcza osobami pracującymi dla pieniędzy.

Nina nie podchwyciła mało subtelnej uwagi o swojej posadzie sekretarki. Ciotka posłała jej zawiedzione spojrzenie.

– W przyszłym roku powinnaś wyjść za mąż – skonkludowała niespodziewanie. – Tkwisz w zawieszaniu. Mąż, nawet nieidealny, jakoś nas, kobiety, dopełnia. To jest ważna decyzja i warto ją podjąć, póki jeszcze masz wybór i kapitał. Kapitał względnej młodości i urody, moja droga.

Znaczące spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że jej zdaniem kapitał Niny stopniowo się wyczerpuje.

– Muszę obiektywnie przyznać, że już lepiej być wdową, niż wcale za mąż nie wyjść – powiedziała autorytarnie ciotka. – Nieboszczyk z biegiem lat wydaje mi się coraz zacniejszym towarzyszem życia. Oj, nie unoś tak brwi. Byłym towarzyszem, z perspektywy

czasowej, ten twój puryzm językowy jest męczący. I zostawił mi pewne fundusze, skromne, ale dające oparcie. Zdecydowanie najlepiej zrobisz, szukając męża. Bez zwłoki.

Ciotka zawiesiła głos, jakby oczekiwała podziękowań za tak cenne rady, które zakończą problemy Niny raz na zawsze. Kwiatkowska nie zamierzała reagować, więc znowu przymknęła oczy. Zastanawiała się, co też sąsiad z przedziału myśli o swoich towarzyszkach podróży. Korciło ją też, by zapytać ciotkę, ile odziedziczyła po puryzmie językowym.

Siedzący obok nich starszy człowiek w bardzo porządnym płaszczu i w okularach na nosie nie myślał o żadnej z pań ani o ich ewentualnym zamążpójściu. Chyba miał swoje zmartwienia, o których próbował zapomnieć, przeglądając papiery i odchrząkując co jakiś czas. Często opuszczał przedział, by wrócić po kilku minutach. Panie uznały jego zachowanie za ekscentryczne, a ciotka nawet posłała mu napominające spojrzenie, które nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Gdy jednak w pewnym momencie poczuł na sobie zaciekawiony wzrok panny Kwiatkowskiej, pod siatką zmarszczek zakwitł wyraźny rumieniec.

W znacznie lepiej ogrzonym wagonie klasy pierwszej podróżnych było niewielu. Kilka przedziałów wydawało się zupełnie pustych. Dlatego kolejny podróżny, łysawy mężczyzna z torbą lekarską i skromnym bagażem, mógł bez przeszkód wybierać przedział, za najwygodniejszy uznawszy na koniec ten z numerem cztery. Bardzo zależało mu na parzystej liczbie. Parzystość i symetria przynosiły szczęście. Przynajmniej jak dotąd.

Przedział obok zajmowała elegancka para, śliczna brunetka na oko przed trzydziestym rokiem życia i przystojny blondyn. On, wysoki, wysportowany, w typie angielskiego dżentelmena lubiącego grać w krykieta. Ona, średniego wzrostu, zgrabna, o niezwykle regularnych rysach twarzy, zwracała na siebie powszechną uwagę już na dworcu. Na świat patrzyła wielkimi szafirowymi oczami, od czasu do czasu lekko przygryzając różowe wargi. Jej spojrzenie było trochę nieobecne, choć nie z powodu romantycznej natury – powinna nosić okulary, ale próżność jej na to nie pozwalała.

Po zajęciu miejsca odmówiła zdjęcia etoli. Wyciągnęła smukłe francuskie papierosy i już chciała poprosić mężczyznę o ogień, ale się zmiętkowała.

– Nie pasuje. Tak myślę.

Jej głos dziwnie zafalował, łagodniejąc i ścisząc się stopniowo, jakby sprawdzała jakość mikrofonu. Mężczyzna włożył bagaże na półkę.

– Jesteśmy złym małżeństwem, mój drogi – przypomniała mu, gdy chciał zająć miejsce obok niej. – Jest to związek bez przyszłości. Choć nie z mojej winy, oczywiście.

Towarzysz podróży wzruszył ramionami i usiadł w przeciwległym rogu przedziału. Zasłonił się płachtą „Kuriera Poznańskiego”. Nie czytał jednak, lecz pogwizdywał melodię znaną im obojgu.

*It don't mean a thing if it ain't got that swing,
It don't mean a thing, all you got to do is sing,
It makes no difference if it's sweet or hot,*

Brunetka wzruszyła ramionami, a potem odwróciła głowę do okna. Nie, chyba nie była tak silna i mądra, jak sądziła jeszcze tydzień temu. Czują, że zawiedzie. Spojrzała jeszcze raz na mężczyznę, przygryzając mocno wargi, na których pojawiła się krew.

Dwa przedziały dalej siedziały trzynastoletnia panienka i jej matka. Obie ubrane były dziwnie, ale zachowywały się w sposób zdradzający zamożność oraz pewność siebie. Dziewczynka miała na sobie narciarskie spodnie i gogle, który to strój uznała prawdopodobnie za najwłaściwszy w czasie wielkopolskiej zimy. Na wieszaku wisiał jej barani kożuch. Matka podróżowała w pumpach i sznurowanych oficerkach. Do tego dobrała workowaty szary sweter. Płaszcz, futra ani kożucha najwidoczniej nie wzięła. Być może te części garderoby spakowała do jednej z podróżujących z nimi waliz.

Mimo całej oryginalności strojów pasażerki nie zdołały ukryć bardzo kształtnych figur, gęstych, ściętych krótko blond włosów i dużych niebieskich oczu. Wyglądały jak zamożne Niemki. Zauważył to ciekawski młody człowiek, przechodzący korytarzem wagonu pierwszej klasy. Mruknął do siebie: – Oto i czystej krwi Aryjki na wakacjach zimowych. Zdrowie fizyczne gwarancją zdrowia moralnego obywateli III Rzeszy. – Następnie zawstydził się tych słów, tak głupio zabrzmiały w pustym korytarzu, i zrezygnował chwilowo z planowanego zwiedzania pociągu.

Przepuścił w korytarzu starszego pana z melancholijną miną. Wycofał się do swojego przedziału klasy pierwszej, gdzie usiadł i zaczął obgryzać paznokcie lewej ręki. Na prawej nie było już niczego do obgryzania.

– Znasz, Basiu, tego pana? – Matka zwróciła się do córki, gdy młody człowiek odszedł.

– Jakiego pana? Nie zauważyłam. Ograniczona widoczność – wyjaśniła młoda osoba, ściągając sobie gogle z czoła na oczy.

– Ćwicz spostrzegawczość. Zajrzał tutaj i coś mruknął. To prawdopodobnie Tadeusz Radzinowicz. Ma... jakieś dwadzieścia pięć... może sześć lat. Studiował zapewne prawo, to u nich tradycja rodzinna. Widziałam go ostatnio dawno temu. Oczy ma takie same i buzię dziecięcą. Tylko urósł i zaczął się golić.

W odpowiedzi gogle powędrowały na czoło.

– Dobrze, mamu, zapamiętam – młoda osoba przybrała ton wzorowej skautki. – Tadeusz Radzinowicz. Kolejny krewny, którego nie znam, ale powinnam poznać, co uczyni moje życie bogatszym i pełniejszym.

Zrobiła dramatyczną pauzę.

– Boże, jestem przekonana, że nikt z klasy nie ma gorzej ode mnie! Wręcz nikt z całej szkoły. Oprócz stypendystek. One siedzą na tych swoich Szmulkach i jedzą gęsinę. Tak, wiem, nie wolno wyśmiewać się ze stypendystek, bo one wszystko własną pracą, a ja jestem uprzywilejowana... i tak dalej. To jest właśnie przykład owych przywilejów, inni szusują na nartach i setnie się bawią, a ja spędzę ostatni dzień roku ze starcami, w leśnych ostępach.

Matka uśmiechnęła się uprzejmie, kiwając nogą w takt jej słów, jakby zadowolona, że jej

dziecko ma tak bogate słownictwo. Basia już dawno zauważyła, że jest to osoba całkowicie pozbawiona empatii i zrozumienia. Cóż, każdy musi nieść swój krzyż. Jej akurat trafiła się matka bez serca.

– To jeszcze raz, po co my tam jedziemy? Dlaczego mamy siedzieć w jakiejś dziurze, zamiast świętować w Zakopanem albo chociaż Warszawie? Omija nas najlepsza zabawa w roku! Równie dobrze mogłybyśmy ten czas przespać. Dlaczego więc?

Ten dialog miały doskonale przećwiczoney.

– Wiem, że Zakopane jest ciekawsze dla młodej osoby, ale doprawdy pora już, abyś poznała swoich krewnych – odpowiedziała Urszula spokojna jak podręcznik mądrego macierzyństwa. – Znasz ojca Aleksandra, to znaczy poznałaś go, kiedy jeszcze nie był zakonikiem. Miałaś dwa lata, więc nie pamiętasz. Odwiedził nas w Warszawie, gdy... zresztą nieważne. I ciotkę Wandę też znasz. Ale rodzina jest znacznie większa. Warto, żebyś zrobiła dobre wrażenie. Zachowuj się przyzwoicie. Nie musisz chodzić w sukienkach, w końcu ja też nie chodzę, ale bądź miła dla wszystkich. To w większości sympatyczni ludzie. Lepiej utrzymywać kontakty z rodziną, tym bardziej że ja nie jestem wieczna, a życie potrafi zaskakiwać... Poza tym w pałacu ciotki spodziewam się znaleźć inspirację. To oryginalny dom, a baronowa jeszcze bardziej. Wprost idealne tło dla moich historii. Pamiętaj, z tego żyjemy. Radzimy sobie, chociaż twój ojciec zaniedbuje swoje obowiązki. Dlaczego sobie radzimy?

– Gdyż kobieta powinna być samodzielna. Samodzielna i samowystarczalna...

Matka pokiwała głową z aprobatą.

– ...jak te twoje bladolice bohaterki o sarnim spojrzeniu.

Rzuciwszy słowa w przestrzeń, Basia buntowniczym ruchem znowu założyła gogle na oczy. Urszula Klimt wyjęła zaś papierośnicę.

– Urszula, zgnębiona podszeptami bezdusznego otoczenia, popadła w czarną melancholię – obwieściła panna scenicznym szeptem. – Ciąg dalszy nastąpi.

Korzystając z okazji, że był sam w przedziale numer cztery, Ignacy Neumann wyjął podręczne lusterko i w dziwacznym skłonie oglądał sobie czubek głowy. Brakowało na nim włosów. Było ich mniej niż zaledwie miesiąc temu. Ignacyłysiał. Nawet gdyby odziedziczył cały majątek po ciotce Korzyckiej, to i tak byłby łysym bogaczem. Dziewczęta wychodzą za takich wyłącznie dla pieniędzy, a ludzie rzucają złośliwości za plecami. Był wysoki i dobrze zbudowany, ale cóż... Łysina dyskwalifikuje, widział to w oczach panien (a nawet wdów i mężatek) nie raz.

Nina udała na dworcu, że go nie zauważyła. Stojąc przy kasie, ziewnęła kilka razy. Zapewne po to, by zasłonić twarz. A może naprawdę go nie widziała? Oczywiście kogoś takiego jak on się nie dostrzega, nawet jeśli czegoś się od niego oczekuje. Co innego Robert. Na niego każda kobieta zwróci uwagę. I każda chętnie by za niego wyszła.

Ignacy wiedział, że prędzej czy później będzie musiał się skonfrontować z Robertem. Wyłowił go z tłumu już na peronie. Po co właściwie Robert tu przyjechał? Był zamożny, nie potrzebował łaski ciotki. Może i miał długi, ale zapłaciła je matka. Lub wkrótce zapłaci.

Właściwie Ignacy też nie potrzebował spadku. Świetnie sobie radził w szpitalu.

Zapewniał siostrze wysoki poziom życia. Jednakże Anny ciotka nie zaprosiła. Ciekawe, dlaczego siostra nie miała szans na spadek. Czyżby on miał większe? Przecież baronowa go nie lubiła. Wyśmiewała się z niego. A on pospieszył na jej wezwanie jak ostatni głupiec. Doktor medycyny wybrał się w podróż, aby zostać świadkiem samobójstwa. Doprawdy, kuriozalna sytuacja.

Patrzył na swoją lekarską torbę. Dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Dzięki niej wszyscy wiedzieli, kim jest. On także potrzebował takiego zapewnienia.

Ignacy westchnął i postanowił się zdrzemnąć.

Na twardej ławce wagonu klasy trzeciej siedział ojciec Aleksander Herbst. Miał niewiele miejsca na swoje długie nogi, więc ich drętwienie postanowił zadedykować Janowi Apostołowi. Patronowi inwalidów, szczególnie bez kończyn.

Czuł się nieswojo. Tak samo nieswojo czułby się w wagonie klasy pierwszej (burżujstwo) i drugiej (drobnomieszczaństwo). W trzeciej wiedział, że jest wstrętnym hipokrytą udającym prostotę i skromność zakonną. Nie ma chyba przedziału odpowiedniego dla benedyktyna, mruknął pod nosem. I znowu próbował zrobić coś z nogami. Na próżno.

Żaden z licznych podróżnych obserwujących zakonnika nie podejrzewał jednak, co też chodzi mu po głowie. Przez dziesięć lat spędzonych w stanie duchownym nauczył się ukrywać swoje myśli. Wiedział też, że człowiek w habicie zawsze przyciąga ciekawskie spojrzenia. Powinien więc świecić przykładem, nawet jeśli drętwieją mu nogi.

Teraz też dobrotliwie rozmawiał z pulchną panią trzymającą na kolanach małą córeczkę. Dziecko ciamkało czekoladkę, brudząc siedzenia i współpasażerów. Ojciec Aleksander patrzył na dziewczynkę ze szczerym zainteresowaniem; jadła i brudziła, a czekolady nie ubywało.

Cały czas się przy tym zastanawiał, co też go podkusiło, aby wyruszyć w tę bezsensowną i męczącą podróż. Czyżby łudził się, że dostanie spadek po baronowej? Ciotka Korzycka nie darzyła go wielką sympatią, a sugestię w liście zrobiła w sobie tylko wiadomych celach. Pieniędzy zakonnikowi nie zapisze. Rzecz oczywista. Przez kilka lat po wstąpieniu do klasztoru nie zaszczyciła go ani jednym listem, słowem ani spojrzeniem, ani razu nie odpowiedziała na życzenia świąteczne. Potem nagle sobie o nim przypomniała. Co nie oznaczało wcale, że może liczyć na spadek. Podejrzewał, że ciotka nikogo nie chce niczym obdarować.

Ojciec Herbst nie był jednak spragniony ciekawych przeżyć. Kilka miał za sobą; z perspektywy czasu doszedł do wniosku, iż nie były mu do szczęścia potrzebne. Ludziom często się wydaje, że ich spokojna egzystencja jest nudna. A potem, proszę, seria perturbacji i człowiek tęskni za cichym listopadowym popołudniem w towarzystwie kota.

Z zamyślenia wyrwało Herbstowi pojawienie się długiej, chudej postaci. Dawno nie widział Tadeusza, ale od razu go poznał. Byli podobni: wysocy, smukli, zielonoocy i ciemnowłosi o lekko smagłej cerze. Herbst wyglądał jednak przy tym zdrowo i rześko, a jego krewny robił wrażenie chorowitego i nerwowego.

Ojciec Aleksander był oczywiście znacznie starszy – w tym roku skończył czterdzieści lat. W ciemnym habicie wydawał się jeszcze dłuższy i chudszy. W dokumentach widniało:

„Znak szczególny – blizna na prawej ręce”. Czysty eufemizm, gdyż cała ręka była blizną. Znak szczególny pochodził z czasów na tyle odległych, że zdołał wymazać je z pamięci.

– Rozumiem, że praktykujesz ascezę, ale bardzo chciałbym z tobą porozmawiać. Przeszedłem cały pociąg, żeby zaprosić cię do mojego przedziału. Pierwsza klasa. Mam dwa bilety, gdyż moja towarzyszka zrezygnowała w ostatniej chwili. – Uśmiechnął się lekko, jakby towarzyszka zrobiła coś, czego od dawna się spodziewał. – Mama dostała zaproszenie, ale nie pochwała moich wyborów życiowych.

Herbst pożegnał się z towarzyszami podróży. Przeszli do przedziału Tadeusza.

– Znacznie wygodniej – stwierdził z zadowoleniem zakonnik, moszcząc się na obitym pluszem siedzeniu i z ulgą wyciągając nogi. Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął kilka orzechów włoskich. – Nawet ogrzewanie działa. Orzeszka?

Tadeusz pokręcił głową.

– Co o tym wszystkim sądzić? – bezceremonialnie przeszedł do meritum. – Ciotka zaprasza nas wszystkich, żebyśmy się pokłócili o spadek? Albo nawzajem się pozabijali, eliminując konkurencję? Boże, orzechy tak jednym ciosem rozbijasz? Widzę, że dobrze was karmią w tym zakonie... Ale wracając do tematu, myślisz, że mamy większe szanse, skoro jesteśmy krewnymi jej, a nie któregoś z mężów? Gdyby to była normalna, przepraszam, zwyczajna staruszka, można byłoby wyciągnąć takie wnioski. Ale baronowa zaprosiła przynajmniej jedną osobę z rodziny każdego męża i nas ze swojej własnej, więc sugeruje, że chce grać uczciwie i wybrać spadkobiercę. Ale przecież zgodnie z prawem nikomu nic się nie należy. To jej majątek osobisty. Każdy z wybranków był pantoflarzem i zapisał wszystko ukochanej małżonce. Zastanawiam się, co też ona wymyśliła. Gdzie jest klucz? Dlaczego na przykład ja? Sam bym sobie nic nie zapisał, niestety.

Zaczął się śmiać, ale po kilku sekundach śmiech przeszedł w kaszel. Po chwili wypluł coś w chusteczkę. Spojrzał na Aleksandra kpiąco, jakby chciał zasugerować, że choruje ot tak, dla żartu i doprawienia szczyptą ryzyka swojej urzędniczej posady w ambasadzie.

– Baronowa planuje zapewne jakąś nieprzyzwoitą rozrywkę – kontynuował. – Może będziemy się pojedynkować? Ścigać którymś z tych wielkich samochodów? Rozwiązywać szarady? A to wszystko w strojach z czasów jej młodości. Przepraszam, zapędziłem się... Miałem taki dziwny sen, w którym śpiewamy pieśni wielkopostne, a ciotka wybiera, kto zaśpiewał najgorzej. Zwycięzca, czyli najgorszy wokalista, otrzymuje spadek.

Ojciec Aleksander uśmiechnął się i wyjął kolejnego orzecha, którego skorupę rozbił równie zręcznym ruchem co poprzednio. Był trochę próżny i lubił, gdy ludzie zwracali uwagę na jego krzepę. A im był starszy, tym bardziej spragniony pełnych podziwu spojrzeń i komplementów.

– Mnie także przyszło do głowy coś podobnego. Odcięty od cywilizacji dwór w leśnej głuszy, umierająca bogata krewna... Eksperyment typowy dla ciotki. Co zrobimy? Zwycięzy przyzwoitość czy chęć zysku? A przede wszystkim: kto się stawia? Kto uzna, że nie chce brać udziału w zabawie? Mój list miał numer dziewięć. Przeszedłeś cały pociąg? Kogo jeszcze widziałeś?

– Ignacego Neumanna, tego lekarza. Nie wiem, jak zdołał skończyć medycynę, jest nieprzyzwoicie tępy. Ogląda sobie głowę w lusterku. Oj, tak, podpatrzyłem, on mnie zawsze frapował. Prowincjusz z ambicjami. Kogo jeszcze widziałem? Od drugiego męża...

jak on się nazywał? Jarczak? Jarecki? Z jego rodziny zaprosiła tę pisarkę, Urszulę Klimt, z córką. Ładniutka dziewczynka, choć zdaje się, że wychowawczo kłopotliwa. Siedzi w jakimś kasku na głowie. Znasz Urszulę, wiem, wszyscy słyszeli tę historię... miałbyś teraz żonę pisarkę. To musi być straszne, artystki są nieznośnie chimeryczne, chodzą w spodniach i obgryzają paznokcie...

– Chyba nie znasz wielu artystek. Urszula to piękna kobieta...

– Ale w spodniach chodzi... Z rodziny drugiego męża widziałem też Wandę Jarecką. Dobrze się trzyma, choć pewnie nadal jęczy, że serce ją boli. Ale ją znasz, bo jesteście kuzynostwem przecież. Skomplikowane te koligacje... wszystko przez to, że ciotka poznawała kolejnych mężów na pogrzebach poprzednich. Widziałem i Ninę... nie pamiętam nazwiska, tę drobną szatynkę...

Zakonnik był zaskoczony miną Tadeusza.

– Naprawdę jej nie pamiętasz? Nina Kwiatkowska. To była znana historia. Ojciec zostawił ją z długami, a matka choruje. Byłem niedawno u nich, jakoś pół roku temu. Bardzo skromnie mieszkają, a matka Niny... cóż, nigdy nie miała łatwego charakteru, choroba tylko to pogłębiła. Tak, Ninie by się ten spadek przydał, a nawet należał, z moralnego punktu widzenia. Bardzo porządna, pracowita osoba. Czyli prawdopodobnie nie dostanie ani grosza. Ktoś więcej?

– Od nas jeszcze Zenon. Zasnął i chrapie, słyhać go na korytarzu. Widziałem także Roberta Rowińskiego, czyli rzeczywiście jest ktoś od tego fabrykanta nocników. Rowiński podróżuje w towarzystwie prawdziwej piękności. Przynajmniej profil ta pani ma idealny. Oraz nogi. Robert skinął mi głową, ona się odwróciła, więc nie mogę ocenić *en face* – zauważył z żalem. – Chyba jego żona, podobno ożenił się ekspresowo w Gdańsku, a rodzinę poinformował dopiero po fakcie. Taka niby romantyczna historia, szła namiętności.

Zrobił minę sceptycznego gruźlika i zaraz się rozkaszał. Herbsta te nowiny nie ucieszyły. Rowiński słyhał z impertynencji, awantur pod wpływem alkoholu, przegrywania pieniędzy w kasynach oraz uwodzenia mężatek i pańienek. Wszystko to robił z miną, jakby uprzejmością z jego strony było samo podejmowanie trudu egzystencji. Kimkolwiek była jego żona, benedyktyn już jej współczuł.

– Niemka? – dopytał na wszelki wypadek.

– Owszem, niestety. Na szczęście nie wygląda, taka raczej w typie francuskim.

Ojciec Herbst lekko się skrzywił. Niemka, nawet w typie chińskim, to wciąż Niemka. Żeby odgonić tę myśl, stwierdził sentencjonalnie:

– Miłość nie wybiera, może to dobra dziewczyna. Istnieją przecież przyzwoite Niemki, choć u nas też porządnych pańien nie brakuje...

Tadeusz siedział z miną doświadczonego znawcy życia. Nie pasowała do jego oblicza wrażliwego chłopca z ambicjami. Aleksander poczuł mrowienie w sercu, jakby organizm postanowił dać mu coś do zrozumienia.

– Nie widziałeś jej – ciągnął krewny. – To zupełnie nie jest kwestia przyzwoitości. Już dla samych nóg wielu mężczyzn oddałoby kawałek Pomorza. Marlena Dietrich z kończyn, a z profilu Madonna. Z biustu nie wiem, nie było widać.

Ojciec Aleksander zdziwił się, że Tadeusz tak obcesowo podsumował kobiecą urodę.

Popatrzył na krewnego uważnie, aż w końcu młody człowiek opuścił wzrok, jak gimnazjalista przyłapany na rysowaniu w zeszytach nieprzyzwoitych obrazków. Przez chwilę panowała cisza.

– Z Madonną przesadziłeś – podsumował krótko zakonnik. – Lepiej więc powiedz, jak praca w ambasadzie.

Tadeusz wstał i zaczął krążyć po przedziale.

– Skończyła się. A za chwilę skończy się i ambasada. Mnie już nie stać na pierwszą klasę. Odruchowo bilet kupiłem. Jestem bezrobotny. Złożyłem dymisję jeszcze w październiku, pracowałem do świąt... Nie mam nerwów, żeby się temu przyglądać. Ambasador Lipski jest przyzwoitym człowiekiem, ale przecież lawiny nie zatrzyma... Nikt nie zatrzyma. Rok wystarczy.

Tadeusz miał minę człowieka zrezygnowanego. Herbst tego właśnie się spodziewał. Dyplomacja zawsze wydawała mu się dziedziną nieodpowiednią dla siostrzeńca. Zachował jednak myśl dla siebie.

– Według ciebie mamy jakieś szanse? – zapytał.

– Najmniejszych. – Tadeusz ściszył głos. – I nic już nie da się zrobić. Niech ci do głowy nie przyjdzie temu wszystkiemu wierzyć. Dziennikarze albo są głupi, albo ktoś im płaci za wypisywanie tych bzdur. Nie wiem, co gorsze. Najgłupszy są wielbiciel Anglii, co to nam pomoże, albo Francji, która przez wzgląd na księcia Józefa w Elsterze... Słyszysz, jak to idiotycznie brzmi? Elstera?

Wskazał na swój egzemplarz „Kuriera”.

– Endecja nie lepsza. Zakute łby. Udają, że to te same Niemcy, co dziesięć lat temu. A Niemcy mogą prowadzić wojnę przez kilka lat. Bez żadnego wsparcia... Nie potrzebują nawet sojuszników... Dobrze wykorzystali swój czas... Widziałeś schemat kolei na korytarzu? Jak to jest, że tylko zabór pruski przyzwoicie wygląda? Na wschodzie same furmanki albo na piechotę. Pewnie, po co komu drogi, samoloty, kolej... – Tadeusz podniósł głos. – Lepiej się wyklócać o schedę po Piłsudskim! Nie zdążyliśmy... A może staraliśmy się za mało. Dwadzieścia lat... to przecież szmat czasu... – Zaczął machać rękami, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów. – Całe pokolenie wyrosło, a pociągów w całym kraju nadal nie ma. Nie dawaj ani grosza na żadne zbiórki. Na żadnych chłopców w mundurach. Na żadne samoloty, które nawet nie dotrą do Berlina. Najrozsądniej byłoby od razu się poddać. Nasze szanse są zerowe. Deklaracja o niestosowaniu przemocy... Ha, ha!

Znów zaniósł się kaszlem. Ten wybuch był zaskakujący jeszcze bardziej niż wcześniejsze uwagi o kobiecych wdziękach. Tadeusz wyglądał na niezdrowo podekscytowanego, więc Herbst postanowił już nie kontynuować tematu, ze względu na jego nerwy. Krewny sam zresztą się zmitygował i umilkł. Przez chwilę panowała cisza. W końcu Radzinowicz zwrócił się do krewnego:

– A ty liczysz na spadek?

– Racjonalna część mojej osobowości mówi, że byłbym naiwny. A nieracjonalna podpowiada, że ciotka nie lubi nas wszystkich jednakowo. Ktoś usłyszał od niej coś miłego? Pomogła komuś? Prawdopodobnie nie, przynajmniej nic o tym nie wiemy. Mam więc ułamkową szansę, jak pozostali...

Zamyślił się przez chwilę.

– Przeor kazał mi jechać – dodał po chwili weselszym tonem. – Prawdziwy człowiek renesansu. List ciotki szczerze go rozbawił, więc przywiódł do wniosku, że przywiozę z powrotem masę ciekawych anegdot do opowiadania. A taki hipotetyczny spadek można przecież zagospodarować dobroczynnie. Albo wyremontować dach w klasztorze. Kapie nam na głowę już kilka lat, a dobroczyńcy jakoś się nie pojawiają. Prowincja. Krzywiń leży na takim uboczu, że wszyscy o nas zapominają. Ma to swoje dobre strony, ale oczywiście dachowi nie pomaga. Nasz przeor wiedziałby, co ze spadkiem zrobić. To mistrz inwestycji długoterminowych. Kupuje na przykład obrazy i twierdzi, że za sto lat klasztor zarobi na nich fortunę. Sprzeda jakimś kolekcjonerom. Dzięki temu będziemy najbogatszym klasztorem w Wielkopolsce, a jemu następcy zafundują w podzięcie honorową kryptę. Myślenie perspektywiczne – tak powiada – jest konieczne, skoro reprezentujesz firmę z taką tradycją jak benedyktyni.

Herbst mrugnął do Tadeusza, który już zdążył się uspokoić. Uśmiechnął się uprzejmie.

– Przeor nie potępił samobójczego planu ciotki? – zapytał kpiąco. – Przecież z kościelnego punktu widzenia to grzech, nawet po dziewięćdziesiątce. Niezależnie od okoliczności... Ale cieszę się, że przeor cię wysłał... Będzie nam różnie. Jakby coś...

– Co na przykład?

Tadeusz znowu dostał ataku kaszlu.

– Sam nie wiem... – stwierdził z wahaniem, znów zasmucony. – Czuję, że to będzie jakaś kompromitująca historia. Mam dużo wolnego czasu, więc pomyślałem, że pojedę. Ale teraz, w tym pociągu... nie wiem. Cóż, z pewnością przez te dwa dni nudzić się nie będziemy.

Zakonnik w odpowiedzi tylko pokiwał głową. Pociąg zbliżał się do ostatniej stacji i powoli hamował. Za oknem pojawiły się dworcowe budynki, a oni ruszyli do wyjścia.

Zbąszyń

TEGO SAMEGO DNIA, OKOŁO SZÓSTEJ PO POŁUDNIU

Zbąszyń długo był małym miasteczkiem, ale od kiedy znalazł się na granicy, znacznie urósł. Władze lokalne zadbały o pierwsze wrażenie. Zależało im przede wszystkim na podziwie podróżnych z Niemiec, którzy mieli odczuć, że cywilizacja kwitnie także po polskiej stronie. Dlatego Zbąszyń od wojny i powstania rósł szybko oraz widowiskowo. Ogromna bryła dworca górowała nad miastem, a budynek, tak samo zresztą jak elewacja, był czysty i estetyczny, co na dworcach zdarza się rzadko. Całość sprawiała więc nieco nierzeczywiste wrażenie filmowej makiety.

Pociąg wyhamował. Podróżni zaczęli wysypywać się z wagonów. Goście baronowej stłoczyli się w jednej, milczącej grupie. Większość odczuwała skrepowanie, które bywa udziałem większości słabo zżytych rodzin. Po wymianie tradycyjnych uprzejmości nie mieli już sobie nic do powiedzenia. Tylko ojciec Aleksander i Urszula Klimt nadal żartobliwie się przekomarzali, co lepiej konserwuje i chroni przed upływem czasu: literatura czy stan duchowny?

Basia ostentacyjnie wciągnęła dworcowe powietrze.

– Ta czerwona cegła i pedantyczna czystość... wygląda mi na Niemcy. Jakiś obcy duch się tu unosi. Złowieszczy – wydała werdykt apodyktycznym tonem.

W odpowiedzi dziewczynka otrzymała jedynie kilka speszonych spojrzeń. Tylko Robert Rowiński uśmiechnął się do niej, jakby poczuł nagle, że mają ze sobą coś wspólnego. Basia zawstydziała się i założyła gogle, a Rowiński uśmiechnął się jeszcze szerzej. Był blondynem, ale uśmiech miał jak Clark Gable. Tak przynajmniej zdawało się dziewczynce.

Nadal nic się nie działo. Śnieg padał, tworząc ścianę bieli, a oni przytupywali, poprawiali kołnierze i rękawiczki, czując narastającą irytację. Niecierpliwie rozglądali się za wysłannikami z Janowca, patrząc z zazdrością na podróżnych, którzy witali się z bliskimi, wznosili powitalne okrzyki, kierowali się w stronę miasta i robili to wszystko, co robią ludzie pewni celu i sensu swojej podróży.

Przez dworcowe zamieszanie przebił się gwizdek konduktora. Po chwili z głośnika popłynął komunikat:

– Podróżni przybyli z Poznania proszeni są o pozostanie na peronie. Powtarzam: proszę się nie oddalać. Doszło do nieszczęścia. Jeden z podróżnych nie żyje. Zaraz zjawi się policja.

Helena Rowińska przystanęła posłusznie. Jej mąż prychnął kpiąco i wyjął cygaro. Helena pokiwała głową do swoich myśli.

– O jednego mniej – szepnęła najczystsą polszczyzną.

PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ

Cieszę się, że to tylko zawal – obwieściła Wanda. – Moje serce by nie wytrzymało, gdyby się okazało, że podróżowaliśmy z mordercą. Dobrze, że Zenon odszedł spokojnie, we śnie. I nikt mu nie pomógł. Właśnie, Aleksandrze, mógłbyś pomóc starszej kobiecie. Weź mnie pod rękę.

– Jak to „tylko”? Przecież on nie żyje! – zawołała Basia, zdejmując gogle z wrażenia.

Nigdy nie miała do czynienia z umarłymi, dla niej takie stwierdzenie było więc absurdalne. Odpowiedziała jej cisza. Nikomu nie chciało się tłumaczyć panience, dlaczego w tych okolicznościach zawal uznano za dar od losu.

Wanda wyraziła przed chwilą na głos to, co wszyscy myśleli, a do czego nie chcieli się przyznać. Doskonale, że to był **tylko** zawal. Przynajmniej wiadomo, że nikt nie próbował wyeliminować konkurenta do spadku.

– Śmierć to oczywiście smutna sprawa, ale o ileż smutniejszą jest morderstwo! I to w rodzinie – dodała Wanda, precyzując jednak obawy zgromadzonych.

Urszula złapała ją za ramię.

– Proszę mi dziecka nie straszyć – syknęła. – Basia jest bardzo wrażliwa. A egzaltacja jest niezdrowa. Na serce.

Idący za nimi Rowiński parsknął. Urszula nawet się nie odwróciła, ale Helena posłała mężowi smutne spojrzenie.

Biedaczka. Po co jej to było? Prawdziwa piękność... Mogła wybrać sobie męża spośród wielu mężczyzn, a każdy byłby lepszy. Być może należała do gatunku kobiet, które muszą się męczyć i poświęcać, by czuć, że żyją, pomyślał Herbst.

Goście baronowej szli prowadzeni przez trzech eleganckich szoferów. Ciotka Korzycka była najwyraźniej w nastroju nowoczesnym i przysłała po nich buicki. Rozmowy umilkły. Wszyscy analizowali sytuację, ale nikt nie zamierzał dzielić się wnioskami z pozostałymi, przynajmniej na razie.

Nina zastanawiała się, czy rzeczywiście lekarz może bez specjalnych badań autorytarnie orzec, że do śmierci nie przyczyniły się osoby trzecie. Doktor Neumann był bardzo pewny siebie, o co dotąd go nie podejrzewała. Widocznie znał się na swoim fachu. Może rzeczywiście będzie z niego jakiś pożytek.

Już po krótkim badaniu bowiem Ignacy obwieścił, że śmierć nastąpiła z przyczyn całkowicie naturalnych. Chociaż nikt wcześniej nie wypowiedział żadnych podejrzeń na głos, krewni baronowej Korzyckiej odetchnęli z ulgą. Policja – przybyła ekspresowo, jak to w małych miasteczkach – nie miała do roboty nic innego, jak tylko potwierdzić wersję lekarza. Podróźni mogli opuścić teren dworca, co też skwapliwie uczynili, dyskutując głośno i zastanawiając się, czy to nie jakaś niemiecka prowokacja.

Natomiast gości baronowej poproszono o chwilę cierpliwości. Stanęli więc przy samochodach, tupiąc nogami, by trochę się ogrzać. Robert Rowiński wyjął cygaro, Urszula

Klimt papierosa, a ojciec Aleksander orzechy, które wspólnie z nim systematycznie konsumowała Basia. Całej rodzinie, zbitej w nerwową grupkę, podejrzliwie przyglądał się obdarzony sumiastym wąsem miejscowy podkomisarz Nowak, który kilka razy dopytywał, czy aby na pewno mięsień sercowy nie wytrzymał. W końcu zirytowany Ignacy także nie wytrzymał.

– Co pan chcesz? Miażdżyca, cukrzyca, arytmia... wszystko to miał. I tak dobrze, że do sześćdziesiątki dociągnął. Po co się doszukiwać sensacji. Świadcstwo zgonu mam podpisać?

– Proszę się nie gorączkować. Sam wygląd nieboszczyka wskazuje rzeczywiście na zgon naturalny. Przyzna pan jednak, trochę to dziwne. Dlaczego sam podróżował? Znalazł go na szczęście tutejszy, mieszkaniec Zbąszynia. Porządny człowiek, jemu można wierzyć. Nikt z denatem nie jechał? Jesteście państwo rodziną baronowej, prawda? Krewni i powinowaci? Tak go chcieliście zostawić? Nie byliście zainteresowani, co się z nim dzieje? Nikt nie zajrzał do przedziału, nie zapytał, jak się ma starszy pan? – Pokręcił głową zniesmaczony. – Ciekawe, co baronowa na to.

– Tak, kilkoro z nas łączyły z Zenonem więzy krwi, ale w większości nie byliśmy blisko spokrewnieni. – Ojciec Aleksander wysunął się naprzód. Z doświadczenia wiedział, że autorytet zakonnika zwykle rozwiewa wątpliwości. – Rozumiem, że dziwi pana... nasz spokój?

– Owszem. Powiedziałbym, że wyglądacie na dziwnie zadowolonych. Może ojciec nie, ale – zerknął na Roberta – niektórzy z państwa...

Herbst przerwał mu z grzecznym uśmiechem.

– Wśród nas najbliższym krewnym zmarłego jest Tadeusz, jego bratanek. I ja. Byliśmy kuzynami.

Wskazał ręką na Radzinowicza, który popatrzył na wszystkich nieprzytomnie i wzdrygnął się silnie. Prawdopodobnie miał gorączkę. Albo też nieprzyzwoicie pajacował, przyszło na myśl Herbstowi. Tylko po co? Młody człowiek wyciągnął chusteczkę i wysmarkał się głośno. Nina rzuciła mu potępiające spojrzenie. Naprawdę pajacował.

– Aleksander Herbst – dodał zakonnik.

– Taaa... – mruknął podkomisarz, wpatrując się w Tadeusza.

Potem potoczył wzrokiem po zgromadzonych. Gdy natrafił na spojrzenie Heleny Rowińskiej, nagle oprzytomniał, czym rozbawił trochę ojca Aleksandra. Rzeczywiście, taka uroda działa nawet na osoby duchowne i mundurowe. Nowak odchrząknął.

– Państwo wybaczą – rzekł. – Do moich obowiązków należy czujność, więc te pytania były konieczne. Teraz nie zamierzam państwa dłużej zatrzymywać. Baronowa Korzycka was oczekuje. Wszyscy wiemy, że zamierza wyznaczyć swojego spadkobiercę. A jeśli zmarły był jej najbliższym krewnym... Rozumiecie państwo. Sprawa budzi duże emocje, bo w okolicy spodziewano się raczej zapisu dobroczynnego z jej strony... Ale oczywiście baronowa dysponuje majątkiem wedle własnej woli. My jesteśmy bardzo wdzięczni za jej dobroć. Głęboko, do zgonnie wdzięczni.

Goście nie kryli zdumienia lub przynajmniej zwątpienia, patrząc po sobie sceptycznie. Rowiński roześmiał się nawet impertynencko.

– Co do nieboszczyka, trafi do tutejszej kostnicy przy szpitalu. Pozwólcie państwo, że

wezwiemy jeszcze jednego lekarza... – powiedział Nowak, ignorując wszelkie niestosowności.

Spojrzał na Ignacego i lekko się skłonił. Ojciec Herbst z uśmiechem doszedł do wniosku, że prowincjonalny policjant lubił dbać o formy.

– Ufam pana wiedzy, ale musimy potwierdzić... powód zgonu – dokończył policjant. – W kostnicy jest doskonałe wyposażenie. Zbadają nieboszczyka bardziej szczegółowo.

Ignacy wzruszył ramionami.

– Badajcie, ja jestem pewien swojej diagnozy. Naturalny zgon sercowca.

– W sprawie pogrzebu zadzwonimy do pałacu. Kiedy sprawa się wyjaśni. Tak do końca. Wierzcie mi państwo, że tu przy granicy... różne rzeczy się dzieją.

Jeszcze raz powiódł wzrokiem po zgromadzonych. I znów zatrzymał się na Helenie. Chyba przyzwyczajona do podobnych sytuacji, jedynie lekko zmrużyła oczy, jakby znudzona własnym powodzeniem.

– Dziki Zachód – zażartował Robert Rowiński, zaciągnąwszy się cygarem. Następnie pokazał w uśmiechu równy rząd białych zębów.

Podkomisarz Nowak spojrzał na niego spokojnie. Nie odwzajemnił uśmiechu.

Bez trudu pomieścili się w trzech identycznych buickach prowadzonych przez trzech szoferów w granatowych uniformach. Do pierwszego wsiadła Urszula Klimt z córką oraz Wanda i Ignacy. Drugi zajęli Herbst, Nina z Tadeuszem Radzinowiczem, a ostatni Rowińscy.

Wyjechali z miasteczka i już po chwili przemierzali wielki ośnieżony las. Wyglądało na to, że jeszcze kilka godzin, a trudno będzie dostać się tędy do pałacu. Z nieba padały coraz większe płatki śniegu i mróz przybierał na sile. Jechali więc wolno i dostojnie. Jak kondukt pogrzebowy, co ku konsternacji Wandy obwieściła Basia.

Pół godziny później byli na miejscu. Ich oczom ukazała się zbudowana przez niemieckiego arystokratę neorenesansowa budowla mieszcząca jedenaście sypialni, ogród zimowy i salę balową. Baron Korzycki po powstaniu odkupił pałac i ziemię, a wielkopolskie ziemiaństwo uznało to za gest wybitnie patriotyczny. Pałac Korzyckich robił wrażenie prawdziwej siedziby rodu. Z pewnością jednak nie była to siedziba osób obdarzonych dobrym gustem. Świadczył o tym już nieprzyjemny odcień żółci, którą pokryto fasadę. W wybranych oknach straszyły witrażyki albo kamienne głowy barokowych aniołków ciągnące się fantazyjnie wzdłuż okiennic. Całość znamionowała nadmierną fantazję, którą wyjaśniała jedynie choroba psychiczna zdiagnozowana u pierwszego właściciela kilka lat po wybudowaniu pałacu. Najbardziej gustowny zdawał się sosnowy las okalający posiadłość.

Ojciec Herbst westchnął, gdy stanęli na podjeździe. Z pewnością można ten budynek lepiej wykorzystać, przerobić na coś bardziej pożytecznego niż siedziba starej baronowej.

– Jest coś nieprzyzwoitego w jeźdzeniu buickiem przez małe miasteczko. Wszyscy się na nas gapili. I w posiadaniu takiego pałacu także. Ostentacja... Chyba wstydzilibym się, będąc jego właścicielem – powiedział na głos Tadeusz, wysiadając.

Chciał to tylko pomyśleć, ale było już za późno. Nina wybuchnęła śmiechem, zupełnie jak młoda dziewczyna, a nie mizerna sekretarka z nadgodzinami.

– Myślę, że spadkobierca bez trudu sobie z tym piętnem nieprzyzwoitości poradzi.

Tadeusz odpowiedział jej uśmiechem, a Herbst pomyślał, że Nina jest całkiem ładna, tylko zmęczona i kiepsko ubrana. Nie znał się na modzie, ale wiedział, że gdyby sekretarkę firmy Mertel i S-ka ubrać w coś innego niż szary płaszcz do połowy łydki, ze skracającym szyję kołnierzem, prezentowałyby się znacznie lepiej. Tadeusz chyba doszedł do podobnego wniosku, bo wpatrywał się w Ninę. Zakonnik uśmiechnął się do nich obojga serdecznie. Ładna byłaby z nich para, pomyślał.

Przy schodach czekała służba, kierowana przez kamerdynera, który wyglądał jak rówieśnik właścicielki pałacu, ale ruszał się nader żwawo.

– Witamy w rezydencji baronowej Korzyckiej – przemówił silnym, energicznym głosem.

– Pani oczekuje państwa na kolacji, o godzinie dwudziestej. Dowiedzieliśmy się już o nieszczęściu, które spotkało jednego z naszych gości. Nasz wysłannik zajmie się sprawami formalnymi. Nie muszą się państwo kłopotać. Teraz zapraszamy do pokojów.

– Czuję się jak w filmie historycznym *Ziemiaństwo polskie w przededniu wojny światowej*, czas akcji 1913 rok. Tu gdzieś zapewne ukryto kamerę – szepnął Tadeusz do Niny, wkraczając do dużego holu. Roztaczał się stąd widok na rząd drzwi pokojów pierwszego piętra i wejście do jadalni oraz kilku innych pomieszczeń.

Wnętrze pałacu wypełniały meble i sprzęty pochodzące z różnych epok. Największe wrażenie na przybyłych zrobił okazały rokokowy żyrandol, zawieszony na cienkich, niemal przezroczystych łańcuchach. Zapewne chodziło o to, by każdy, kto wkraczał do środka, odczuł choćby lekką obawę. Tak też było. Wszyscy zaproszeni najpierw zadzierali głowę do góry. Ciotka Wanda umyślnie obeszła potencjalnie zagrożony obszar.

– Tak zginął najlepszy z naszych braci – obwieścił melancholijnie ojciec Aleksander. – Zabytkowy żyrandol spadł po dwustu trzynastu latach i przygniótł go na śmierć.

Urszula spojrzała na kuzyna ze zniecierpliwieniem.

– Po co straszysz? I tak jest... złowieszczo. Takie niemądre męskie poczucie humoru.

– Dobry Boże, dlaczego niektórzy ludzie specjalnie przywołują nieszczęścia? – jęknęła Wanda. – Potrzebują wrażeń? Dobrowolnie codziennie ryzykują życie? Czuję, że serce mnie boli. Może tego nie wytrzymać. Obym nie skończyła jak świętej pamięci Zenon.

Kamerdyner skłonił się uprzejmie.

– Pracowałem dla baronowej osiemnaście lat i szczęśliwie jak dotąd nie było żadnego wypadku. I nikt, oprócz ostatniego męża naszej pani, tutaj nie zmarł.

– Jak dotąd! – powtórzyli grobowymi głosami Tadeusz i Robert, robiąc przy tym straszne miny.

Uprzejmy kamerdyner zignorował ekstrawagancje gości i każdemu przydzielił do dyspozycji służącego, co większość przybyłych onieśmieliło, a niektórych (Basia) zachęciło do chichotu. Tylko państwo Rowińscy robili wrażenie, jakby osobista służba była ich codziennością.

Cała rodzina udała się do wskazanych pokojów, żeby przebrać się do kolacji.

Janowiec, w pół do ósmej wieczorem

Helena z westchnieniem zamknęła drzwi pokoju. Chciała przez kilka minut odpocząć. Nie była pewna, gdzie jest Robert, więc nie zamknęła pokoju na klucz. Natychmiast odesłała też gapiącą się na nią rudowłosą dziewczynę, która przedstawiła się jako Małgorzata i zaprezentowała swoje umiejętności, potykając się na progu. Miała nieprzyjemny, ciekawski wyraz twarzy. Helena uznała, że pewnie trudno na takim odludziu o dobrych służących.

Rowińska odwróciła się od drzwi. Wnętrze pokoju sprawiło, że przez chwilę zaskoczona wpatrywała się w poszczególne sprzęty. A potem zaśmiała się cicho i szybko przebrała w elegancką suknię. Nie było lustro, ale nie miała wątpliwości, że szmaragdowy jedwab dodaje jej uroku. Wyszła.

Na schodach spotkała Wandę. Ucieszyła się na jej widok, bo kobieta wydawała się sympatyczna, w przeciwieństwie do swojej ponurej towarzyszki podróży, panny Kwiatkowskiej.

– Czy pani pokój jest urządony równie... oryginalnie? – zapytała Helena. – W naszym przeważają meble z chaty kaszubskiej i szafy gdańskie. Oraz jakaś demoniczna kobieta na obrazie. A na ścianach kaszubskie wycinanki. Na jednej ze skrzyń stoi gramofon. Rozumiem, że ten styl jest niejako aluzją do mojego pochodzenia i zamieszkania. Tylko po co?

Jej rozmówczyni wyglądała na zmęczoną. I chyba jedynie pod wpływem zmęczenia mogła włożyć taką obcisłą pomarańczową suknię. Nikt nie wygląda dobrze w pomarańczowym, pomyślała Helena.

– Nie lubię ceregieli w rodzinie. Nawet dalekiej. Mów mi, dziecko, po imieniu. Tak patrzę na ciebie... alez jesteś śliczna! Zupełnie, wybaczone, nie wyglądasz na Niemkę. Dobrze, a co do twojego pytania... Mój pokój urządzone w stylu... trudno to sprecyzować... bardzo prostym. Ascetycznym. Ale również mam gramofon. Myślę, że ciotka specjalnie urządziła albo przynajmniej wyznaczyła ten pokój, żeby mnie zdenerwować. Ona niczego nie robi przez przypadek. Chyba jednak nie planuje uczynić mnie spadkobierczynią. – Uśmiechnęła się lekko do Rowińskiej. – Przyjdź po kolacji, sama się przekonasz – powiedziała, wkraczając do pokoju stołowego.

To wewnątrz z kolei urządzone tak, by stworzyć wrażenie wieloletniej tradycji rodu i arystokratycznych korzeni. Rokokowe sztukaterie spoglądały z góry na meble w stylu hanzeatyckich kupców, modernistyczne ramy zaś otaczały portrety sarmackich przodków. Czyich? Dziadek Korzyckiego był chłopem spod Ostrołęki, a sama ciotka pochodziła z poznańskiego mieszczaństwa. Wszyscy już o tym wiedzieli, nawet Helena. Tadeusz szepnął, przepuszczając ją w drodze do stołu: – Państwo w kontuszach są tutaj na prawach

metafory.

Goście instynktownie starali się usiąść jak najdalej od szczytu stołu. Miejsca po jego bokach, obok nakrycia dla ciotki Wirydianny, zajęli w końcu Herbst i Urszula Klimt. Służba przypatrywała się im z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Goście także obserwowali się nawzajem, jakby spadkobierca posiadał już na twarzy jakieś specjalne piętno.

Punktualnie o ósmej do jadalni wjechał wózek inwalidzki, pchany przez barczystego młodzieńca w liberii lokaja. Był on niezwykle przystojny, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy zastygli wpatrzeni w baronową Wirydianę Korzycką.

Basia w pierwszej chwili pomyślała, że doszło do pomyłki. Niemalże stuletnia kobieta z pewnością tak nie wygląda. Ale zachowanie reszty gości oraz służby wskazywało, że to właśnie baronowa.

Z biegiem lat życie wypisuje na naszych twarzach wszystkie wady, nieszczęścia, długo skrywane żale i pretensje, albo też – szczęście rodzinne i zadowolenie z życia. Zależy, jaki los przypadł nam w udziale. Znikają regularne rysy i świeżość cery. Wychodzi z człowieka tak zwane doświadczenie życiowe i charakter. Ludzie brzydki, ale dobrzy i pogodni, z wiekiem pięknieją. Nieszczęśliwi albo podli bezpowrotnie tracą urodę. Czasami spotyka nas to po trzydziestce, częściej po pięćdziesiątce. Ciotka Wirydianna musiała być wyjątkiem. Wyglądała bowiem, jakby przeszła przez życie mimochodem, nie zdążywszy się zmęczyć. Włosy miała jasne, jedynie poprzetykane siwizną, gęste i ułożone w eleganckie pukle. Zaprezentowała się gościom w białej sukni z bufami, modnej przed czterdziestoma laty. Jednakże baronowa nie była śmieszna. Była stylowa.

Jej twarz wyglądała na kilkadziesiąt lat młodszą, niż wskazywała metryka. Policzki pełne i zaróżowione, jakże różne od zapadniętych starczych twarzy jej nielicznych pozostałych przy życiu rówieśników. Rysy zaś sugerowały maksymalnie sześćdziesiąt lat, a bystre oczy rzucały spojrzenie czterdziestolatki w pełni sił. Postronny obserwator uznałby ją za przemiłą starszą panią.

Lokaj przysunął wózek do stołu. Korzycka gestem nakazała służbie wyjść.

– Przyjmuję was przy kolacji, gdyż po siedemdziesiątce należy pokazywać się jedynie w wieczornym oświetleniu. Widzę, że dotarliście prawie w komplecie. Zenon – cóż, i tak nie przyszło mi do głowy, żeby mu coś zapisać. Żałosny człowieczek. Pogrzeb w poniedziałek, poznańska fara, dziesiąta rano. Spocznie na naszym cmentarzu. Ktoś zgłasza sprzeciw? Nie? Doskonale.

Nawet głos miała młodzieńczy. Wyglądała na bardzo zadowoloną z powodu ich zmieszania.

– Nikt nie zaprzeczy, że żałosny? Dobry obywatel i sympatyczny krewny, choć być może ulegający nadmiernie zachciankom ciała. Nikt nie stanie w jego obronie? Nawet osoba duchowna? Brzydko, Aleksandrze.

Popatrzyła na zakonnika. Zanim zdążył się odezwać, zwróciła oczy na sąsiadkę po prawej stronie.

– A ty, Urszulo, nadal paradujesz w spodniach, ale przynajmniej zapuściłaś włosy. Uroczo. Wiesz, że rozwódka z długimi włosami jest pretensjonalna? Chociaż w sumie lepiej wyglądać ładnie i pretensjonalnie niż brzydko i elegancko. Prawda, Wando?

Nie czekała na odpowiedź Jareckiej, jakby nie spodziewała się niczego ciekawego po tej rozmówczyni. Znowu przeniosła wzrok na Urszulę.

– Rozumiem, że po rozwodzie zaczynasz nowe życie? Zdajesz sobie sprawę, że czterdzieści lat to nie przelewki? Jesteście z Aleksandrem rówieśnikami, no, dzięki Bogu, ty wyglądasz młodziej, choć i on dobrze się trzyma. Czyli szukasz nowego męża, a złapać go chcesz na fascynującą pisarkę? Powodzenia. Ludzie bardzo wierzą w nowe początki, „od teraz wszystko będzie inaczej, zbudujemy nowy związek oparty na szacunku i wspólnocie dusz”. Oczywiście, oczywiście. Ale włosy masz ładne. Pamiętam cię, gdy nosiłaś idiotyczną krótką fryzurę „na sufrażystkę”, czy raczej „gimnazjalistkę”. Lata dwudzieste – najgłupszy czas w dziejach ludzkości. Każda się łudziła, że jej w takiej fryzurze do twarzy, twoja siostra również. Jakież to było bezmyślne stworzenie! Ty również mądrością nie grzeszyłaś, ale przynajmniej miałaś więcej szczęścia i nie zostałaś morfinistką. A ty, moja droga?

Zwróciła się do Basi.

– Też jesteś bardzo głupia czy może tylko głupia? Dziedziczenie to straszna rzecz. Bardzo mi miło, że postanowiłaś zdjąć te narciarskie spodnie i gogle. Lepiej przyjść do starej i chorej krewnej w sukience, a nie w stroju galowym ucznia ze szkoły realnej, ale nie bądźmy drobiazgowi. Tyle zniosłam, więc i to wytrzymam, wytrzymała jestem. To jak, panienko, co odpowiesz? Głupia czy bardzo głupia? Jak sama siebie oceniasz?

Dziewczynka zarumieniła się po czubki uszu.

– Nie bardzo głupia, proszę pani.

– Ależ nazywaj mnie „ciocią Wirydianną”, jesteśmy rodziną i dybiesz na moje pieniądze. To pozwala na pewną poufałość.

– Nie dybię, ciociu Wiry...dianno.

– Oczywiście, porzuciłaś Zakopane w sezonie narciarskim i przyjechałaś z mamą, by bezinteresownie odwiedzić umierającą cioteczkę. To urocze, moje dziecko, gdybym była skłonna do wzruszeń, to pewnie bym się wzruszyła. Mam nadzieję, że nie zamierzasz zostać okropną pisarką, jak matka? Ileż można czytać: „ich usta spotkały się w pocałunku wytęsknionym...” – zwróciła się do Urszuli Klimt. – W każdej powieści tak jest, jakby nie mogli zwyczajnie pójść do łóżka, czy jak to się teraz mówi. Ależ miny robicie! Zapomniałam, że jesteście gromadką niewinnych duszyczek. Może powinnam zapisać majątek osobie z fantazją? Nie, Robercie, nie tobie, ty wyobraźni jesteś pozbawiony.

Znów odwróciła się do Urszuli, nie zaczekawszy nawet na odpowiedź Rowińskiego, jakby uznała, że i ten krewny nie ma nic ciekawego do powiedzenia.

– Dobry Boże, i pomyśleć, Urszulo, że ci za to płacą... Dopilnuj, by córka zdobyła bardziej konkretny zawód. Krawcowa czy urzędniczka od stukania w klawisze. Albo chociaż męża porządnego.

Popatrzyła jeszcze raz na Basię i mierzyła ją oceniającym spojrzeniem. Cmoknęła z niesmakiem.

– Musiałabyś przestać chodzić w spodniach – zawyrokowała. – Chyba że nogi masz krzywe? Tak? Kręcisz głową, że nie. Bo jeśli masz, to raczej po ojcu, bo twoja matka przynajmniej nogi ma w porządku. Zobacz, cóż to za ojciec. Zostawił was, pieniędzy nie daje, a krzywe nogi ci podarował. Kreatura.

Oczy Basi wypełniły się łzami. Siedzący obok Ignacy zauważył, że dziewczyna zacisnęła pięści pod stołem. Nie miał czasu dłużej się przyglądać, bo spojrzenie ciotki zatrzymało się teraz na nim.

– A ty, Ignacy? Zabrałeś torbę lekarską? Bylebyś nie próbował mnie ratować. A jak ci idzie wycinanie ślepych kiszek?

Nie zdążył odpowiedzieć, bo ciotka zwróciła się do pozostałych.

– Ignacy jest sławnym specjalistą od ślepych kiszek. Ma nawet certyfikat.

– Doktorat. Z ortopedii. Kiszka to był przypadek, awaryjna sytuacja – wyszeptał Ignacy.

– Wiesz, że jestem stara i głucha. Mów głośniej. Tak, Ignacy ma doktorat ze ślepych kiszek. Zdobył go dzięki ciężkiej pracy, bo przecież nie inteligencji. A jak się miewa twoja siostra, Ignacy? Nadal się puszcza?

Zapadła cisza, jeszcze bardziej krępująca. Nikt nawet nie mrugnął. Ciotka wyglądała, jakby zaraz miała się oblizać i zjeść swoją ofiarę.

– Nie – szepnął Ignacy po chwili.

– Nie puszcza? Czy puszcza się, ale nie „nadal”? Nie zaprotestujesz? Myślisz, że dostaniesz mój majątek, bo pokornie słuchasz, jak obrażam twoją siostrę? Nie puszcza się, bo to uczciwa dziewczyna. Tak powinienesz odpowiedzieć. Dobry Boże, chyba nie sądzisz, że coś ci zapisałam? Nawet ślepej kiszki bym ci nie oddała. Nie masz odwagi cywilnej. Młodzi mężczyźni przypominają dziś szczury.

Przerzuciła wzrok na drugą stronę stołu.

– A co ty powiesz, Robercie? Matka dała ci imię, jakbyś miał zostać lordem z siedzibą w Kensington, a nie urzędnikiem w Wolnym Mieście Gdańsku. Cóż to za bezsensowna nazwa. Wolne? A roi się tam od Niemców. Ale wyglądasz nawet dobrze. Przystojny jesteś. I żonie także niczego nie brakuje. Niech cię obejrzę.

Zwróciła się do Heleny.

– Wstań.

Rowińska wstała machinalnie, choć wyglądała, jakby chciała zaprotestować. Nogi jednak same ją uniosły.

– Tak, rzeczywiście piękna z ciebie kobieta. Bardzo rasowa. Zawsze lubiłam brunetki z jasną cerą. I oczy masz ładne. Przynajmniej w tym świetle. Piękne dzieci będziecie mieli. Jeśli będziecie mieli. Kto to wie w dzisiejszych czasach. Mówisz po polsku, prawda?

Helena niepewnie odchrząknęła.

– Oczywiście.

– Właśnie. Ciekawe, która plotkara wmawiała rodzinie, że nie mówisz. Ludzie powinni robić zapasy na wojnę, a nie plotkami innych karmić. Wando, a ty czym wypełniasz nadmiar wolnego czasu? Biegasz na wszystkie nabożeństwa? Że pieczesz ciasta, to wiem, widome znaki to potwierdzają. Ostatnio kiedy cię widziałam, byłaś o jedną trzecią szczuplejsza. Tyjąc w takim tempie, nadasz się na barykadę w razie wojny. Raz w życiu będzie z ciebie jakiś pożytek.

Helena z ulgą usiadła, a Wanda poczerwieniała.

– Poszukiwania nowego męża? Po tylu latach żywisz jeszcze nadzieję? Sympatyczny wdowiec z kapitalikiem i reumatyzmem? Może i się uda, głupców nie brakuje na świecie, ale nie możesz pokazywać, że tak ci zależy. Pomarańczowa suknia aż krzyczy: „Jestem

wdową z potrzebami”. Pamiętaj, że mężczyźni wolą polować, niż być zwierzyną łowną. Ja zawsze o tym wiedziałam, więc ostatni ślub... Kiedy wzięłam?

Zwróciła się do Niny, jakby ta miała obowiązek pamiętać. Kwiatkowska zrobiła spłoszoną minę, ale ciotka sobie przypominała.

– Tak, Korzycki oświadczył mi się w 1905 roku, kiedy socjaliści robili rewolucję. Mieszkaliśmy wtedy w Warszawie, gdzie on prowadził jakieś podejrzane interesy. Tak, Nino... Dobrze, że usiadłaś obok naszego zakonnika, oboje jesteście typami jedynymi w swoim rodzaju. Wstąpiłaś już do socjalistów?

– Nie – odpowiedziała niedbale Nina.

– I nie chcesz mi odciąć głowy? Albo przynajmniej podpalić pałacu? Założyć związek zawodowy?

Kwiatkowska popatrzyła na ciotkę, starając się wytrzymać jej wzrok choć przez kilka sekund. Szybko skapitulowała.

– Nie czas na to – rzekła, kierując swoje słowa w stronę stołu. – Niebawem czekają nas większe problemy.

– Tak, również myślę, że wojna wybije wam z głowy sprawiedliwość społeczną i tym podobne bzdury. Ale w głębi duszy liczysz, że zachowam się tak ładnie jak starzy krewni w powieściach Dickensa, gdzie po latach perturbacji pozytywny bohater otrzymuje niespodziewany spadek? Ta iskierka nadziei chyba nie zgasła... – Zarechotała kpiąco. –

Jesteś pozytywną bohaterką, moja droga – dodała po chwili poważnym tonem. – Twoje poczucie, że niezasłużenie spotkało cię nieszczęście, ma sens.

Zrobiła współczującą minę. I znów zaśmiała się skrzekliwie.

– Zaslugujesz na więcej, Nino, a twój ojciec prawdopodobnie smaży się w piekle. Spłaciłaś już wszystko?

– Tak.

– Ktoś ci pomógł, ale i tak nieźle. Osiem lat. Te osiem lat po ukończeniu dwudziestego roku życia jest dla kobiety decydującym okresem, należy wówczas znaleźć męża. Ty zdecydowałaś się je stracić. A ja nie lubię Dickensa. Cóż, życie to gra znaczonymi kartami, a nie jakaś historyjka z morałem.

Odwróciła się do kaszlącego Tadeusza, zignorowawszy próbę Niny dojścia do głosu.

– Współczujesz kuzynce? Nagły atak kaszlu w tym momencie sugeruje wrażliwość oraz empatię. Czyli współczujesz biednej sierocie ze schorowaną matką i w brzydkim płaszczu? Więc się z nią ożeń. Zrobiłbyś dobry uczynek i przestaliby szeptać, że jesteś pederastą.

Na twarzy Tadeusza pojawiły się krople potu. Zbladł.

– Miło, prawda? – Teraz Korzycka zwróciła się do ojca Herbsta. – Tak po chrześcijańsku gwarzymy sobie przy rodzinnym stole. Ktoś w tle powinien jeszcze grać na skrzypcach. Dlaczego się uśmiechasz? Czy jako kapłan nie powinienesz mnie odwieść od samobójstwa?

– Nie przekonałaś mnie, ciociu. Nie wierzę w twoje samobójstwo.

– Jaki pewny siebie ton! Księża lubią nim szafować, nawet jeśli ich zapytać o pogodę w Buenos Aires. Dwadzieścia cztery stopnie, a jeśli nie, zapewne Bóg chciał inaczej. Monopol na wiedzę niepodważalną... Zapewniam cię, że gdyby nie rak, do głowy by mi nie przyszło skracać sobie życie. Masz rację, nie jestem typem samobójczyni. Wolę jednak sama wybrać datę śmierci, niż umierać tak nieestetycznie. Mam weronal, mam morfinę.

A moja decyzja daje mi niepowtarzalną okazję do pożegnalnej zabawy.

Zwróciła się do wszystkich.

– Dlaczego to wy dostaliście szansę na spadek? – zapytała mocnym głosem. – Większość nie jest lepsza w niczym od tych, których pominęłam. Cóż, widocznie to was uznałam za względnie interesujących i oczekuję, że dostarczycie mi rozrywki. Poza tym chciałam, żeby przyjechali krewni wszystkich moich mężów. Tak, Ignacy – zwróciła się do lekarza. – Tylko dlatego tu jesteś. Jak na Neumannów, wydajesz się jednostką wybitną. Wystarczy, znudziliście mnie już.

Westchnęła teatralnie.

– Mam nadzieję, że jeszcze dziś dołączy do nas mecenas Wasilewski. Ale spotkanie go oczywiście dopiero rano. Zwolniłam służbę. Dziś byli w pracy po raz ostatni. Otrzymali odpawy, więc sądzę, że są zadowoleni... Zresztą to bez znaczenia. Rano już ich tu nie będzie. I proszę jutro bez hysterii, że niby ukochana krewna w obliczu śmierci... i tym podobne sentymentalizmy. Oczekiwanie przez was wydarzenie ma nastąpić do południa, ale wiecie, że różnie bywa z morfiną... Nie wiecie? Tak, przecież teraz młodzi ludzie nie korzystają. Robert na przykład nawet tej nazwy nie słyszał. Dostałam podobno dawkę na dwie osoby, ale nie mam pewności, czy zabije mnie w miarę sprawnie. Zawsze byłam bardzo wytrzymała. Po mojej śmierci zachowujcie się przyzwoicie. Mecenas Wasilewski odczyta wam testament. Dacie sobie radę bez służby, zresztą i tak większość nie jest przyzwyczajona do luksusów. Pamiętajcie, żeby nie jeść w kuchni, tylko w jadalni. I odpowiednio się ubierać do kolacji. Jakieś zasady muszą obowiązywać. I proszę zająć się Maurycym, którego potem poznacie, gdzieś się zapodział. Podsumowuję: zostajecie sami. Spadkobierca zadecyduje, co dalej. Jeszcze jedno: dziś w nocy będzie burza śnieżna, coś, pech, ale to sprawdzone wiadomości, z niemieckiego radia. Polskie rzecz jasna tu nie dociera. W kwestii pogody można wierzyć Niemcom. Śnieżyca, stary pałac w leśnej głuszy, ciotka nieboszczka... Łatwo się przestraszyć. Jeśli ktoś lubi się bać. Udanego sylwestra wam życzę.

Odpowiedziała jej cisza.

– Przywykłam do tego, że przystojni młodzi mężczyźni pchają mój wózek – spojrzała kpiąco na Rowińskiego. – To podobno prasuje zmarszczki. Jedziemy.

Jak na komendę wszyscy wstali. Odprowadzili wzrokiem wózek pchany przez Rowińskiego. W ciszy słychać było tylko skrzypienie kół.

Nie patrząc sobie w oczy, goście się rozeszli. Dopiero w pokojach uświadomili sobie, że na kolację nie dostali nic do jedzenia.

Janowiec, w nocy

Padał śnieg. Niemieckie radio chyba się pomyliło. Żadna burza śnieżna, tylko zawzięte spadanie małych płatków. Ciche, spokojne, nieprzerwane.

O drugiej w nocy Helena otworzyła okno. Robiła tak zawsze, nawet w największy mróz. W pokoju nie przebywał zresztą nikt, kto mógłby protestować. Jej męża nie było. Wyjrzała. Tak, już był spokój. Chyba po wszystkim. A, nie. Jeszcze jakieś przeraźliwe miauczenie. I cisza.

Wróciła do łóżka. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w otaczające ją meble. Da się wytrzymać, przynajmniej w porównaniu z pokojem Jareckiej. Sypialnia Wandy wyglądała tak, że nawet dobrze wychowana Helena wybuchnęła śmiechem. Metalowe łóżko, sosnowa szafa, wielki krucyfiks, drewniana skrzynia z nieoheblowanych desek oraz lustro bez ramy, zawieszona chyba jedynie po to, by wchodzący mogli zobaczyć swoją głupią minę. Tak, pokój Rowińskich był znacznie przyjemniejszym miejscem.

Helena stworzyła już na temat rozlokowania gości własną teorię, którą na razie postanowiła zachować dla siebie. Przynajmniej dopóki nie obejrzy choć jednego pokoju przeznaczonego dla krewnych. Wyciągnęła się na łóżku. Tak, jedwab był prawdziwy. Choć pomalowany w kaszubskie wzory.

Nina siedziała w białym fotelu, na tle białej ściany. Cały jej pokój wyglądał jak zalany mlekiem. Nawet lampa rzucała młeczne światło. Ciotka Wirydianna i jej chciała coś przekazać. Nina wiedziała co, jednak po głowie chodziły jej zupełnie inne myśli. Powinna spać, ale mimo skrajnego zmęczenia nie mogła zasnąć.

Martwiła się też o matkę. Zawsze miała wyrzuty sumienia – będąc z matką i z dala od niej. Były trochę jak te nieszczęsne dzieci zrosnięte głowami albo jakimiś ważnymi narządami. Bliźnięta syjamskie, tak. Ale te biedaki mają zwykle kogoś, kto się nimi opiekuje. Nina miała tylko matkę, a matka tylko Ninę.

Myślenie o niej było bezwiedne, jak oddychanie. Nina zabierała jej obraz wszędzie. Matka była z nią. W pracy, w kościele i na zakupach. Zawsze matka była zaniedbywana, zawsze córka poświęcała jej za mało czasu. Zawsze, zawsze, zawsze. Pracowała za dużo, ale pracowała za mało. Mówiła za głośno, ale za cicho. Nigdzie nie wychodziła, ale pewnie się puszczała. Skoro się już puszczała, to mogłaby znaleźć przy okazji męża. Nawet puszczać się nie umiała porządnie.

Taką litanię Nina słyszała dzień w dzień. Teraz, mimo niepokoju, odczuwała ulgę. Nikt nie będzie jej wołał, jęczał ani udawał, że natychmiast trzeba biec po lekarza. Pierwszy raz od trzech lat zostawiła matkę samą na noc. Nina uśmiechnęła się do siebie. Tak, nawet oddychało się lżej. Niech pani Teresa się pomęczy przez te kilka dni z matką, warto było

za to zapłacić.

A Nina po tej wizycie zyska w końcu jasność.

Ignacy ze wstydu i upokorzenia długo nie mógł zasnąć. Dobrze wiedział, czego się spodziewać po tej podróży. Wszyscy wiedzieli, a mimo to stawili się na rozkaz. Pasma nieprzyjemności. Co choćby miał znaczyć ten pokój, urządzony w stylu zakopiańskim? Ciotka w ten sposób coś sugerowała? Tak, baronowa na pewno wiedziała o jego byłej narzeczonej, która porzuciła go podczas pobytu w Poroninie. Dla niedomytego tubylca z ciupagą.

Na koniec dostaną pewnie figę z makiem, bo okaże się, że ciotka spieniężyła majątek, a gotówkę wpłaciła na biedne sierotki. Nie dlatego, że cokolwiek obchodziły ją sieroty. Nie. Tak po prostu – dla kaprysu. I żeby upokorzyć rodzinę. Ludzie często go upokarzają, więc powinien się przyzwyczaić. Ale nie jest łatwo.

Myślał o krewnych. Czują się podobnie jak on czy może są nie tak bardzo wrażliwi na przytyki? Wyglądali na mniej przejętych. Ojciec Aleksander podczas kolacji sprawiał wrażenie rozbawionego. Pięknej pani Rowińskiej też na ustach błądził uśmiech, ale nieco melancholijny. Urszula Klimt wyglądała na zachwyconą, pewnie umieści ciotkę Wirydianę w nowej powieści. Nina, najbardziej chyba obrażana, zachowała stoicki spokój, jakby zachowanie baronowej było dla niej chlebem powszednim. Chyba zaczynał jej się trochę bać. A Rowiński? Cały czas miał impertynencką minę. Aż chciałoby mu się... nie, tak nie można nawet myśleć. Zwłaszcza on, lekarz. Spokojnie. Ale nawet ta mała Basia nie rozplakała się, choć baronowa była dla niej tak samo złośliwa jak dla dorosłych. Tak, większość krewnych nie dała się wyprowadzić z równowagi. On na tym tle wypadł jak zwykle mizernie.

Zresztą co z nich za krewni? Powinowaci najwyżej. Ignacy pochodził z rodziny pierwszego męża baronowej Korzyckiej. Neumannowie byli rzemieślnikami i sklepikarzami z podpoznańskiej Środy, a Ignacy pierwszym wśród nich człowiekiem po studiach. I to od razu medycznych.

Ale z pewnością nie dlatego dostał list.

Ciotkę od zawsze bawiła jego ambicja. Opłaciła mu pierwszy rok studiów. Drugi nie. Trzeci znowu sfinansowała. Potem przestała płacić. Ale gdy uzyskał tytuł, sprezentowała mu samochód. Tak elegancki i wielki, że nie dało się nim jeździć po Środzie bez budzenia sensacji i bandy pętałów biegających za nim wszędzie. Szybko więc sprzedał auto.

Potem już się do niego nie odezwała. Nie odpisała na jego sążniste podziękowania ani na list z informacją, że się żeni z Alicją. Ani na telegram z informacją, że ślub odwołany. Straciła zainteresowanie krewniakiem.

Aż do grudniowego listu. Dlaczego właśnie on dostał list numer cztery? Czy w uznaniu jakichś zalet, czy może wręcz przeciwnie? Żeby było śmiesznie? Żałośnie? Ciągłe się nad tym zastanawiał, a sensu i logiki nie znalazł. Ignacy westchnął i postanowił, że jednak spróbuje zasnąć.

Na dworze zerwał się porywisty wiatr. Rzeczywiście zaczynała się burza śnieżna. – Cholerni Niemcy zawsze mają rację – mruknął do siebie Ignacy i zasnął.

Urszula przyjechała do pałacu właściwie bez wyraźnego powodu. Chciała się z kimś spotkać, ale mogła się umówić choćby w Poznaniu. Przyjechała jednak tutaj. Tak, Urszula Klimt lubiła dziwne i kłopotliwe sytuacje, które dałoby się ewentualnie wykorzystać w powieści.

Rzeczywiście, jak zauważyła baronowa, sezon narciarski był w pełni. Podróż z Zakopanego do Warszawy przez Kraków, potem do Poznania i na samym końcu do siedziby Korzyckich zajęła półtora dnia. Basia należała do tych dzieci, które wspaniale sprawdzają się na górskich szlakach i w czasie rejsów po Mazurach, ale w pociągach stają się potworami. Nawet jazda luxtorpedą nie wprowadziła jej w dobry humor. Uparcie nie zdejmowała narciarskich spodni i tych idiotycznych gogli. Tak to jest, gdy wychowuje się córkę na niezależną jednostkę. Ale trzeba przyznać, że ciotki Wirydianny się wystraszyła. Może dzięki temu doceni liberalne podejście matki.

Nie, nie ma co się pocieszać. Popełniła błąd, przywoząc tutaj Basię. Zbyt wiele przykrości ją spotkało. Najgorszy był przytyk o nogach. Basia sama zauważyła, że ma krzywe. Dlatego chodziła w spodniach, a nie z powodu więzi z matką. Gdy Urszula przed snem zajrzała do pokoju córki, dziewczynka udawała nonszalancję, nawet pokpiwała z ciotki. Matka wiedziała jednak, że Basi jest bardzo przykro. Doszła do wniosku, że powinny być zostać w Zakopanem albo wrócić do domu.

Urszula pieniędzy nie potrzebowała. Zarabiała świetnie jako Maria Lemborska, autorka romansów w odcinkach. Kilka razy przymierzała się do wkroczenia w obszary literatury wysokiej, ale po całkowitym fiasku wydanego w poprzednim roku tomiku *Drgnienia świadomości* dała sobie spokój.

Westchnęła, moszcząc się wygodniej w różowej pościeli na różowym łóżku. Róż był obrzydliwie czytelną aluzją do pokoju bohaterki *Ostatniego spojrzenia* – Anieli, szlachetnej córki despotycznego ojca, który wydał jedynaczkę za bogatego starca. Trzeba oddać ciotce, że ma poczucie humoru. Inna rzecz, że bohaterka w takim różowym pokoju wyzionęła ducha na suchoty. Urszula wzdrygnęła się na tę myśl. Chyba aż za dobrze to opisała. Zbyt realistycznie.

Zgasiła światło. Już lepiej. Ciemno. Na wsi jest zawsze jakoś ciemniej niż w mieście. O, smuga światła na korytarzu zniknęła. Inni więc też śpią. Przed nimi wiele wrażeń.

Na razie była egoistycznie zadowolona z podróży. Zyskała temat do nowej powieści. Szalona ciotka obdarowuje majątkiem biedną sierotę. Wśród zawistnych krewnych trwa walka o obalenie testamentu. Czy zwycięży sprawiedliwość? Zapewne, po wielu perypetiach, tak. W końcu drobnej blondynce (Kornelia? Kwiryna?) pomoże przystojny brunet, prawnik Witold. Zdecydowanie, musi być sierota. Bez sieroty nie ma poczytnego romansu. Urszula uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją. I natychmiast zasnęła.

Wanda rzeczywiście była egzaltowana. Wiedziała, że w jej wieku jest to już trochę śmieszne, ale po pięćdziesiątce trudno się odzwyczaić od czegokolwiek, a co dopiero od własnego usposobienia.

Wzdychała w ciemnościach. Nie mogła zasnąć, przeszkadzało jej w tym silne kołatanie serca. Od jakiegoś czasu czuła je przy każdym wzruszeniu. A wzruszała się przynajmniej raz dziennie. Kilka dni w pałacu skróci jej życie o pięć lat. Albo nawet sześć. Może warto

iść do Ignacego po kropelki na uspokojenie? Już nie wypada, jest środek nocy. Zawsze to mężczyzna, nie do końca z rodziny. Tak, poczeka do rana.

Myślała o tym, jak głupio postąpiła, wsiadając dziś do pociągu. Żałowała przyjazdu do ciotki. Miała przecież emeryturę po mężu. Nie potrzebowała dodatkowych pieniędzy. Teraz to zrozumiała. Tak, była właściwie zamożna... Tyłu jest biedniejszych ludzi. Te dzieci na misjach, na przykład... Rozmyślania przerwał jej odgłos kroków. Ktoś chodził po korytarzu! Zmartwiła i wsłuchiwała się w ciemność.

Ojciec Aleksander odmówił w nocy brewiarz. Dwa razy. Odmówiłby i trzeci, ale także on usłyszał kroki na korytarzu. Uznał to najpierw za naturalne. Ludzie snują się nocami. Może ktoś nie może zasnąć. Albo jeden z gości udał się do łazienki.

Do kroków dołączyło skrzypienie. Wózek? Jednym susem doskoczył do drzwi. Otworzył je zamasyście. Nic. Nikogo nie było. Ciemność. Możliwe, że to ciotka?

Rozsądny kapłan odmówiłby ponownie brewiarz i poszedł spać. Rozsądny tak by uczynił. Ale ojciec Herbst narzucił na siebie szlafrok i wybiegł w ciemność, zauważywszy przy okazji, że włącznik światła nie działa. Następnie potknął się o coś, co po przyjrzeniu okazało się figurą Kupidyna. Poczł silny ból lewej nogi. Korytarz był pusty i ciemny. Światła nie dało się zapalić także tutaj. Pewnie przez śnieżycę i wichur elektryczność wyłączyli. Padało przecież od wieczora.

Dobrze, czyli nie ma prądu, a ciotka jechała korytarzem na wózku. No i co z tego? Czy osoba planująca samobójstwo nie może korzystać nocą z korytarza we własnym domu? Czy w obliczu planowanej śmierci nie może dojść do awarii elektryczności? Uznawszy, że może, postanowił dać sobie spokój.

A może to nie była ciotka, tylko jakieś omamy dźwiękowe. Już dawno zauważył, że z jego słuchem coraz gorzej. Mszczą się lata spędzone z niezbyt uzdolnionymi wokalnie współbraćmi. Tak, pewnie o to chodzi.

Lekko kuśtykając, wrócił do pokoju i się położył.

Janowiec, siódma rano

Nie żyje.

– Nie ma prądu.

Oba komunikaty Ignacy, ubrany w szlafrok i boso, przekazał tym samym tonem. Stał w ciemnym korytarzu, rozjaśniając mrok jedynie świeczką trzymaną w rękach. Wanda uznała, że prawdopodobnie wciąż śni. Zamrugła więc kilka razy, żeby dziwaczna wizja zniknęła sprzed jej oczu. Nic z tego. Wszystko działa się na jawie.

Była siódma rano. Wanda spała tej nocy dwie godziny, z przerwami. Zasnęła dopiero nad ranem, kiedy zyskała całkowitą pewność, że po korytarzu już nikt nie chodzi. Teraz nie była więc całkowicie przytomna. Spojrzała jeszcze raz na Ignacego. I na świeczkę. Tak, świeczkę zapala się, gdy ktoś umrze. Albo może się gasi, gdy ktoś umrze? W tym stanie umysłu pewności nie miała.

Doktor Neumann przeczesał palcami rzednące włosy. Popatrzył wyczekująco swoimi okrągłymi szarymi oczami. Widocznie powinna coś powiedzieć albo zrobić. Ignacy nie wyglądał na człowieka, który chciałby wykazać inicjatywę.

Wanda ziewnęła głośno i to jej trochę przywróciło jasność myślenia. Stała w progu, obciążając koszulę nocną. Ponieważ ostatnio trochę przytyła, koszula zrobiła się krótsza i odsłaniała nogi na nieprzyzwoitą wysokość. Powinna była włożyć szlafrok.

Nagle uświadomiła sobie, co usłyszała.

– Ciotka Wirydianna nie żyje? Ale miała się zabić dopiero dzisiaj w południe! Nie w nocy.

Absurdalnie zabrzmiały te pretensje. Ignacy obrzucił Wandę uważnym spojrzeniem.

– Nie, nie ciotka. Nie ośmieliłbym się wejść do jej sypialni. Nie żyje Tadeusz. Ktoś go udusił. Ma na szyi ślad, prawdopodobnie po sznurku albo kablu. Te drzwi były pierwsze, więc zapukałem. Przepraszam, ale w tym zmieszaniu... Tak więc ma na szyi ślady po... chyba sznurku, nie jestem pewien. Trzeba...

– Mój Boże, przecież tylko my tutaj jesteśmy. Służba wyjechała wczoraj. Słyszałam samochody, tuż przed północą. Wyjrzałam nawet przez okno. Czyli jesteśmy sami z ciotką. Chryste! To przecież oznacza, że ktoś z nas go zabił.

Zaczęła głośno oddychać. Ignacy pokiwał głową.

– Tak. Nie ma innej możliwości. Być może ktoś chyba uznał, że Tadeusz zostanie spadkobiercą. I postanowił go wyeliminować.

Wanda poczuła się bliska omdlenia.

– Ale przecież... Nie, nie... Mamy wszyscy swoje wady, jednak nie ma wśród nas...

Ignacy przerwał jej pytaniem.

– Kto jest najbliższym krewnym Tadeusza? Wśród nas.

– Zenon był synem jej brata, więc on... Tak, gdyby nie testament, właśnie Zenon powinien być spadkobiercą. Tylko on, Aleksander i Tadeusz byli krewnymi ciotki, a nie któregoś z jej mężów. Ale przecież...

– Owszem, Zenon też nie żyje – powiedział z naciskiem Ignacy. – Spokrewnieni z samą ciotką są Tadeusz i ojciec Aleksander. Oni by dziedziczyli, gdyby na przykład testament się zgubił... spalił... cokolwiek... A teraz nie ma Tadeusza... Został tylko ojciec Herbst.

– Żarty sobie stroisz?

– Głośno myślę, próbuję to jakoś uporządkować... Nie znam się na prawie spadkowym. Ale zabójca też mógł się przecież nie znać. Musimy zawiadomić ciotkę. I pozostałych.

– Ale kto pójdzie do Wirydianny z taką wieścią? Przecież ona gotowa od tego umrzeć!

– Przecież ona chce umrzeć.

– Mój Boże, ale nie z nerwów. Kto pójdzie?

Ignacy wyraźnie się speszył. Reakcja ciotki była trudna do przewidzenia. Mogła wpaść w rozpacz, wybuchnąć śmiechem, a nawet machnąć ręką i uznać, że nic jej to nie obchodzi.

– Ja nie. Może ojciec Aleksander? Przecież nikt go nie podejrzewa... to duchowny. Proszę tak na mnie nie patrzeć! Jego trzeba poprosić.

Wreszcie chyba dotarło do niego, że informując benedyktyna, pozbędzie się ciężaru odpowiedzialności. Zakonnik coś wymyśli. Wanda skrzywiła się z niesmakiem. Tacy są teraz młodzi mężczyźni. I to lekarz. Sam podejmuje decyzje w sprawie pacjentów czy pyta o radę salowe?

– Tak będzie najlepiej – orzekła. – Duchowny jest bardziej na miejscu w takiej sytuacji. Oni mają praktykę w sprawach ostatecznych... Idź po niego.

Wanda wycofała się do swojego pokoju, a Ignacy poszedł po Herbsta. Przywitał go już ubrany.

– Kto? – zapytał od razu.

– Tadeusz. Uduszony. Trzeba powiedzieć ciotce.

Ojciec Herbst nic nie mówił, dopiero po dłuższej chwili odzyskał głos.

– Ależ byliśmy głupi, Ignacy. Jeśli przecucie mnie nie myli, powiadomienie jest bezcelowe. Niech zgadnę, elektryczność nie działa?

– Słucham?

Ignacy zbladł. Płomień świecy zachybotał, przez co lekarz wyglądał niczym postać z tragedii.

– Chodźmy. Wezmę tylko świecę. – Zakonnik ruszył przodem.

Rzeczywiście, najwyraźniej w całym pałacu nie działała elektryczność. Szli więc w półmroku. Herbst skierował się do sypialni ciotki. Dołączali do nich pozostali goście. Jakby tylko czekali, aby wyjść ze swoich pokojów.

Panowała cisza. Nikt nie wpadł w histerię. Żadnych krzyków ani płaczu. Szli gęsiego, prowadzeni przez Ignacego, który niósł największą świecę, oświetlając im drogę. Boją się, pomyślała Nina. Tadeusz nie żyje, a oni martwią się o własne życie... A Rowińscy? Jakie eleganckie szlafroki, pewnie z prezentów ślubnych. Teraz taka głupia moda, żeby para miała komplet, w tym samym stylu. Jakby chcieli wszystkim powiedzieć: „Świetne z nas małżeństwo, nawet szlafroczi mamy w takim samym odcieniu błękitu”. Potknęła się. Usłyszała parsknięcie.

– Przepraszam – szepnęła do niej Basia, stojąca jak zjawą w za dużej męskiej piżamie. – Szkoda pana Tadeusza, ale to wszystko komicznie wygląda. Procesja. Ksiądz, za nim lekarz jak ministrant ze świecą, my na koniec z grobowymi minami. Ciotka powiedziała, że brakuje odpowiedniej muzyki. Może zanucimy jakąś pobożną pieśń?

Zamilkła, widząc pełne zgrozy spojrzenie Wandy, ale na znak buntu przewróciła jeszcze znacząco oczami.

– Tobie, dziecko, rzeczywiście trzeba męskiej ręki. Żeby nawet w takiej sytuacji...

– A gdzie twoja mama, Basiu? Tylko jej brakuje – zapytała Nina, przerywając ciotce.

– Śpi, ona nie wstaje przed południem. Pracuje nocami.

Helena wyłapała pełne niechęci spojrzenie Niny. Bardzo spostrzegawcza osoba, ale dlaczego nie próbuje ukryć antypatii? Nieswojo się czuję, gdy ludzie nawet nie próbują udawać dobrze wychowanych, pomyślała Rowińska.

Stanęli przed drzwiami sypialni baronowej. Cisza. Ojciec Herbst zapukał. Potem trochę mocniej. W końcu pchnął drzwi, które okazały się otwarte.

Weszli gęsiego. Na łóżku leżała ciotka Wirydianna, w sukni z wczorajszego wieczoru i w butach. Obok łóżka stał wózek inwalidzki. Jak na dziewięćdziesięciopięcioletnią nieboszczkę baronowa wyglądała wręcz kwitnąco.

– Ignacy, obejrzyj jej szyję – poprosił Herbst spokojnie.

– Uduszona – stwierdził szeptem Robert, zanim lekarz podszedł do łóżka.

Neumann potwierdził.

– Identyczne ślady jak u Tadeusza. Uduszenie. Trzeba czekać na policję.

Schylił się i podniósł przedmiot leżący obok ciała.

– Prawdopodobnie tym paskiem.

Odłożył brązowy elegancki pasek na łóżko. Zdenerwowany spojrzał na swoje ręce.

– Nie należy dotykać dowodów rzeczowych. Mam nadzieję, że...

– Nie martw się, przecież rozumiemy. Podniosłeś odruchowo. Jeżeli policja zapyta, wszyscy potwierdzimy – zapewnił go Herbst.

– Przepraszam, niemądry ze mnie egoista. W takiej sytuacji...

– Dość – przerwał mu ojciec Aleksander. – Wychodzimy. Trzeba tu wszystko zostawić bez zmian...

– I zatelefonować na policję. Natychmiast! Żeby w przyzwoitej rodzinie... Dobry Boże! Serce mnie boli! Ono tego nie wytrzyma! – dopowiedziała Wanda.

– A ja właśnie się zastanawiam, czy w takiej przyzwoitej – powiedział głośno Robert.

Zakonnik wziął klucz leżący na komodzie i skierował się do wyjścia. Za nim wszyscy udali się do drzwi. Ostatnia była Helena, która szybko podeszła i zamknęła nieboszczce oczy.

– Teraz każdy wraca do siebie – ogłosił Herbst na korytarzu. – Musimy zdecydować, co dalej, nie będziemy jednak dyskutować w szlafrokach. Sprawa jest poważna. Basiu, obudź mamę. O ósmej widzimy się w salonie.

– A właściwie dlaczego mamy ojca słuchać? – odezwał się zaczepnie Robert. – Ma ojciec doświadczenie z morderstwami? To nie parafia w Koziej Wólce, żeby wszyscy proboszcza słuchali. Najpierw trzeba wezwać policję.

Zakonnik popatrzył na niego spokojnie. Po co się wyzłośliwia? Popisuje się przed żoną,

która stała zawstydzona z opuszczoną głową. Biedna kobieta.

– Po pierwsze, policja nie przyjedzie. W każdym razie nie teraz. Na dworze jest co najmniej metr śniegu. I wciąż pada. Po drugie, telefony nie działają z tego samego powodu. Po trzecie, tak, miałem do czynienia z morderstwami.

Rowiński zamilkł. Benedyktyn zamknął drzwi do sypialni baronowej. Klucz włożył do kieszeni habitu, rzuciwszy pytające spojrzenie na zgromadzonych. Nikt nie zaprotestował.

– Pokój Tadeusza również zamykamy. Panie Robercie, proszę pójść ze mną. Chcę mieć świadka tego zamykania. Drodzy państwo, zdaje się, że na razie jesteśmy zdani wyłącznie na siebie.

Janowiec, ósma rano

Całe towarzystwo karnie stawiło się w salonie, choć Urszula robiła początkowo wrażenie nieprzytomnej. Ale już po chwili wyjęła notatnik i z zadowoloną miną zaczęła coś pisać, pogwizdując nawet z lekka. Oburzyło to Wandę, która nic jednak nie powiedziała, natomiast postanowiła to sobie zapamiętać.

Basia została w pokoju, bo matka uznała, że dość już wrażeń dla trzynastoletniej panny. Wanda była przekonana, że dziewczynka gdzieś się ukryła i podsłuchuje. Nie zdziwiłaby się, gdyby córka pisarki stała za kotarą, która właśnie lekko się poruszyła. Wanda podeszła i jakby mimochodem ją odsunęła. Nic. Ale przysięgłaby, że coś tu było.

Zasiedli w niebieskich i zielonych fotelach, z których część nawiązywała do stylistyki secesyjnej, a reszta była dziełem awangardowego szwajcarskiego projektanta mebli, wedle którego fotel jest albo piękny, albo wygodny. Te należały do pierwszej kategorii. Baronowa zadbała o to, by goście nie czuli się u niej zbyt komfortowo.

Początkową milczącą zgrozę zastąpiły po chwili dyskusje prowadzone szeptem w mniejszych grupach. Ignacy trzymał za rękę ciotkę Wandę i mierzył jej puls. Przy okazji tłumaczył, że jeśli nieboszczyk leży w domu przez jedną lub dwie doby, to nie przyczyni się do wybuchu epidemii. Nawet dwoje nieboszczyków.

Robert rozpalał w kominku, bo wszystkim zaczynało dokuczać zimno. Śnieg padał nieprzerwanie, tworząc za oknem miękką ścianę bieli. Zaspą dochodziła już do parapetu.

Najgorszy sylwester w życiu. Z najnudniejszymi ludźmi. Daje się we znaki jednak różnica klasowa. I po co to wszystko, skoro nasza sprawa jest już załatwiona? I jeszcze ten pasek, ciekawe, bardzo ciekawe, w zasadzie to najważniejsza niewiadoma. Ktoś się bawi naszym kosztem? Ale nikt tutaj nie wygląda na żartownisia. A Helena nigdy się nie myli co do ludzi, nigdy. Panie natomiast wyglądają, jakby mogły skoczyć sobie do oczu. Ta Nina bardzo jest nerwowa, ciągle rękawy naciąga, a Urszula patrzy na nią podejrzliwie. Urszulę za to obserwuje Wanda. Ksiądz jakiś nieobecny, zgrywa uduchowionego, a ciągle miażdży te orzechy, niby odruchowo. O, Helena znowu... Może zafundują mi trochę rozrywki. Choć wolałbym zdecydowanie sylwestrowe tańce. Tylko z kim? Zapomniałem też o żałobie. Nikt nie będzie chciał tańczyć. Głupia sprawa z tym Tadeuszem. Już wszystko szło ku dobremu, a tu taka historia... nic, i tak przecież nie byłoby z niego wielkiego pożytku. Zakaszlałby się na śmierć prędzej czy później, więc może to i nawet nie była jakaś wielka zbrodnia. Ale nieprzyjemnie.

Na szczęście w piwnicy jest sporo wina. Mogę się znieczulić, chyba że znowu będą te dziwne pretensje. Cóż za męcząca sytuacja! Ile można pokutować, skoro – jak by się uważnie przyjrzeć – inni też mają wiele na sumieniu, myślał, manipulując pogrzebaczem.

Do zakonnika podeszła Helena i po cichu coś mu relacjonowała. Nina zapatrzyła się

na Rowińską. Mimo niewyspania i smutku Helena wyglądała pięknie. Jej oczy wydawały się jeszcze większe, usta bardziej różowe, a cera delikatniejsza niż zwykle. Tak, to był ten typ kobiety, którego inne kobiety lubić nie mogą.

Pomyśleć, że jesteśmy w tym samym wieku... Tadeusz był od nas młodszy. Ale ona nie musiała nigdy pracować i pewnie nie będzie musiała... To nawet nie ekonomiczna niesprawiedliwość. To biologia. Z takim wyglądem znalazłaby bogatego męża, nawet mieszkając w wiejskiej chacie. Właściwie mogła poszukać kogoś ze znacznie lepszej rodziny niż Robert.

– Pan Robert słusznie zwrócił mi uwagę – odezwał się głośniejsz Herbsta, a Nina wzdrygnęła się, jakby czytał jej w myślach. – Nie powinienem zachowywać się po proboszczowsku i zarządzać państwem. Wybaczcie.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego. Wstał z fotela. Nie sposób siedzieć na tym szwajcarskim dziele sztuki, z nogami pod szyją.

– Proponuję jednak, aby ktoś pokierował naszą dyskusją, bo musimy coś postanowić. Sytuacja jest... niecodzienna. To z pewnością. Proponuję pana Roberta.

– Odmawiam – odparł krótko Rowiński. – Nie mam zdolności przywódczych ani rozjemczych. Zajmę się lepiej kominkiem, a państwo sobie dyskutujcie. Potem rozpalę ogień w waszych pokojach, wedle woli. To miłe, prymitywne zajęcie. Mnie zadowala.

Wrócił do manipulacji pogrzebaczem.

– Może ktoś się zgłosi na ochotnika? – ponowił pytanie Herbsta.

– Już lepiej sam się tym zajmij. Nie czas na animozje, dobry Boże, przecież tu jest morderca! Ktoś z nas, bo chyba nie kryje się w piwnicy? Właśnie! Trzeba sprawdzić piwnice i strych! – wykrzyknęła Wanda.

– Dobrze, wrócę zatem do swoich nawyków. Ale proszę, żebyście mnie państwo wspierali i starali się zachować spokój. Urszulo, co tam notujesz? Mam nadzieję, że nie pomyśl na powieść. Nie chciałbym trafić na karty powieści w odcinkach.

– Nie. Chociaż to zapewne nawyk zawodowy – wyjaśniła i odłożyła notes. – Notuję sobie, co właściwie nawzajem o sobie wiemy. Kiepska z nas rodzina. Dochodzę do wniosku, moi drodzy, że bardzo słabo się znamy. W związku z tym każdy wydaje mi się potencjalnym mordercą.

– Doskonale, doskonale. Potrafisz podnieść na duchu – zachnęła się Wanda.

Urszula zlekceważyła jej uwagę, sięgnęła po notes i wróciła do notatek. Nieoczekiwanie inicjatywę wykazał się Ignacy.

– To nikt z nas. Myślę, że powinniśmy przeszukać cały pałac. Ktoś mógł się ukryć. – Na te słowa Wanda się przeżegnała. – Do piwnicy zajrzeć nie zaszkodzi. I na strych. Obejść cały dom. Kto ze mną?

– Dobrze. Skończymy zebranie parafialne i pójdziemy – powiedział Robert.

Zakonnik uśmiechnął się do niego łagodnie.

– Ja również do was dołączę. A ty, Urszulo, skoro już wyjawiałaś na głos to, co wszyscy skrycie sobie myślimy, przeczytaj nam swoje spostrzeżenia.

– Kiedy wrócić z tego obchodu – powiedziała Urszula.

– Dobrze. Musimy uporządkować informacje i opinie. Jeśli chodzi o mnie, to nie zgadzam się z Ignacym. Sądzę, że wśród nas jest morderca. Chętnie przeszukam z panami

cały pałac, jednakże... wątpię w rezultaty, przykro mi. Lżej byłoby pomyśleć, że złoczyńcą jest ktoś ze służby, ale niestety wszyscy – jedenaście osób – wyjechali. Liczyłem wczoraj, patrząc z okna.

– Ciekawe, że ich porachowałeś. Mnie to by do głowy nie przyszło – zauważyła Urszula.

– Ja także policzyłam – przyznała się Wanda. – Komplet. Chyba że jeszcze ktoś, kogo nie znamy, został. I ukrył się w pałacu. Czy ktoś mi wyjaśni, kim jest Maurycy? I gdzie on jest? Może to on zabił?

– Jaki znowu Maurycy? – zapytał zirytowany Rowiński.

– Wando, masz rację, ciotka wspomniała o jakimś Maurycym! – Herbst poczuł, że właśnie to mu umknęło.

– Może prawnik nosi takie imię – zasugerowała Helena, rumieniąc się.

– Owszem, to imię pasuje do prawnika – potwierdziła z przekonaniem Wanda.

– ...Anzelm zaś doskonale nadaje się dla kominiarza – dorzucił kpiąco Robert od kominka.

Jego żona znowu się zarumieniła, a Wanda spojrzała z oburzeniem na Rowińskiego. Ten nic sobie z tego nie robił, wręcz zaczął lekko pogwizdywać przez zęby.

Co ona wciąż się czerwieni jak pensjonarka jakaś? Nieśmiała skromnisia. Irytuje mnie. Obiektywnie. Nie tylko dlatego, że ładna. Obiektywnie, bo wydaje się fałszywa. Nikt nie jest aż tak słodki, to niemożliwe. Ciekawe, czy można się nauczyć rumienić na zawołanie?, dumiała Urszula, wodząc ołówkiem po kartce z notatnika i nie spuszczać wzroku z Rowińskiej. Helena odwzajemniła jej spojrzenie. Jasne, czyste oczy. Wcielenie dobroci. Tym razem zarumieniła się pisarka, ze wstydu i zażenowania.

Urszulo, ty zazdrosna babo w średnim wieku. To, co uznałaś za fałsz, jest uroczą cnotą młodości, której już nie potrafisz rozpoznać. Rumieni się, bo jej wstyd za męża. Normalne u młodych mężatek. Ty się rozwiodłaś, zamiast rumienić. I dlatego teraz jesteś cyniczna.

– To w końcu duży pałac, teoretycznie ktoś mógł się tu schować – powiedział Herbst, ignorując Rowińskiego i odgłos pękającego ołówka Urszuli. – Dlatego przeprowadzimy poszukiwania. Mamy nawet broń... wisi tego sporo na ścianach. Nie, żartuję, Wando, z pewnością jej nie użyjemy, wyłącznie prewencyjnie... – Tu przerwał i dokończył już zupełnie innym, zdecydowanym tonem. Urszula wzdrygnęła się, bo w taki sam sposób mówił do niej piętnaście lat temu. Próbował jej wówczas wybić z głowy małżeństwo z człowiekiem bez kręgosłupa moralnego. Nie posłuchała. – Najprawdopodobniej nikogo nie znajdziemy. Spośród trzech szoferów jeden pracował na stałe, pozostałych wynajęto, by zabrali nas z dworca i wieczorem odwieźli służbę. Planowali wyjazd. Tak mi wczoraj powiedział najmłodszy, przedstawił się jako Antoni. Żaden nie wrócił. Oni wszyscy mieszkają w okolicy, oprócz kamerdynera, to podobno lwowiak. Czyli mamy kamerdynera, który nie miałby chyba siły zabić kogokolwiek, oraz same kobiety.

– Jeszcze lokaj. Silny byczek. Gołymi rękami dałby radę kark złamać – wtrącił niespodziewanie Rowiński, odwracając się wreszcie od kominka. Usiadł obok żony i chwycił ją za rękę.

– Także zwróciłem na niego uwagę – pokiwał głową Herbst, obserwując, jak Helena lekko, prawie niezauważalnie się wzdrygnęła. – Rzucił się w oczy. Ale bez wątplenia również wszedł do samochodu.

– Wsiadł – potwierdziła Wanda.

– Przystojny, prawda?

Wanda wzruszyła ramionami i przeniosła wzrok na biel za oknem, ignorując pytanie Urszuli. Ojciec Aleksander spojrzał na nie uważnie. Ciekawa sprawa. Dlaczego pisarka i jej czytelniczka okazują sobie jawną niechęć? Zaledwie wczoraj Wanda robiła wrażenie podekscytowanej rozmową z autorką poczytnych romansów. Teraz zaś patrzyła na nią jak na wroga.

Nina wstała z niewygodnego fotela. Irytowało ją, że nie sięga stopami podłogi. Skierowała wzrok na Herbsta.

– Ktoś z nich mógł oczywiście wrócić w nocy. Rzecz w tym, że cały czas padał śnieg, powstały już chyba metrowe zaspy.

– Koło północy nie były jeszcze takie duże – zauważył Robert. – Dało się przejść. Moim zdaniem. Ale moje zdanie się nie liczy. Ja nie mam święceń.

Helena rzuciła mu zawiedzione spojrzenie. Benedyktyn pomyślał, że mąż regularnie dostarcza tej pięknej kobiecie rozczarowań, jakby taki sobie ustalił cel w życiu.

– Proponuję, żebyśmy wraz z Ignacym i panem Robertem poszukali ewentualnych śladów włamania, choć trzeba pamiętać, że ktoś mógł mieć własne klucze. Ale co innego wrócić do pałacu, a co innego móc z niego wyjść. Wziąwszy pod uwagę te zaspy... sam nie wiem...

– Czyli mordercą jest ktoś obcy! I czai się w pobliżu! Moje serce tego nie wytrzyma! – wykrzyknęła Wanda, dotykając klatki piersiowej.

– Wolałaby pani, żeby to był ktoś z nas? – ugrzecznionym tonem zapytał Rowiński, uśmiechając się przy tym promiennie.

Wanda wyraźnie zbladła. Helena zrezygnowana pochyliła głowę.

– Widzę, że lubuje się pan w straszaniu wrażliwych osób – wtrąciła Nina, wyciągając papierosa. – Czemu ma to służyć?

– Rozrywce, droga pani, niewinnej rozrywce. Trzeba wzbogacać życie, zwłaszcza w zimowe poranki – odrzekł Robert ironicznie i jednocześnie podał jej ogień. Nina zapaliła, unikając jednak wzroku Rowińskiego

– Te spory są doprawdy dziecinne. Nie kłóćcie się o istotę rzeczy, ale o miejsce w hierarchii – stwierdziła Urszula Klimt, przeciągając się lekko. – To, że się nie lubimy, nie znaczy, że mamy na siebie krzyczeć. Przejdźcie się panowie po pokojach, obejrzyjcie uważnie każdy kąt...

– Zabrzmiało jak: „Idźcie, chłopcy, się pobawić” – wtrącił Herbst.

– Cóż, ty to powiedziałaś. Ja uważam, że nie ma sensu nikogo szukać. Zabił ktoś z nas. Ale pochodźcie sobie. Ruch jest dobry na myślenie. Ja wymyślam najlepsze fabuły podczas spacerów. Tak, przejdźcie się panowie po pałacu.

– I po piwnicy, a także po strychu! Weźcie świece i jednak tę broń, najlepiej muszkiet z jadalni i miecz! Oraz gwizdek, gdyby trzeba było wezwać pomoc! Trzeba go szybko dorwać, bo moje serce nie wytrzyma! – dodała Wanda.

Rowiński zaczął się śmiać. Pozostałe osoby popatrzyły na siebie nawzajem, nieco skrępowane taką dawką egzaltacji. Urszula pomyślała: Oto dlaczego nie lubię spotykać swoich czytelniczek.

– Do boju. Wiemy, że chcecie chronić niewiasty i dzieci – oznajmiła na głos. – A jeśli

nie znajdziecie śladów włamania czy wręcz mordercy we własnej osobie... Wando, proszę cię, nie łap się znów za serce, to deprymujące ...to będziemy zmuszeni podejrzewać się nawzajem. I wtedy, Wando, dopiero zrobi się nieprzyjemnie. A gdzie doktor Neumann? Przed chwilą tu był.

– Pójdę go poszukać – stwierdził Rowiński.

Ojciec Herbst pomyślał, że chyba nie powinno się zostawiać Roberta samego. Ignacego także.

– Pójdę z panem. Będzie nam różnie. A potem sprawdzimy chociaż część pałacu. Przede wszystkim strych. Wydaje mi się, że coś tam... Nie, nie człowiek, raczej szcur... Coś szura. Wando, ja też cię proszę, zachowaj spokój. Musimy to sprawdzić.

Doktor Neumann znalazł się szybko, zaraz przy głównym wejściu. Próbował otworzyć drzwi frontowe, podważając je rozmaitymi przedmiotami. W tym jednym mieczem i dwiema szablami.

– Nic z tego. Całkiem nas zasypało. I wciąż pada. Ugrzęźliśmy w pałacu.

Perspektywa spędzenia sylwestra w pałacu wyraźnie go uradowała. Pewnie nie dostał żadnych zaproszeń, nieszczęsny wieśniak z doktoratem, pomyślał z pogardą Robert.

– Nie spieszo panu do Środy Wielkopolskiej? – zapytał na głos.

Ignacy się zawstydził.

– Owszem, nasza sytuacja jest niewesoła, a śmierć ciotki i Tadeusza to straszna tragedia, ale mimo wszystko traktuję pobyt tutaj jako pewną odmianę. Święta i sylwestra zwykle spędzam w szpitalu.

Dlaczego mnie to nie dziwi? Rowiński spojrzał na niego kwaśno. Ignacy uśmiechnął się obronnie. Oczy miał pogodne. Już mu przeszedł smutek z powodu ciotki i Tadeusza? Ekspresowo, uznał Robert.

Ignacy poszedł odnieść broń na miejsce, a Robert odwrócił się do Herbsty.

– Zauważył pan, jak oryginalnie większość z nas reaguje na ostatnie wydarzenia? – spytał go zakonnik, zajmując fotel w holu. – Najpierw trochę płaczu i hysterii, a teraz proszę, minęła zaledwie godzina, a pan ironizuje, Ignacy bawi się mieczami, Wanda napawa swoją egzaltacją i udaje powieściową heroinę. Reszta gra role detektywów, ja oddaję się obserwacjom... Można powiedzieć, że niekonwencjonalnie przeżywamy żałobę... Czyżby to było kryterium?

Przerwał i wyciągnął dwa orzechy z kieszeni habitu. Spojrzał pytająco na Rowińskiego, który odmówił ruchem głowy. Zakonnik bez wysiłku ścisnął oba orzechy naraz. Pękły jednocześnie. Rowińskiego przeszedł zimny dreszcz.

Nie chciałbym się bić z takim klechą, gdyby przyszło co do czego, pomyślał, chowając jednocześnie swoje arystokratyczne dłonie do kieszeni marynarki. Co za głupia myśl! Damy sobie radę i bez rozlewu... Nie, naprawdę, o czym ja myślę? Miała rację, że to zaczyna przypominać nerwicę. I z tym kominkiem, ech...

– Może dlatego ciotka nas zaprosiła? Jesteśmy nieco psychicznie zwichrowani. Tylko pańska żona zachowuje się jak przystało na damę. Jest dwoje nieboszczyków, jest nam smutno i czujemy się zagubieni – tak powinno być... Już samo to, że się do pana zwracam, to też jest dziwne: przecież od początku czuliśmy instynktowną niechęć do siebie

nawzajem. Dlaczego właśnie pana pytam o zdanie?

Rowiński odpowiedział z zaskakującym jak na niego spokojem.

– Bo mnie ojciec nie lubi. Uznał więc, że będę obiektywny. Ale ja też czuję się... nieswojo, tak to nazwijmy. Moim zdaniem po prostu nie wiemy, jak należy się zachować w takiej sytuacji. Czytaliśmy o morderstwach, oglądaliśmy historie kryminalne w kinie... Ale to przecież fikcja, udawanie. My tu tkwimy w zawieszaniu. Brakuje policji. Gdyby nas przesłuchano i profesjonalne służby zajęły się śledztwem, moglibyśmy zorganizować pogrzeb, otworzyć testament, kłócić się...

Popatrzyli na siebie. Herbst skinął głową.

– Tak, przecież to najważniejsze. Od tego trzeba zacząć.

Usłyszeli kroki Ignacego. Uśmiechał się. Herbst pomyślał, że Ignacy chyba rzeczywiście lotnością umysłu nie grzeszy. Lekarz zapytał energicznie, jakby spodziewał się przyjemnej wycieczki krajoznawczej:

– Od czego zaczynamy?

– Ustaliliśmy z panem Robertem, że najpierw poszukamy testamentu. Słowa ciotki można interpretować dwojako: prawnik miał nam odczytać testament, ale czy miał go także przywieźć? Nie wiemy. Testament jest u niego albo znajdziemy go w pałacu – oznajmił Herbst.

– Logicznie byłoby zacząć od sypialni ciotki – zauważył Ignacy. – Ale przecież uznaliśmy, że trzeba ją zamknąć do przyjazdu policji. Nie możemy zniszczyć śladów, które dla profesjonalnych detektywów są decydujące. Jeśli zaczniemy tam myszkować, weźmiemy na siebie odpowiedzialność...

Nie dokończył. Patrzyli na siebie.

– Ale przecież nam zależy najbardziej na znalezieniu mordercy, który – niewykluczone – czyha także na nasze życie. Bardziej od śledztwa policji interesuje mnie własne bezpieczeństwo. Ojciec ma klucz, wchodzimy i szukamy testamentu – kategorycznie oznajmił Rowiński.

– Lęka się pan o swoje życie? Podobno słynie pan z widowiskowych ucieczek przed zagrożeniami – zauważył Ignacy złośliwie.

Herbst zmarszczył brwi. I po cóż ten Ignacy próbuje być błyskotliwy? Aż się zapowietrzył z tej radości, że może wetknąć Rowińskiemu szpilę. Było widać, że odzyskał pewność siebie. Jakby fakt uwięzienia w pałacu miał pozytywny wpływ na wydarzenia. Ojciec Aleksander pomyślał, że to chyba jakaś wyższa psychologia.

Robert wzruszył ramionami.

– Wszyscy się boją. Żaden z panów nie zwrócił uwagi, że wciąż nie ma mecenasa Wasilewskiego? Może ten człowiek w ogóle nie istnieje? A Maurycy? Jak znam ciotkę, nie istnieje też żaden testament. Ale poszukać go musimy, bo tylko on nam potrafi wyjaśnić morderstwa.

– Ja natomiast jestem przekonany, że istnieje – orzekł zakonnik. – Wasilewski mieszka w pobliżu, prawda? W Zbąszyniu. Pewnie zawrócił w lesie albo w ogóle w taką pogodę nie wyruszył z domu. Przecież pada od wczoraj. Przyjedzie, gdy warunki pogodowe się poprawią. Doktorzy praw to zwykle rozsądni ludzie. Mam nadzieję, że pan Wasilewski do takich należy.

I ruszył w kierunku schodów. Rowiński i Neumann podążyli za nim.

KWADRANS PO DZIESIĄTEJ RANO

Herbst był zawiedziony. Dwugodzinne oględziny pomieszczeń nie przyniosły żadnego rezultatu. Powiedział obu panom, że idzie się przebrać, ale tak naprawdę chciał przez chwilę побыć sam, by pomyśleć. Siedział więc w swoim pokoju i analizował sytuację.

Sypialnia ciotki okazała się niespodziewanie ascetyczna i pozbawiona osobistych drobiazgów, jakby baronowa, planując swoją śmierć, pozbyła się tego typu rzeczy. Znaleźli natomiast mnóstwo lekarstw i kilka peruk, wszystkie w identycznym kolorze, ale z innymi fryzurami. Bardzo praktyczne. To, co nieboszczka miała na głowie, też było peruką. Eleganckie loczki okazały się atrapą na całkowicie łysej głowie. Teraz, w dziennym świetle, baronowa wyglądała wreszcie na swój wiek. Tak, była wiekową nieboszczką z zapadniętą twarzą i tymi charakterystycznymi dla starych ludzi cienkimi ustami w siateczce zmarszczek. Wieczorny występ – bo tak z perspektywy bezlitosnego poranka należało to nazwać – musiał jej słaby organizm wiele kosztować.

O tym samym myślał chyba także Ignacy.

– Na pobudzenie, na uspokojenie, na krążenie, na wzrok, na nerki... – powiedział, oderwawszy wzrok od studiowania etykiet na lekarstwach. – Ona żyła tylko siłą woli, bo organizm od dawna gonił resztkami sił. Skąd nam się wzięło przekonanie, że jest niezniszczalna? Gdyby nie ślady na szyi, byłbym pewien, że śmierć nastąpiła z przyczyn absolutnie naturalnych.

Ojciec Aleksander tylko pokiwał głową i przyjrzał się Rowińskiemu, który także w tym pokoju uznał za najciekawszy element kominek.

– Panie Robercie...

– Zakładając, że służba codziennie wynosiła popiół, a takie założenie należy przyjąć, ktoś wczoraj wieczorem spalił w kominku duże ilości papieru – przerwał mu Rowiński.

– W salonie także? – upewnił się benedyktyn.

– Skąd ojciec wie?

– Tam badał pan popiół z podobnym zaangażowaniem. Nawet pomyślałem, że był pan, jak ja, piromanem w dzieciństwie.

– Chyba byłem. Ale lubiłem nie tyle ogień, co właśnie efekt spalania. Coś było i znika. Zostaje popiół, na którym trochę się znam. Ten z pewnością jest pozostałością po papierze.

Ignacy przysłuchiwał się ich rozmowie, ale nadal przeglądał lekarstwa, jakby to w nich tkwiła odpowiedź na pytanie, kto zabił ciotkę. Zajmowały całą specjalną szafę, gdzie na dolnej półce Ignacy znalazł też kilka gazet i plik papierów.

– Zobaczcie, może tutaj jest testament! – zawołał. – Albo i nie... – Po chwili usłyszeli zawód w jego głosie.

– Co znalazłeś?

– Rewelacyjne odkrycie francuskiego bakteriologa... – przeczytał na głos Ignacy. – Proszę, więc nawet ciotka bywała naiwna.

– Co to za gazeta? – zapytał Herbst.

– „Dziennik Poranny”. Wycinek na temat szarlatana, który twierdził, że raka wywołuje bakcyl w kształcie torpedy. Potem tego bakcyła wszczepił sobie do kciuka. A następnie sam się wyleczył przy użyciu serum, które wymyślił. Miał raka i, proszę, dzięki cudownej maści rak zniknął. Prawdziwy geniusz medycyny. Facet nazywał się Revelis, a „rewelacyjne odkrycie” było głośne kilka lat temu.

– A więc chciała wyzdrowieć – orzekł Rowiński odkrywczym tonem.

– Każdy chce. Gadanie, że życie zbrzydło, to wszystko nieprawda. Dopóki nie boli cię tak, że nie możesz oddychać, pragniesz żyć. – Ignacy wzruszył ramionami i zamknął szafę. Po chwili poprawił jeszcze zamknięcie lewego skrzydła. Symetria.

– Czyli nie wierzy pan, że ciotka naprawdę postanowiła odebrać sobie życie?

– Wierzę, że planowała. Ale z pewnością nie chciała umierać – stwierdził z naciskiem. – Powiedzmy, że czuła się zmuszona okolicznościami. Po tak długim życiu, zastępach wrogów, trzech mężach, nagle zwyczajnie umrzeć? Prawdopodobnie do ostatniej chwili się wahała; możliwe, że dzisiaj powiedziała by: „Zmieniłam zdanie, a wam nic do tego”. Zaprosiła nas, miało być wielkie wydarzenie i skandal... a tu zwyczajna śmierć? Ale dlaczego mnie pan tak wypytuje?

– Cóż, to ciekawe, a pan jest lekarzem. Nie znam się na umieraniu, jak pan i ojciec Aleksander. Właśnie, co ojciec na to? Idziemy do pokoju Tadeusza? – zwrócił się do Herbst, tym razem już swoim zwykłym kpiącym tonem.

Benedyktyn kiwnął głową i skierował się do drzwi. Zastanawiały go nagle przyпіływy pewności siebie u Ignacego. Już wcześniej zauważył, że kiedy pojawia się temat związany z medycyną, Neumann robi się niezwykle elokwentny. Niby nic takiego – każdy czuje się pewniejszy w swojej dziedzinie zawodowej niż w innych – ale Ignacy zamieniał się w zupełnie innego człowieka. Zadowolonego z siebie i przekonanego o własnej wyższości nad otoczeniem.

Przeszli do pokoju Tadeusza. Nieboszczyk leżał przykryty prześcieradłem, tak jak zostawił go doktor Neumann. Rowiński na chwilę podniósł materiał i zaraz z powrotem opuścił. Ignacy spytał:

– Coś nie tak?

– Trochę dziwne pytanie, przyzna pan – kwaśno zauważył Robert. – Pewnie, że nie tak. Nieboszczyk.

– Chodziło mi o to, czy coś pana zastanowiło w jego wyglądzie.

– Nie znam się. Pan jest ekspertem. Po prostu myślę, że to był bardzo młody chłopak. Ciotki nie żał, ale jego tak. I te głupie zabawy z kolorami... Teraz wydaje się to niesmaczne.

Robert sposepniał, czemu trudno się było dziwić. W jasnym świetle dnia mogli obejrzeć sobie dokładnie sypialnię Tadeusza. Baronowa zadbała, aby wszystkie sprzęty były białe lub czerwone. Nad kominkiem wisały dwie fotografie: Piłsudskiego i Dmowskiego. Z przeciwległej ściany sytuację obserwowali von Hindenburg i jego następca. Na tym tle były pracownik ambasady spoczywający pod białym płótnem wyglądał jak wcielenie ironii dziejów. O ile nieboszczyk może tak wyglądać. Wyszli szybko, po drodze zapalając znowu świece.

Piwnica nie dostarczyła im żadnych wskazówek. Była ciemna i zakurzona. Znaleźli tam około dwustu butelek wina i spore zapasy jedzenia, obliczone prawdopodobnie na wojnę czterdziestoletnią. Taką myślą podzielił się ojciec Aleksander.

– Zgadzam się z panną Niną, że podobne żarty w naszej sytuacji politycznej... – zaczął Rowiński, ale przerwał, widząc badawczy wzrok zakonnika.

– Widzę, że rozmawiał pan z Niną na osobności, prawda? W naszym towarzystwie nic takiego nie mówiła.

– Owszem, ale sądziłem, że mogę z nią rozmawiać sam na sam. Czy to podejrzane? – zapytał Rowiński i przeszedł do kontrataku. – Powiem ojcu, że benedyktyńska postawa nie powinna opierać się na podejrzliwości i łapaniu ludzi za słówka.

– Z pewnością. Ale ja jestem bardzo niedoskonały, bardzo. Trudno ze mną wytrzymać. Dlatego ciągle wysyłają mnie precz z klasztoru. Ostatnio byłem na przykład w Gdańsku... To nie jest, proszę pana, wcale takie duże miasto... Przypadkowo można się natknąć...

Rowiński wzruszył ramionami i bez słowa wybiegł po schodach z piwnicy. To niegrzeczne zachowanie nie zmartwiło Herbst. Wręcz przeciwnie, wyglądał na zadowolonego. Doktor Neumann pokręcił głową.

– Nie rozumiem.

– Ja też, Ignacy. Często mówi się pewne rzeczy tylko po to, aby się przekonać, jaka będzie reakcja. W tym wypadku była nader ciekawa, prawda?

– Podejrzewa ojciec Roberta?

– Cóż, spośród nas wszystkich... Gdyby się zastanowić, kto ile ma na sumieniu, w tym towarzystwie pan Rowiński jest idealnym kandydatem. Ale należy wziąć też pod uwagę, że nie wiemy o sobie nawzajem wszystkiego. Może grzechy Roberta wcale nie są największe? Może się zwyczajnie zmienił? Choć pozory rzeczywiście świadczą przeciwko niemu. Wydaje się tym samym nieprzyjemnym i aroganckim typem, jakim był dawniej.

Ignacy przysiadł na piwnicznych schodach. Wyglądał na zagubionego.

– A pasek? Jak ojciec sądzi – do kogo należy?

– Gdyby przyjąć zasadę, że pasek i buty powinny do siebie pasować... Cóż, z pewnością sam już zauważyłeś. Do Roberta. Jego buty, identyczny odcień skóry, rzucają się w oczy. Są od samego Kielmana...

– Wypatrzył ojciec sygnaturę na jego butach?

– A czemuż nie? Choć łatwo nie było, na szczęście wchodzenie za kimś po schodach ułatwia oglądanie cudzych butów. Jan Kielman, JK. Dobrze, ale nie w tym rzecz. Ciekawe, że ktoś mieszka w Gdańsku, a buty kupuje w Warszawie. Czyżby odwiedzał często stolicę? Warto się zastanowić dlaczego. I pamiętaj, że ten odcień brązu jest dosyć rzadki. Pasek jest podobny i też drogi, chociaż nie ma sygnatury... Z pewnością nie należy do mnie ani do ciebie. Mnie nie wypada nosić takich drogiej rzeczy, a ty jesteś na to zbyt, wybacz, poznański. Ale jest i druga kwestia. Urszula używa męskich pasków. Mieszka w Warszawie i stać ją na drogie rzeczy. Teoretycznie więc pasek może należeć do niej.

Neumann nie odpowiedział, zapatrzył się w migoczący płomień świecy. Herbst usiadł przy lekarzu na schodach. Ignacy po dłuższej chwili podniósł wreszcie wzrok na zakonnika.

– Wszyscy są podejrzani. Nieprzyjemna sytuacja, człowiekowi się wydaje, że w tych ciemnościach ktoś się czai... Stawiam jednak na Roberta. Zachowuje się arogancko, bo jest

pewien, że jak zwykle mu się upiecze. Jak skandal z nieletnią. Słyszał ojciec? Głośna sprawa była. Przecież za coś takiego powinien trafić do więzienia. Co z tego, że wyglądała na szesnaście, skoro miała trzynaście... Zawsze mu wszystko uchodziło płazem.

– Zazdrościsz mu? – zapytał niespodziewanie Herbst.

– Słucham? Ależ czego niby? To degenerat. Gardzi ludźmi, a przecież każdy jest od niego lepszy... I jeszcze ta biedna żona. Nie mogę znieść myśli, że taka delikatna, piękna istota...

– Raczej nie zmusił jej do ślubu. Są kobiety, którym taki typ się podoba – stwierdził Herbst. Drogi Ignacy, z pewnością więcej jest na świecie kobiet, którym podoba się Robert, niż takich, którym podobasz się ty, pomyślał.

Neumann chyba doszedł do podobnego wniosku, bo znowu zamilkł.

– Przyjechałem tutaj z nadzieją na odpoczynek – postanowił się jednak zwierzyć. – A jest bardziej strasznie niż ciekawie. Tęsknię już za moim zwyczajnym życiem.

– Nie martw się. Śnieg przestaje padać, stopnieje i sami stąd wyjedziemy. W ostateczności pomaszerujemy piechotą i za dwie godziny będziemy w Zbąszyniu. Albo, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, zjawi się policja oraz pan Wasilewski. Jestem przekonany, że całe miasto się zastanawia, co ze spadkiem. Tu jest zapewne tak jak w Środzie, Ignacy. Małe miasteczka są do siebie podobne. Przyjadą po nas, z pewnością. A teraz chodźmy na strych.

Herbst wcale się nie zdziwił, że w jednej ze skrzyń grzebał już Rowiński, który postanowił udawać, że ich nie widzi. Strych wypełniały stroje baronowej z różnych epok, począwszy mniej więcej od powstania styczniowego. Ciotka w tej materii okazała się zaskakująco sentymentalna. Sukien zgromadziła kilkaset. I żadnej pamiątki po małżonkach. Ich fraki, tuzurki i spodnie jakby rozpułyły się we mgle historii. Było to oczywiście intrygujące, ale niczego do sprawy nie wносиło. Faktem jednak zdawało się bezspornym, że w żadnym z pomieszczeń nie ukrył się morderca.

To wszystko analizował teraz Herbst, czyszcząc w swoim pokoju habit z pajęczyn i zastanawiając się nad celowością dalszych działań. Może bezpieczniej poczekać na adwokata i policję? Zabawa w detektywa nie ma sensu. A jeśli zabójca upatrzył sobie kolejną ofiarę? Mają spokojnie pozwolić mu działać? Nic nie robić i czekać, aż... co? Właśnie.

Habit wyczyścił, ale przebrał się w zwyczajny granatowy sweter i czarne spodnie. Może w tym stroju będzie mu się lepiej myślało, a mniej współczuło prowincjonalnym lekarzom, biednym sierotom, egzaltowanym wdowom oraz pozostałym członkom rodziny. Tak. Mniej benedyktyństwa, a więcej matematyki.

Wszedł do salonu, gdzie czekała już reszta gości. Basia na widok Herbstą zagwizdała cicho.

– Ojej, ojciec w normalnym ubraniu to nawet jest przystojny. Jak na swój wiek.

– Twoje komplementy, Basiu, smakują jak wermut. Słodko-gorzko.

Zakonnik usiadł w jednym z kolorowych foteli w salonie.

– Nie znaleźliśmy testamentu – poinformował zebranych. – Tak naprawdę nic nie znaleźliśmy. Proponuję przejrzeć jeszcze bibliotekę, bo wydaje się kolejnym logicznym miejscem na ukrycie testamentu. Może w jednym z tomów? Albo w jakiejś skrytce...

Przyznam, że teraz skłaniam się raczej do opinii, że ma go pan Wasilewski. Maurycy chyba, Maurycy Wasilewski. Ale to jest kwestia drugorzędna. Co ważniejsze, nie znaleźliśmy żadnych śladów osób z zewnątrz. Najprawdopodobniej nikt się nie włamał, nikt nie schował w piwnicy ani na strychu. To całkiem zwyczajny pałac, urządzony po wariacku, ale zwyczajny. Może nawet pałacyk, bo od zewnątrz wydaje się nieco większy... Jak mówiłem – nic podejrzanego. Zyskaliście więc niemalże stuprocentową pewność. Morderca nie zaczął się w ciemnościach. Morderca jest wśród nas.

Zabrzmiało to tak pompatycznie, że sam poczuł się nieswojo. Wanda westchnęła. Helena zarumieniła się pod oskarżycielskim spojrzeniem Niny, co Herbst uznał za dziwne. Ależ chyba nie podejrzewa pani Rowińskiej? To ostatnia osoba... właśnie. Byłaby wobec tego idealną zabójczynią. Jak można podejrzewać o coś złego kogoś z takimi oczami? Ale czy miałyby tyle siły? Ciotka była stara, Tadeusz chory, na gruźlicę zapewne... tylko czy aż tak słaby?, zastanawiał się zakonnik.

Ciężką ciszę przerwał Ignacy.

– Panie bez obaw mogą zrobić własny obchód, byle nie w pojedynkę, po całym pałacu. Niewykluczone, że coś odkryją. Kobięca intuicja...

– Ja dziękuję, wierzę męskiej intuicji. Nie zamierzam nigdzie chodzić i niczego szukać. Na pewno przeszukaliście dokładnie – oznajmiła Wanda.

Urszula pokiwała głową, co miało oznaczać, że podziela zdanie przedmówczyni.

– A ja przeciwnie, z racji zawodu jestem raczej drobiazgowa. Przejdę się chętnie.

To powiedziawszy, Nina uśmiechnęła się lekko do zgromadzonych, jakby przeprasząc za swoją profesję i przyzwyczajenia z niej wynikające.

– Mogę dołączyć? – niespodziewanie zaofiarowała się Helena.

– Zapraszam. Będzie mi bardzo miło – sztywno, ale uprzejmie, przyjęła propozycję Kwiatkowska.

Dlaczego tak się nie lubią? Dwie młode kobiety – wiadomo, rywalki, cóż, ja już jestem poza konkurencją... Dlaczego Nina nie cierpi Heleny, to jasne. Piękna, ma męża, nie musi pracować. Ale dlaczego Helenka, słodka Madonna, dla wszystkich jest ujmująca, a dla Niny zaledwie grzeczna?, pomyślała Urszula.

– Nie sprawdziliśmy naszych sypialni. Lepiej zrobić to komisyjnie po śniadaniu, bo teraz chyba wszyscy jesteśmy głodni. Prawda?

Na pytanie Herbsty odpowiedziały nieśmiało potaknięcia i pomruki. Nie wypadało być głodnym w obliczu podwójnej śmierci, ale żołądki nic sobie z dobrych manier nie robiły.

– Czyli po kolei: Urszula przedstawia swoje notatki, potem oczywiście zrobi się nieprzyjemnie, ale pamiętajcie państwo, że naszym celem jest znalezienie mordercy. Następnie śniadanie. I na koniec, jeśli nie wymyślimy nic lepszego, idziemy przeszukiwać swoje sypialnie. Dwójkami lub trójkami, bo – wybaczcie państwo – nie możemy mieć do siebie pełnego zaufania.

Zakonnik uśmiechnął się przeprasząco. Urszula otworzyła swój notes, ale zaraz go zamknęła, żeby coś dodać.

– Dobrze – rzekła. – Kolejność przypadkowa, choć pewnie podyktowana przez moją podświadomość, za którą nie zamierzam przepraszać. Freuda państwo znacie? Właśnie, właśnie. Proszę nie zwracać uwagi na styl, to luźne notatki. I nie obrażać się. Skoro

chcemy znaleźć mordercę, musimy być wobec siebie surowi i obiektywni. – Otworzyła notes i nabrała głośno powietrza, przybierając ton profesjonalnej lektorki. – Zaczynam.

Ignacy Neumann

Lat mniej więcej trzydzieści...

– Trzydzieści jeden – doprecyzował Ignacy. – Ciekawe, że pani podświadomość mnie wyznaczyła na pierwszy ogień.

Pisarka kiwnęła głową.

Mieszka w Środzie Wielkopolskiej. Lekarz z doktoratem. Jako medyk zna wiele dróg, by pozbawić bliźniego życia w taki sposób, którego udowodnić jako morderstwa się nie da. Nie rozstaje się ze swoją torbą lekarską, jakby tylko z nią czuł się pewnie. Bratanek pierwszego męża baronowej, mówiła o nim „prostak”. Motyw zabójstwa ciotki oczywisty – majątkowy oraz ambicjonalny. Widać, że ma kompleksy i zahamowania. Takimi ludźmi bardzo łatwo manipulować. Pewnie pierwszy w rodzinie ma maturę... przepraszam... studia. Zabójstwo Tadeusza: spodobała mu się Nina, ale jej spodobał się Tadeusz...

– Skąd pani wytrzasnęła te romansowe historie?! – wykrzyknął doktor.

Nina tylko się zarumieniła.

Nina wygląda na osobę, która wyszłaby za mąż jedynie za cnotliwego Rzymianina, co Ignacy musiał zauważyć. Wniosek: ogólnie słaby emocjonalnie.

– Serdecznie pani dziękuję – powiedział Ignacy. – Wszystkich będzie pani tak obrażać czy tylko mnie?

– To dopiero początek – odparła beznamiętnie pisarka, wykonując ręką ruch, jakby opędzała się od natrętnej muchy. – Pan wydał mi się mało podejrzany. Mimo że znalazł Tadeusza. W przeciwieństwie do kolejnej osoby. Uwaga:

Wanda Jarecka

– Wszystkie powieści dla Marii Lemborskiej oddam do przytułku! Zresztą do Rodziewiczówny pani daleko – syknęła ciotka, nie czekając na rewelacje Urszuli.

Mieszka w Poznaniu. Z rodziny drugiego męża Korzyckiej, Jareckiego. Jednocześnie kuzynka ojca Aleksandra, ale to po matce.

– Genealogia jak u Habsburgów! Może niech ktoś to rozrysuje? – zasugerował złośliwie Robert, ale nikt nie podchwycił propozycji.

Po pięćdziesiątce. Unika deklaracji co do wieku. Podobno ma kłopoty z sercem, ale nader rześko goniła na dworcu Ninę, by przypadkowo się z nią spotkać. Wzbudziła powszechne zainteresowanie, gdy tak chyżo biegła. Chociaż być może uwagę gapiów przyciągnął ten idiotyczny kapelusz. Pewnie chciała mieć alibi, w związku ze śmiercią Zenona. Teraz nie ma żadnych wątpliwości, że do pierwszego morderstwa doszło już w pociągu.

Po pokoju przeszedł szmer. Ignacy pokręcił głową. Rowiński wyglądał na rozbawionego. Przez chwilę dobre maniery nie pozwalały mu się roześmiać, ale nie wytrzymał. Umilkł od razu pod smutnym spojrzeniem żony.

Sentymentalna i znerwicowana, poszukiwaczka wzruszeń. Typ kobiety, która tęskni za wrażeniami i uważa, że została stworzona do wielkiej miłości i emocjonujących historii, ale przez złośliwy przypadek wiezie żywot wdowy po urzędniku pocztowym. Majątek Korzyckich mógłby pomóc w zbudowaniu bardziej frapującej egzystencji. Nie taka słaba fizycznie, jak udaje, więc przynajmniej ciotkę mogła zabić.

Wanda oddychała spazmatycznie, ale już nic nie powiedziała.

Robert Rowiński

Z rodziny ostatniego i najbogatszego męża ciotki. Wiezie pasożytnicze życie. Skompromitował rodzinę w Poznaniu, wpędził ojca w chorobę, a matkę w alkohol. Oczywiście nic sobie z tego nie robi...

– I owszem. Takie insynuacje nie są funta kłaków warte, podobnie jak bujdy o uwiedzionych hrabiankach – stwierdził Robert impertynencko, zaciągawszy się cygarem.

– Cóż, pan doskonale się zna na uwodzeniu hrabianek.

– A pani spogląda na mnie z moralnych wyżyn fabrykantki tandety dla analfabetów!

– Robercie, proszę. Nie wszczynaj kłótni – szepnęła Helena.

...skończył studia z ekonomii, co oczywiście jest ironią losu, bo sam z pieniędzmi się nie liczy. Zapewne dlatego, że zawsze dostawał fundusze od rodziny. Zepsuty powodzeniem u kobiet, przynajmniej dwie zostawił bez alimentów... Pani Heleno, chyba się przyznał? Nie? Podobno w Gdańsku uczciwie pracuje, ale na podstawie wcześniejszych doniesień trudno w to uwierzyć. Przywiózł żonę, z którą nie śpi... Może nabawił się impotencji jako kary boskiej za wcześniejszą rozpustę? Albo żona posiada jakiś defekt...

– Urszulo, może jednak... – przerwał jej Herbst. Speszony patrzył na panią Rowińską, która ukryła twarz w dłoniach.

– To zaczyna być tak śmieszne, że aż frapujące. Człowiek staje się postacią

z prawdziwego melodramatu. Zabawa przednia – stwierdził bohater notatki.

Oczywisty kandydat, rozrzutny, chciwy, leniwy. Chętnie wyciąga ręce po cudze. Czy potrafiłby w tym celu zabić? Chyba jest zbyt tchórzliwy. Dodatkową zagadkę stanowi jego żona. Niemka to czy Polka? Bardzo piękna i przez to jeszcze bardziej podejrzana.

Zapadła cisza. Helena nieśmiało zwróciła się do Herbsta:

– To wszystko brzmi jak notatki do powieści, nawet ciekawej, ale jednak powieści. W życiu jest zawsze inaczej. Po co tego słuchamy? W czym to nam pomoże, proszę ojca? Czy naprawdę musimy sobie nawzajem robić przykrość? W jakim celu pani Urszula nam czyta swoje spostrzeżenia?

Benedyktyn podniósł głowę, którą dotąd opierał na rękach, i wpatrywał się w podłogę.

– Urszula jest bardzo spostrzegawcza, a jej notatki pozwalają uporządkować myśli. Przy okazji, wasze zdenerwowanie i reakcje są – proszę wybaczyć – jakąś informacją. Urszulo, przeczytaj, co napisałaś o mnie. Przekona się pani, Heleno, że i mnie nasza pisarka nie oszczędziła.

– W rzeczy samej – stwierdziła Urszula. – Poświęciłam ci specjalną uwagę.

Aleksander Herbst

Z rodziny ciotki. Czterdzieści lat. Zakonnik w klasztorze na zupełnym wygwizdowie, choć początkowo miał robić karierę naukową. Skończył dwa kierunki studiów, oba niepraktyczne. Wstąpienie do zakonu też podejrzane. Plotki: przyczyny polityczne. Inne plotki: przyczyny miłosne. Ponoć były i takie, i takie.

Przerwała. Popatrzyła na zgromadzonych i stwierdziła:

– Jeśli będziesz chciał – zwróciła się do Herbsta, który siedział z kamienną twarzą – to powiesz.

Wróciła do czytania.

Nie daje po sobie poznać, ale z pewnością odczuwa żal i poczucie niespełnienia. Dość przystojny, choć sportowy tryb życia pozwoliłby mu nabrać widocznych mięśni...

– Wiele zniosę, ale sugestie, że powinienem jeździć na nartach albo uprawiać piesze wycieczki...

Urszula się uśmiechnęła, a Herbst westchnął ciężko.

– Pisarzy cechuje wrodzona bezlitosność wobec bliźnich...

– To niesprawiedliwe. Ojciec Aleksander został potraktowany znacznie łagodniej niż ja. Ma pani jawną słabość do duchowieństwa, co zadziwia u takiej postępowej osoby – orzekł Rowiński.

– Nie, zaraz dowiem się czegoś strasznego o sobie. Na Urszulę zawsze można liczyć w tej materii – stwierdził Herbst.

– A, proszę bardzo, proszę. Czytam dalej.

Uwielbia poświęcać się dla idei. Dlatego mógł uznać, że majątek Korzyckich też powinien zostać poświęcony. Ma poczucie humoru, ale do kwestii religijnych podchodzi śmiertelnie poważnie. O takim typie duchownego ludzie mówią „postępowy ksiądz”, bo lubi chodzić do kina i na mecze piłki nożnej. A potem się dziwią, że w ogóle niepostępowy, bo rozgrzeszenia nie dostali...

Ojciec Aleksander poruszył się w fotelu. Nina wybuchnęła śmiechem.

– Bardzo celne spostrzeżenia. Wszystko się doskonale zgadza! Niech ojciec nie zaprzecza.

Herbst odchrząknął. Pisarka rzeczywiście wykazała się godną podziwu przenikliwością. Ojciec Aleksander był awangardowy w spekulacjach i konserwatywny w życiu codziennym.

– Zawsze uważałem, że Urszula powinna pisać ambitniejsze rzeczy, z tak rozległą wiedzą o ludziach...

– Proszę mi nie pochlebiać. Ludzie nie lubią wiedzieć o sobie za dużo. Dzisiaj mam rzadką okazję, by się pochwalić moimi obserwacjami – mruknęła pisarka pod nosem. – Kontynuuję... *ciotka prawdopodobnie go lubiła, w każdym razie bardziej niż pozostałych krewnych. Jeśli więc dowiedział się, że to nie on dostanie majątek, miał prawo do największego zawodu.* Kropka.

– Dziękuję. Rozważę to wszystko w sercu, jak mawia mój współbrat. Kto teraz?

Nina Kwiatkowska

Lat dwadzieścia osiem. Dość ładna, choć nieefektowna...

Nina wzruszyła ramionami.

– To raczej nie jest istotna informacja. Nie ma związku ze śmiercią Tadeusza i ciotki. Pani wykorzystuje sytuację, żeby być złośliwą.

*...mieszka w Poznaniu na Jeźycach, w jednym pokoju z niezrównoważoną matką. Pewnie zastanawiała się, czy pozostawienie jej samej w domu jest dobrym pomysłem. Raczej nie. Moim zdaniem bardzo nerwowa. Ma opinię osoby nieskazitelnie uczciwej, zapewne zasłużoną. Najbardziej okrutnie potraktowana przez ciotkę przy kolacji, powinna odczuwać pragnienie zemsty. Ktoś tak długo postępujący uczciwie może zapragnąć nagrody za swoją uczciwość. Czuje się niedoceniona. Podejrzewana przez ciotkę o socjalistyczne sympatie – czyżby słusznie? Nie wiadomo, w jaki sposób uzyskała pieniądze na spłatę długów... Dobrze, to już nie jest ważne... Podoba jej się Tadeusz... hm, tutaj trzeba poprawić: *podobał. Ona jemu także, ale nie ma szans, żeby rodzina Radzinowiczów przyjęła ją do swojego grona. Chyba że ze spadkiem po baronowej. Prawdopodobnie Tadeusz pomógł jej spłacić dług.**

Tym razem cisza zrobiła się jeszcze bardziej kłopotliwa. Część udawała, że nie patrzy na Ninę. Gorzej wychowani wpatrywali się w nią bez skrępowania. Nina obdarzyła

wszystkich pełnym rezygnacji spojrzeniem.

– Dobrze, nie ma sensu tego ukrywać. Planowaliśmy pobrać się wiosną. Nie wspomnieliśmy o tym wczoraj, stracilibyśmy bowiem szansę na spadek. Bardzo go potrzebowaliśmy. Tadeusz sam nie ma... miał... nic, pieniądze mają tylko jego rodzice. Stan zdrowia mojej matki jest dużo gorszy, niż wam się wydaje... Czy ktoś z was zainteresował się, jak sobie radzimy? – Podniosła głos, ale zaraz się zreflektowała. – Dobrze, to nie jest w tym momencie najważniejsze. Tadeusz bał się o naszą przyszłość. W dodatku stracił posiadłość w ambasadzie... Sam z niej zrezygnował, niestety, nie potrafił się w Berlinie odnaleźć. Padły jakieś oskarżenia, doprawdy absurdalne. Ja uważałam, że damy sobie radę, ale on... nie był przyzwyczajony do życia – jak celnie, Urszulo, zauważyłaś – na poziomie kwatery na Jeźycach. Liczyliśmy, że może któreś z nas... Ale powiedzieć o planach ślubnych wam i ciotce? Nie dałaby ani grosza szczęśliwym narzeczonim. Pomyśleliśmy, że osobno mamy większe szanse, jako dwoje dziwacznych samotników. Zналиście przecież ciotkę...

Ignacy zerwał się na równe nogi i bez słowa wybiegł z pokoju.

– O, widzę, że pan Ignacy zdążył jednak poczynić wobec pani plany. I znów spotkał go zawód. Gdzie nie zwróci swych okrągłych oczu w poszukiwaniu wybranki, tam ktoś sprzątnie mu ją sprzed nosa. Fatum, tragiczne fatum cyrulika ze Środy Wielkopolskiej – stwierdził Rowiński, wyciągając cygaro.

– Nikomu już nie uwierzę. Kłamstwo i dwulicowość z każdej strony! – wykrzyknęła ciotka Wanda, która wreszcie odzyskała głos. – Moje serce tego nie wytrzyma! Oszukaliście nas! Maskowaliście się jak przestępcy! Wstyd, żeby własną rodzinę...

Wszyscy prócz Rowińskiego patrzyli na Ninę z mieszaniną współczucia i podejrzliwości. Na twarzy Wandy pojawiły się łzy.

– Może ciasteczko na pocieszenie? – zasugerowała Basia, podsuwając Jareckiej patelnię z herbatnikami. Ta nie poznała się chyba na złośliwości, bo odruchowo chwyciła ciastko. Przez chwilę w milczeniu słychać było tylko pochlipywanie oraz odgłosy chrupania.

– A ty nie powinnaś być u siebie w pokoju? – zapytała w końcu Wanda, przełknąwszy ostatni okruszek.

– Nie – twardo odpowiedziała Basia, ale już nikt na to nie zwrócił uwagi.

– Wszak panna Nina straciła narzeczonego – w końcu przemówiła Rowińska. – Miała swoje powody, by ukryć pewne informacje. Nie nam ją oceniać...

Helena powiedziała to tak, że zebrani usłyszeli łagodność i współczucie w jej głosie. Zawstydzili się. Tak, to była właściwsza reakcja na cierpienie bliźniego.

– Ma pani rację – orzekła Urszula. Podeszła do Niny i objęła ją. – O nic, moja droga, cię nie oskarżamy.

Było w tym geście coś sztucznego, więc nikt nie poszedł w ślady pisarki. Nawet Helena.

– Teraz już wszystko jedno. Przecież Tadeusz nie żyje. Nieważne, czyim był narzeczonim. Co to zmienia?

Niestosowne pytanie padło z ust Wandy i zupełnie nie pasowało do jej wcześniejszych zarzutów. Herbst rzucił kuzynce zaskoczone spojrzenie. Takt nigdy nie był jej mocną stroną, ale teraz zdecydowanie przesadziła.

– Zbyt łatwo przyszło wam ukryć prawdę – odezwał się Robert. – Uważaliśmy panią za biedną, ale na wskroś uczciwą. A tu proszę, sekretne narzeczeństwo z mężczyzną z bogatej rodziny, zakusy i nadzieje na spadek... Skoro ukryła pani równie ważne informacje, nie możemy ufać w żadne jej słowo. Czyżby była pani kobietą fatalną?

Jawnie sobie kpił. Zmierzył od dołu do góry jej postać: skromnie upięte włosy, sukienkę zapiętą pod szyję tak bardzo, że bardziej się nie dało, i grube pończochy na nogach. Uśmiechnął się złośliwie na widok butów, tak babcinych, że nawet ciotka Korzycka wstydziłaby się je nosić. Nie, kobiety fatalne zdecydowanie wyglądają inaczej.

– Ja natomiast nie ufam panu – wtrąciła niespodziewanie Urszula, zanim Nina zdążyła otworzyć usta. Narastała w niej wściekłość.

– Dlaczego?

– Bo rozpowszechniał pan plotkę, jakoby pana żona nie mówiła po polsku! A przecież doskonale włada naszym językiem. Ale przede wszystkim nie spał pan w pokoju z żoną.

– To moja sprawa, gdzie i z kim śpię. Skoro żonie to nie przeszkadza, pani nic do tego.

Urszula wybuchnęła szyderyczym śmiechem.

– Nie obchodzi mnie, z kim i gdzie pan śpi. Należy to wyjaśnić z powodu morderstw. Zezłościł się pan, co dowodzi, że ma pan coś do ukrycia. Mógł pan powiedzieć, że żołądek go rozboleł, a nie opowiadać o swoim życiu erotycznym. To czyni z pana podejrzanego.

– Przepraszam – wtrąciła się Helena. – W domu także nie śpimy razem. Mamy swoje powody, co nie znaczy, że mój mąż jest mordercą. Zechciecie uwierzyć mi na słowo?

– Nie – powiedziały chórem Urszula i Wanda. I popatrzyły na siebie z niechęcią.

– Podobno jesteście kilka miesięcy po ślubie, tak? – zauważyła Urszula. – Może zresztą to również kłamstwo. Ale załóżmy, że prawda. Szybko nabraliście obyczajów pary z dwudziestoletnim stażem. Tym samym i pani jest podejrzana. Oboje myślicie, że skoro należycie do rodziny ostatniego męża baronowej... to jesteście od nas lepsi. Prawie arystokracja. Cóż z tego, że baron austriacki, czyli żaden, a w rodzinie chłopi... tytuł robi wrażenie. Byliście pewnie przekonani, że pałac trafi w wasze ręce. Co najmniej pałac.

Robert, zamiast odpowiedzieć, podszedł do kominka i stanął tyłem do wszystkich, jakby scedował dyskusję z rodziną na żonę. Urszulę wyraźnie zszokowało jego grubiaństwo.

– Przecież mówię do pana! Boże, co za ordynus!

– Porozmawiam z Ignacym, chyba wymyślił coś oryginalnego – powiedział, ale zanim wyszedł z pokoju, rzucił w przestrzeń: – Komiczna postać, jednak może nas jeszcze zaskoczyć.

Ojciec Aleksander uznał, że jego zdanie w temacie wspólnych i osobnych sypialni nikogo nie interesuje.

– Ja pani wierzę, Heleno – powiedział mimo to.

Rowińska spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Uśmiechnęła się z rozpaczą.

– Przepraszam za męża.

– Piękna Heleno, gdybym była mężczyzną, uwierzyłabym w każde twoje słowo. Ale jestem kobietą i, wybaczone, nie działają na mnie wielkie załamane oczęta w twojej twarzy – powiedziała zgryźliwie pisarka. – A w tobie, mój drogi, jak widzę, głupia samczość siedzi. Mimo habitu.

– Zawsze byłem ułomny w tej materii. Wierzę pięknym kobietom, inaczej nie potrafię.

Pani Helenie także. W dodatku prawie wszystkie kobiety wydają mi się piękne. To jest bardzo kłopotliwe, więc wstąpiłem do zakonu. Dla bezpieczeństwa.

– Przestań dowcipkować. Sugerujesz, że wiesz coś, czego my nie wiemy, a co potwierdza szczerść pani Heleny.

– Niczego nie sugeruję. Proszę nie doszukiwać się wszędzie podtekstów i niedomówień. Niech mowa wasza będzie: tak, tak... Powinnaś trochę ochłonąć, Urszulo. Twoja niechęć do mężczyzn w typie pana Roberta... Sama wiesz, jakie ma źródła. Może podzielisz się z nami spostrzeżeniami na własny temat.

– Proszę bardzo. Staralam się być obiektywna.

Urszula Klimt

Rozwiedziona pisarka przed czterdziestką. Autorka literatury dość niskich lotów, ale poczytnej i dochodowej. Ma więc dość pieniędzy, by nie zabijać ciotki. Wydaje się jednak podejrzana, ponieważ w swoich powieściach propaguje model wzdychającej mimozy, w życiu codziennym zaś domaga się równouprawnienia kobiet i ich całkowitej samodzielności ekonomicznej. Tak też wychowuje córkę. Czyli fałsz fundamentalny. A kto kłamie w jednym... Zresztą rozwiedziona kobieta zawsze jest podejrzana, zwłaszcza ładna...

– Phi – skwitowała enigmatycznie Wanda.

– Ależ tak, proszę nie zasłaniać się ironią. Jest pani podejrzana – stwierdził Rowiński, niespodziewanie stając znowu na progu salonu. – Pani jako jedyna nie obudziła się, gdy znaleźliśmy Tadeusza, a potem ciotkę. Co oznacza, że spędziła pani pracowitą i wyczerpującą noc...

– Uprawiam wolny zawód, nie muszę biegać do biura na ósmą, więc organizm przywykł do spania w dzień.

– Ja również nie zrywam się skoro świt do pracy, ale budzę się, gdy słyszę krzyki na korytarzu.

Urszula rzuciła mu wściekłe spojrzenie. Uderzyła ręką o poręcz fotela i krzyknęła:

– Jest pan równie arogancki jak przed swoją ucieczką z powodu długów i skompromitowaniem całej rodziny! Niczego się pan nie nauczył! Typowy smarkacz, przekonany o własnej bezkarności! Ale tym razem już ja się postaram...

– Zasnęłaś o...? – zapytał Herbst, zwracając się do Urszuli. Miał nadzieję przerwać tę dyskusję.

– Około trzeciej – odpowiedziała, nadal wściekła. – I owszem, słyszałam, jak biegałeś po korytarzu.

– Skąd wiesz, że to ja? Nie było światła.

– Potknąłeś się o coś i zakląłeś po łacinie. Jedynie osoby duchowne łudzą się, że po łacinie wszystko brzmi mądrzej.

– To prawda, potknąłem się o posąg Kupidyna w korytarzu.

– Jaki posąg Kupidyna? Rozumiem, że na korytarzu, przy którym są drzwi do naszych sypialni – uściślił Rowiński. – Obejrzałem go dokładnie, centymetr po centymetrze.

Z posągów stoi tam tylko Artemida z jeleniem. Paskudna. Ojciec się pomylił. Chyba że był w innym korytarzu.

– Ależ wczoraj stał Kupidyn – zapewniła Nina. – Zauważyłam go, bo wygląda jak aniołek z fary w Poznaniu. Tylko ten łuk...

– Czyli mamy kolejnego podejrzanego, uciekł z miejsca zbrodni z dowodem rzeczowym. Kupidyn. Robi się z tego jakiś kabaret – zirytowała się Urszula. – Może jeszcze znajdziemy go w pałacu. Mimo wszystko mamy tu ograniczoną przestrzeń... Zaraz, a gdzie w końcu Ignacy poszedł? Miał go pan odszukać.

– Nie znalazłem go. Chyba wytrąciły go z równowagi uwagi o pani i Tadeuszu – Robert zwrócił się do Niny, patrząc na nią z ironią. – Któż by pomyślał, że z pani taka pozeraczka męskich serc. Cicha woda.

– Pozory mylą – skwitowała chłodno Kwiatkowska.

Herbst przysłuchiwał się tej wymianie zdań z zażenowaniem. Dziewczyna straciła narzeczonego. Tak ordynarne żarty nawet do Roberta nie pasują. Benedyktyn uznał, że agresja zebranych bierze się z głodu. Tak, śniadanie poprawi wszystkim humor. Ojciec Aleksander zwrócił się do pań:

– Proponuję układ. Skoro my przeszukaliśmy pałac, panie przygotowują śniadanie. Na wszelki wypadek zapewniam, że wierzę w równe prawa kobiet i mężczyzn i nikogo nie zamierzałem urazić moją propozycją. Musimy jednak się pożywić.

– Słusznie. Idę do kuchni. Jestem głodna, a bałabym się jeść coś przygotowanego przez pana Roberta – obwieściła pisarka. Następnie Urszula wzruszyła ramionami i wyszła z salonu. Za nią ruszyły pozostałe panie.

– Dobry Boże, nie ma jeszcze południa, a mamy dwoje nieboszczyków i wszyscy nawzajem się podejrzewamy – westchnęła Wanda w drodze do kuchni. – Gdyby ktoś wczoraj mnie ostrzegł, co się wydarzy, nie wsiadłabym do pociągu za żadne skarby.

– Wsiadłabyś – zapewniła ją Urszula, potrząsając krótkimi włosami. – Wsiadłabyś tym jeszcze chętniej, żeby urozmaicić swoje monotonne życie. Będiesz teraz miała temat do plotek na kolejne dwadzieścia lat. Cały Poznań pozna naszą historię. Co oczywiście nie oznacza, że cię nie podejrzewam. Nadal podejrzewam wszystkich.

W tym momencie Nina wybuchnęła histerycznym śmiechem.

Weszły do kuchni, która okazała się olbrzymim pomieszczeniem utrzymanym w nobliwej stylistyce. Dziewiętnastowieczne kredensy i wielkie piece zrobiły na paniach duże wrażenie.

– Spełnione marzenie kupcowej z Hamburga. Ale przynajmniej w jednorodnym stylu – powiedziała na głos Helena. Głos miała znacznie donioślejszy niż zazwyczaj, jakby chciała się dostosować do klimatu pomieszczenia.

– Panią, jak widzę, fascynują pałacowe wnętrza – zauważyła Nina. Popatrzyła na Helenę uważnie, bo coś sobie przypomniała. Moment, gdy Rowińska podeszła do ciała baronowej. Wcale nie z zamiarem zamknięcia oczu zmarłej. Chciała się przyjrzeć pościeli albo czemuś, co leżało na łóżku. Tradycyjny gest wobec nieboszczki miał tę ciekawość usprawiedliwić.

Cholerna wścibska Niemka. Chodzi i węszy, jakby uważała, że to jej należy się spadek.

Wyszła za mąż za pseudoarystokratę, a nas uważa za plebs. Polski plebs pracujący, pomyślała Nina, otwierając drzwi przylegającej do kuchni spiżarni, ogromnego pomieszczenia, wypełnionego puszkami, workami, pudłami oraz skrzyniami owoców i warzyw, poukładanymi w idealnym porządku.

– Tak, to u nas tradycja rodzinna. Interesujemy się meblarstwem, urządzeniem domów i tym podobnymi rzeczami – powiedziała do jej pleców Helena, znacznie już ciszej i delikatniej, wręcz przymilnie.

– Trzeba ciotce oddać, że zaopatrzyła nas wyśmienicie – stwierdziła Wanda, stanąwszy obok Kwiatkowskiej na progu spiżarni. – Ciasto zrobię! Żal byłoby z tego nie skorzystać. Herbatniki są niezbyt smaczne, lepiej coś świeżego... Tak, piękna spiżarnia. Gdzieś do Gromnicznej głód nam nie grozi. Zapasy jak na wojnę.

Nina wzruszyła lekceważąco ramionami. Zajrzała do kredensu, wypełnionego naczyniami i sprzętem kuchennym.

– Nie bawią mnie takie nawiązania, ciociu. Zastanawiam się, gdzie podziała się Urszula? Basi też nie ma. Urszula szła z nami.

– Chyba wróciła do pokoju. Pewnie Basia jest wstrząśnięta – stwierdziła Wanda.

– Nie wygląda na wrażliwą.

Pokręciła energicznie głową.

– Właściwie jest nawet wyjątkowo gruboskórna.

– To jeszcze dziecko – odpowiedziała nadspodziewanie spokojnie Wanda. Wyjęła deskę do krojenia, zastanawiając się, który z kompletu kilkunastu noży będzie najlepszy. – Zachowuje się oryginalnie, ale to kwestia wychowania. Instynkty ma dobre. Przez te gogle wydaje się... inna. Po swoim przeżywa... Ludzie są różni. Ale muszę wam powiedzieć – popatrzyła na Helenę – że dało mi do myślenia zachowanie Urszuli. To przecież pisarka, opisuje dramat ludzi w tragicznych momentach życia. A sama jest cyniczna i zimna. Doszłam tutaj do wniosku, że ludzie zachowują się zupełnie inaczej niż w książkach albo filmach. Kiedy umiera bliska osoba, nie płaczesz do księżycy i nie rzucasz się z mostu, jak w romansach. Zachowujesz się mechanicznie, czujesz się pusta w środku. Jak ja, kiedy zmarł mój mąż. Robiłam sobie wyrzuty, że jestem niewrażliwa. A ja byłam tak zrozpaczona, że nie potrafiłam wyrazić rozpacz. Podejrzani są właśnie ci, którzy zachowują się, jakby grali swoją rolę, według jakiegoś wyuczonego scenariusza. Posłuchaj, Nino – popatrzyła z mocą na Kwiatkowską. – Czy ja czynię ci wyrzuty, że nie rozpaczasz po śmierci Tadeusza? Przecież podobno byliście zakochani. Mogłabym cię posądzić o wyrachowanie. Szukałaś męża z bogatego domu, a skoro nie wyszło, nie ma sensu po nim płakać. Tak jest w powieściach Urszuli. Sądzę, że przeżywasz smutek dużo silniej niż jej bohaterki.

Nina popatrzyła na Wandę z rezerwą.

– Spodziewałam się tego. Tadeusz był słaby psychicznie. Miał wiele problemów... coraz więcej. Bałam się, że popełni samobójstwo. Wręcz się tego spodziewałam. Gdyby Ignacy nie znalazł śladów na szyi, byłabym przekonana, że Tadeusz odebrał sobie życie...

Wanda odpalała po kolei wszystkie palniki i z uznaniem przyglądała się wielkiemu piecowi.

– Wiem, że pan Radzinowicz bardzo przeżywał problemy związane z pracą, kwestie

finansowe... – zaczęła nieśmiało Helena.

– Miał skomplikowaną sytuację rodzinną. To są sprawy bardzo osobiste. Nie ma już sensu tego roztrząsać. Tadeusz by sobie nie życzył. Był bardzo zamknięty w sobie.

– I czy to wygląda na rozpacz zakochanej kobiety? Moglibyśmy podejrzewać cię o najgorsze. A czy podejrzewamy? – zapytała retorycznie Jarecka.

Helena pokręciła przecząco głową.

– Widzicie, na stare lata czegoś się nauczyłam o naturze ludzkiej – skonkludowała Wanda. – Wróćmy jednak do spraw praktycznych. Jestem głodna jak wilk i wolę się zająć śniadaniem. Heleno, Nino, jestem najstarsza, więc proponuję, byście mówiły sobie po imieniu, jesteśmy przecież rodziną. Potem możemy nawet wino otworzyć, ale przed śniadaniem nie wypada. Musimy trzymać się razem, zwłaszcza teraz.

Helena uśmiechnęła się do Niny i wyciągnęła rękę. Kwiatkowska odwzajemniła gest.

– Nina.

– Helena.

– Doskonale, a teraz zabieramy się do roboty – oznajmiła Wanda, wynurzając się ze spiżarni z dwoma tuzinami jaj. – Potrzebny mi boczek. Cebula jest przy drzwiach. – Zamyśliła się na kilka sekund. – Przepraszam za moje poranne uwagi. Żadnej z was o nic zdrożnego nie podejrzewam, oczywiście. Wszak nikt z nas...

– Widzę, że perspektywa posiłku poprawiła cioci humor – stwierdziła Nina, obracając w rękach duży nóż do krojenia mięsa. – Po śniadaniu ciocia dojdzie do wniosku, iż baronowa i Tadeusz popełnili samobójstwo przez samouduszenie.

– Głupia nie jestem. Ale wierzę, że to się jakoś rozwiąże... Jakoś nie tak źle, jak można się spodziewać. Szkoda tylko, że ciągle pada śnieg.

Nie mam wątpliwości, że mordercą jest Rowiński. To zły człowiek. Nie kocha żony – co oczywiście w życiu dość często się zdarza, ale on jest nią znudzony. Kilka miesięcy po ślubie? Zdecydowanie zbyt szybko. Na nudę przychodzi czas po latach. Prawdopodobnie musiał się z nią ożenić z jakichś tajemniczych przyczyn. On jej nie kocha, ona jego bardzo. Albo jest doskonałą aktorką.

Ta kobieta jest tak piękna, że mamy wszyscy problemy z zachowaniem obiektywizmu. Nie wiem, czy jest głupia, czy może mądra, ale z pewnością zaślepiona, że nie dostrzega obojętności i chłodu męża. Może małżeństwo jest układem, a Robertowi zapłacono, by się z nią ożenił? On zrobił przecież na studiach straszne długi, cały Poznań o tym wiedział. Do Gdańska wyjechał, żeby zejść ludziom z oczu. Nie wierzę w jego przemianę na lepsze.

Dlaczego on jest mordercą? Przecież to jedyny wśród nas krewny Korzyckiego. Owszem, baron zostawił wszystko swojej żonie, co nie oznacza, że Korzyccy nie czują się uprawnieni do majątku. Matka Rowińskiego, z domu Korzycka, nas uważa za pospólstwo. Dla ciotki była miła, ale tylko z powodów majątkowych. Tak, to się wszystko logicznie tłumaczy. Osoby tego pokroju mogłyby zabić kogoś „niższego stanem” (co za mentalny przeżytek!) i uznać swój czyn za dopuszczalny, jako że najważniejsze jest szczęście

wysoko urodzonych.

Snoby. Ludzi niższych stanem nie uważają za godnych szacunku, więc nic o nas nie wiedzą.

Robert żywi przekonanie, że z racji pokrewieństwa i statusu społecznego ma prawo do majątku. Jest tego pewny. Nawet nie z racji zwykłej chciwości, tylko wiary w swoiście pojmowaną sprawiedliwość. Ciotka nuworyszka nawet po śmierci nie powinna decydować o losach arystokratycznej fortuny.

Tak, zabił Rowiński. Złośliwa ciotka rozkazała mu pchać wózek, czym dała mu zapewne do zrozumienia: „Nic ode mnie nie dostaniesz. Jesteś jak służba”. I pewnie jeszcze dodała coś obrzydliwego. Rowiński wpadł w szal. Zabił ją. Jest wysoki i silny, nie miał z tym kłopotu. A dlaczego wykończył Tadeusza? Ponieważ coś podejrzewał albo był świadkiem morderstwa?

Dziwne, że Robert nie słyszał o talencie detektywistycznym Aleksandra. Cała Polska o tym mówiła, gdy znalazł skradziony obraz z Madonną i świętym Janem. A do Roberta wieści nie dotarły. Ci złodzieje opisani w prasie wydawali się tak głupi, że aż się prosili, aby dać się złapać. Każdy mógł to zrobić, ale nie każdy ma do dyspozycji Dzieci Maryi. Gdyby ojcu udało się rozwikłać taką zagadkę i znaleźć mordercę bez tych wszystkich ministrantów i panienek od sypania kwiatków, zostałby najślawniejszym zakonikiem w Polsce.

Tyle że pewnie się boi. Tutaj mamy do czynienia ze znacznie poważniejszą sprawą. Grzecznie poczeka więc na policję, zamiast zaryzykować. Rzeczywiście jest tylko – jak to mówią – mocny w gębie. Podjąć takie wyzwanie? Nie odważy się.

Co teraz? Cóż zamierza morderca? Wszystkich nas nie zabije. Skupił się pewnie na usuwaniu dowodów. Albo już je zniszczył. Robert jest wystarczająco sprytny. I często grzebie w kominku. W tym w salonie palił z pewnością. W bibliotece też spalono jakieś papiery. Pewnie on. Proponuję więc zastanowić się, dlaczego ciągle to robi.

A co z jego żoną? Pomagała mu? Z pewnością stara się mu zapewnić alibi. Wie, że zabił? A może nie wie, ale nie chce, by choćby cień podejrzenia padł na jej męża? Pewnie myśli: „Co z tego, że nie było go ze mną w pokoju. Miał swoje sprawy, co nie oznacza, że ci prostytutki mogą źle o nim mówić. On jest wspaniały, przystojny, mądry i dobry”. Niestety, młode mężatki bywają zaślepione.

Istnieje też możliwość, że Helena wie wszystko i jest współniczką męża. Dlaczego więc ta próba zapewnienia alibi była tak niezgrabna? Pewnie żebyśmy myśleli: naiwna i dobra dziewczyna, która zwyczajnie nie jest pewna siebie i dlatego zachowuje się nieco niezręcznie. Że ma jakąś małą wstydliwą tajemnicę (jedno z nich chrapie i dlatego śpią

osobno?), która wyjaśnia, dlaczego jej mąż chodzi gdzieś po nocach. Ale jej nie zdradzi. To oznaczałoby, że Helena gra. I to naprawdę dobrze. Nieprzypadkowo jest podobna do Grossówny, tej aktorki.

Zabił Robert. Albo w zмовie z Heleną, albo sam. Teraz trzeba to udowodnić.

Kartki zostawiła w widocznym miejscu. Zauważy je natychmiast po powrocie do swojego pokoju. Z pewnością popatrzy na łóżko. Powinno zadziałać.

Zamknęła drzwi i wyszła, przyglądając się swojej lewej ręce. Gdzieś przeczytała, że chcąc uniknąć zdemaskowania, należy pisać właśnie lewą dłonią. Zrobiła to, choć środki ostrożności zdecydowanie wydłużyły całą operację. Nikt jej też nie uprzedził, że starania o zachowanie anonimowości przyplaci bąblami na skórze.

PÓŁ GODZINY PRZED POŁUDNIEM

Basia i Nina nakryły stół w jadalni. Jajecznica, grzanki i kawa zniknęły szybko i sprawnie. Nikt nie skarżył się na brak apetytu, mimo że piętro wyżej spoczywały zwłoki krewnych.

Ludzie to zwierzęta; w obliczu śmierci jedzą sobie śniadanko. Nawet Aleksander. Czy naprawdę niczego mu ta sytuacja nie przypomina? Nie obudziły się żadne wspomnienia, żadne tęsknoty? Siedzi i zajada. Chyba nawet się oblizał. I uśmiecha się do siebie. Nie, do Basi. Basia też uśmiechnęła. A minęło tylko kilka godzin. Czy to możliwe, że wszyscy jesteśmy aż tak gruboskórni?, myślała Urszula, gdy usłyszała głos Wandy.

– Takie przeżycia zwykle zaostrzają apetyt – stwierdziła krewna tonem usprawiedliwienia, smarując grzankę grubą warstwą masła. – To dziwne, bo w domu oczywiście tyle nie jem.

Pozostali zbiorowym pomrukiem potwierdzili jej słowa. Oni także. Właściwie w domach to nic nie jedzą. Urszula zauważyła, że tylko ona siedzi beczynn timer, więc sięgnęła po widelec.

– W Warszawie nie ma takich jajek. I masła – powiedziała, jakby to z kolei miało wytłumaczyć jej apetyt.

– W Warszawie to, wybac, ogólnie niewiele jest rzeczy dobrej jakości. Nie wiem, jak urodzona poznanianka wytrzymuje na wygnaniu? – zapytał ojciec Aleksander, dolewając sobie kawy i patrząc pytająco na pozostałych. Nina wskazała swoją filiżankę, więc również jej nalał. Miał nadzieję, że gościom rozwiążą się języki. A pytanie o Warszawę zawsze gwarantowało zainteresowanie poznaniaków.

– Życie kulturalne mnie ratuje. Bo racja, wszystko inne jest gorsze niż u nas. Ale kin, teatrów, lokali... nigdzie tyle nie ma, co w Warszawie. Atmosfera udziela się nawet prostym ludziom. Ostatnio straciłam służącą. Opowiem wam. Halinka się truła, bo ją narzeczony kominiarz rzucił. Ten narzeczony też był wielce oryginalny. Wieczorami występował w jakimś kabarecie. Wyratowali ją, ale nadal jest w szpitalu. Czy w Poznaniu służąca trułaby się luminałem niczym gwiazda filmowa? Nie, ludzie są rozsądniejsi, bliżsi

ziemi. Powiedziałyby sobie, że jak nie ten, to inny, a w ogóle to trzeba obiad gotować. W Warszawie niektórym ludziom wydaje się, że występują w filmie. To przez bliskość gwiazd. Idziesz ulicą, a tu Junosza-Stępowski. Skręcasz do kawiarni. A tam Ćwiklińska. Smosarską czasem widuję, na żywo ładna kobieta, tylko trochę myszowata. Jako aktorka zdecydowanie lepiej się prezentuje. A z Basią często wpadamy na Żabczyńskiego.

– Aleksandra? Tego przystojnego, co śpiewa? *Manewry miłosne* to mój ulubiony polski film. Żabczyński wydaje się nie tylko przystojny, ale i zdolny – zainteresował się benedyktyn.

Basia energicznie potwierdziła:

– Cudowny!

– Jak widać, to Basi ulubiony amant kinowy. Spaceruje w środy po parku Ujazdowskim. I my także, ale tylko raz w miesiącu, by nie uznał, że go prześladowujemy. Już wolę iść z Basią i przypilnować, żeby głupot nie robiła, niż żeby sama za nim biegała... Wariactwo kontrolowane. Czasami idą z nami jeszcze inne panienki z klasy Basi. Ale żadna nie jest aż tak za... zainteresowana. Muszę jej pilnować, żeby mu się na szyję nie rzuciła – wyjaśniła Urszula.

– Jedyne zapytałabym o samopoczucie... – zaprzeczyła z godnością córka.

– ...i plany na wieczór – ironicznie dopowiedziała matka.

Panna Basia wydeła usta, co miało oznaczać urażoną dumę.

– Przynajmniej jeden młody, który gra młodego. Trudno uwierzyć w tych amantów po pięćdziesiątce, od których aż się w filmach roi – powiedziała Nina.

Ależ ze mnie idiota, idiota, idiota. Jak mogłem myśleć... Nie, tego się nawet nie da ubrać w słowa – niespokojne myśli kłębiły się w głowie Ignacego.

– Ja lubię trochę starszych panów w rolach młodych małżonków. Rozczulający są – oznajmiła Helena.

Zaraz, ona ma wielką zmarszczkę na czole. Chyba sama jest trochę starsza, niż nam się stara zasugerować. Albo tu jest złe oświetlenie, jakby stwierdziła ciotka, pomyślała Nina, uśmiechając się uprzejmie do Heleny.

– Mąż nie jest zazdrosny? – włączyła się Wanda, ucieszona lekką towarzyską konwersacją.

– Wręcz przeciwnie, jestem zachwycony taką preferencją. Otwiera to przede mną wspaniałe widoki na przyszłość. Żona będzie mnie coraz bardziej kochała – oznajmił Rowiński, nie pozwalając Helenie dojść do głosu.

Niemożliwe, żeby ta stara histeryczka coś podejrzewała. Za głupia jest. Choć plotkary bywają spostrzegawcze. Może tylko udaje głupią, zaniepokoił się Robert, sięgając po dzbanek z kawą.

– Boże, czy wyście powariowali? Gawędzicie sobie lekko w takich warunkach! Jak automaty! – zaczął nagle pieklić się Ignacy, wymachując widelcem. Kawalek boczku spadł mu na podłogę.

– Nie ma służby – syknęła Urszula. – Sami musimy sprzątać.

Ciotka Wanda popatrzyła na Ignacego z niesmakiem.

– Rzeczywiście nie jesteś dobrze wychowany. Ja na przykład mam szereg obaw, ale staram się zachowywać spokojnie i nie denerwować innych. Kulturalni ludzie gawędzą

przy śniadaniu, a nie grożą innym sztukami. Lepiej, żebyśmy byli dla siebie mili niż niemili.

– Wy nie jesteście mili, jesteście fałszywi oraz obłudni! Co jakiś Żabczyński ma wspólnego z naszą sytuacją? Przedstawię wam ją precyzyjnie, bo najwyraźniej wam brakuje wyobraźni. Ugrzęźliśmy w dziwnym pałacu, w którym każdy pokój urządzone jest w innym stylu. Nie możemy wyjść, bo zasy mają ze dwa metry. I wciąż pada! Na piętrze leży dwoje nieboszczyków. A trzy kilometry stąd są Niemcy. Możecie udawać, że rozważania o aktorach coś zmieniają, ale istota rzeczy jest właśnie taka, znaleźliśmy się w dramatycznej sytuacji. Jakiś Żabczyński, jacyś amanci teraz to jest... perwersja wręcz!

– Przystanie padać śnieg, przyjedzie policja, wszystko się rozwiąże. Musimy zachować hart ducha – przemówiła do niego łagodnie Helena, tonem siostry miłosierdzia rozmawiającej w okopach z żołnierzem bez nogi. Nie pocieszyła jednak Ignacego.

– Baniałuki! A pani to chyba powinna... – podniósł głos jeszcze bardziej.

– Cóż takiego powinna? Zechce pan sprecyzować? – zapytał zimno Robert.

Proszę, jaki bojowy. A ostrzegałem, żeby się swoimi sprawami zajmował. Dawno po mordzie nie dostał. Oni tu wszyscy udają. Owszem, robią wrażenie idiotów, ale mogli coś zauważyć, zaniepokoił się Rowiński, podnosząc brwi w wyrazie teatralnego zdumienia. Tak teatralnego, aby wszyscy tę sztuczność zdążyli zauważyć. Ojciec Herbst pomyślał, że już prawie nic z tego nie rozumie. Rowiński prawdopodobnie uważa ich wszystkich za imbecyli, przed którymi nie trzeba się specjalnie kryć. Ignacy gwałtownie wstał od stołu.

– A niech was wszystkich diabli! Dałem wam kolejną szansę, ale to bez sensu. Szukajcie sobie mordercy beze mnie. Ja posiedzę i zaczekam na policję. Dobrze wiem, że macie wiele na sumieniu! Wszyscy mają! Proszę zostawić mnie w spokoju! Nie pukać, bo nie otworzę. Bawcie się beze mnie.

I wyszedł, odsunawszy krzesło tak gwałtownie, że się przewróciło. Urszula pokiwała głową.

– Doskonale. Istna farsa. Krzyczą, robią miny, tajemnicze sugestie... Zdaje się, że niektórzy z państwa wręcz się napawają nieprzyjemną sytuacją. Tak, panie Robercie, mówię o panu... Niech już rzeczywiście policja przyjedzie. I co teraz? Po śniadanku każdy do swojego pokoju, przykładem Ignacego, i barykadujemy się przed mordercą?

Zwróciła się do ojca Aleksandra, ale zakonnik zapatrzył się na żonę Rowińskiego, która obronnym gestem zaplotła ręce na piersi, jakby czuła się odpowiedzialna za arogancję męża. Czegoś tu nie rozumiał.

– Nie, nie! Musimy się zjednoczyć i działać razem! Ignacy przechodzi chwilowe załamanie, ale to przecież lekarz, racjonalna jednostka. Znajdziemy złoczyńcę! Nie będziemy zamykać się w sypialni i czekać na kolejną zbrodnię. Zróbmy coś! Działajmy! Jesteśmy rodziną! – przypomniała Wanda rozemocjonowana. I drżącymi rękami zaczęła zbierać naczynia.

Basia przyniosła tacę. Helena także się poderwała.

– Tak, Wanda ma rację – orzekła. – Tyle osób, świetnie wyedukowanych i błyskotliwych, nie może tchórzliwie chować się w swoich pokojach i czekać na odsiecz. Razem znajdziemy mordercę, nieważne, czy kryje się w jakimś zakamarku, czy – uchowaj Boże! –

wśród nas.

– Dobrze, że z nami jesteś, Helenko. Potrafisz wlać otuchę w serca. Doskonałą żonę wybrał sobie Robert – powiedziała Wanda, całując Rowińską w czoło. Atmosfera zrobiła się cieplejsza. Wszyscy się uśmiechnęli, nawet Robert. Chociaż on może odrobinę ironicznie.

W tym momencie odezwał się ojciec Aleksander, który wskazał za okno.

– Nie chciałbym psuć miłej atmosfery, ale dobrze by było zacząć od odpowiedzi na pytanie: kto z nas umie jeździć na nartach?

Pytanie było niespodziewane i zaskakujące. Zapadła cisza, którą po chwili przerwała Basia.

– Ja na przykład umiem doskonale. I mama także – obwieściła, stanąwszy w progu z tacą.

– Ktoś jeszcze? Przyznam od razu, że ja również umiem, choć słabo. Nie przewracam się natychmiast, jadę prosto, choć skręcać nie potrafię – wyznał ojciec Herbst.

– Ja nie potrafię, to dość luksusowy sport – stwierdziła Nina.

– My jeździmy – oznajmił Rowiński w imieniu swoim i żony, która przeszła już do kuchni.

– Mnie chyba nie podejrzewacie? – zapytała Wanda.

– Wszystkich podejrzewamy. O wszystko. Nie da się inaczej, skoro rzeczywiście jesteście tutaj tylko my – poinformował ją Robert.

Rzuciła mu oburzone spojrzenie, a on w odpowiedzi wzruszył ramionami. Atmosfera zrobiła się z powrotem nieprzyjemna. Kwiatkowska zapytała:

– A właściwie dlaczego to ojca interesuje?

Nina wydawała się zdenerwowana. Głos jej trochę drżał.

– Ktoś zostawił narty na wysokości pokoju Tadeusza. Proszę spojrzeć.

Wszyscy oprócz Roberta i Urszuli podeszli do okna. Rzeczywiście, z zasy wystawały narty, a właściwie tylko ich fragment. Resztę przysypał śnieg. Za dwie godziny i tego nie byłoby widać.

– Sugeruje ojciec, że morderca przyjechał na nartach, zabił Tadeusza, a potem... Właśnie – co potem? Nie odjechał przecież, skoro narty zostawił. Pieszko w śniegu też nie poszedł, chyba że jakiś samobójca. A więc?

Robert zadał pytanie napastliwym tonem. Helena rzuciła mu uspokajające, pełne troski spojrzenie. Ojciec Aleksander pomyślał, że jeśli taka kobieta nie zmieni Roberta, to nic go nie zmieni.

– Równie dobrze ktoś z nas mógł się wybrać na przejażdżkę. I wrócić, wystarczyłoby wspiąć się po rynnie. Owszem, trochę oblodzonej, ale dla sprawnego młodego człowieka to nic trudnego – stwierdził.

– Wystarczy powiedzieć „sprawnego”. Sprytnie się ojciec wykreślił z kręgu podejrzanych – powiedział Rowiński.

– Ależ skąd. Myślałem, że wciąż jestem młody, wybaczcie państwo.

– Bez żartów, panowie. I wszedł po rynnie, a potem przez okno do pokoju Tadeusza? – powątpiewała na głos Wanda. – Chyba sobie nie wyobrażacie, że byłabym do tego zdolna.

– Tadeusz musiał mu otworzyć – orzekła Urszula. – Raczej nie spał przy otwartym oknie. Czyli ktoś znajomy. Dobrze rozumiem? Przecież nie wpuściłby obcego w środku nocy.

– A skąd wiadomo, że „go”? Może „ją”? To nie my z Heleną spędzamy każdą zimę w Zakopanem – powiedział Robert.

– Absurd. I pan doskonale o tym wie. A gdzie pan spędza i z kim, wolę nie myśleć. Jak z panem rozmawiam, to budzi się we mnie komunistka i zastanawiam się, po co nam taka grupa burżuazyjnych, lekkomyślnych...

Robert już chciał odpowiedzieć, ale grymas bólu przebiegł po jego twarzy. Ojciec Herbst przysiągłby, że Helena mocno kopnęła męża pod stołem. Zakonnik rzucił jej zaskoczone spojrzenie. Taka spokojna, dobrze wychowana osoba? Niezmieszana Helena odwzajemniła spojrzenie zakonnika, a potem skierowała łagodny wzrok na męża. Uspokajająco poklepała jego rękę.

– Robercie, proszę... Pani Urszulo, rozumiem, że nie darzycie się sympatią, ale mąż jest trochę rozdrażniony. Z powodu niewyspania i tyłu wrażeń... Przepraszamy panią. I wszystkich państwa. Robert nie jest przyzwyczajony do takich sytuacji.

– A kto z nas jest? – kwaśno zapytała Nina.

Urszula wyglądała, jakby i jej miała ochotę powiedzieć coś nieprzyjemnego, ale się powstrzymała. Helena także milczała, uśmiechając się grzecznie.

Co ona tak się szczerzy cały czas? Nikt mi nie powie, że to normalne. Jak ekspedientka z ekskluzywnego sklepu. Tylko czekać, aż wyciągnie kolię z diamentami i zacznie ją zachwalać. Można mieć dobry charakter i być doskonale wychowanym, ale bez przesady...

– Pozwólcie państwo, że wrócę do meritum. Czyli nikt się nie przyzna, że używał nart? – stwierdził raczej, niż zapytał, Herbst.

Wszyscy podejrzliwie zerkali na siebie nawzajem. Z wyjątkiem zakonnika, który kontemplował widok za oknem.

– Cóż – powiedział w końcu. – Sami państwo widzicie, że nie możemy sobie ufać. Nawet w takich błahych sprawach się oszukujemy. Przyznanie się do jazdy na nartach nie byłoby jednoznaczne z przyznaniem się do morderstwa. Nie ma sensu deliberować, snując kolejne hipotezy. Sami mordercy nie znajdziemy, bo musielibyśmy być szczerzy wobec siebie. Każdy z nas ma jednak coś do ukrycia – oczywiście nie każdy takiego kalibru jak zabójstwo – i to sprawia, że nie będziemy, prawda?

Spojrzał pytająco na zgromadzonych. Odpowiedziała mu cisza, którą przerwała Basia.

– Ale ja nie mam nic do ukrycia i chętnie sobie podeliberuję. To bardzo ciekawe. Wszystko się doda do siebie i wyjdzie nam, kto zabił. Matematyka. Proste.

Ojciec Aleksander uśmiechnął się do niej z sympatią.

– Jesteśmy, Basiu, w zdecydowanej mniejszości. Ludzie unikają szczerości i nie lubią matematyki. Bezlitosna nauka. Pozostaje nam czekanie wśród wzajemnej niechęci i pretensji do przyjazdu policji. To może potrwać. Ale skoro państwo sobie życzycie... Pamiętajcie jednak, że mimo wszystko jesteśmy rodziną i lepiej uniknąć skandalu...

– Ja z nikim tutaj nie jestem spokrewniony – przerwał mu Robert.

– My z panem dzięki Bogu też nie – odparowała Urszula.

– A to całkiem logiczne – wtrąciła Basia. – Ta relacja z natury rzeczy jest dwustronna.

Matka posłała jej ciężkie spojrzenie. Wanda pokręciła głową. Tak, to dziecko było bardzo oryginalnie wychowane.

– Przepraszam państwa, ale źle się czuję – wtrąciła Helena. – Chciałabym wrócić

do swojego pokoju.

– Odprowadzę cię – zaofiarował się jej mąż. I po chwili ich nie było.

– Tak, Rowińscy zaparli się pokrewieństwa z nami. Oraz wszelkich relacji – powiedziała Urszula.

– To jest podejrzane – zauważyła Wanda. – Robert od początku okazuje nam pogardę i wyższość. Gdyby był mordercą, chyba by tego nie robił, prawda? Mógłby stwarzać choć pozory, nawet arogant jego pokroju wie... W każdym razie uważa się za lepszego od nas. Bezczelna kreatura.

– Cóż, nikt z nas nie umiałby przegrać w karty tyle co on – stwierdziła Urszula. – Rzadka umiejętność, wyjątkowe kwalifikacje.

Nina zarumieniła się.

– To nie znaczy, że pan Robert... Owszem, jest niesympatyczny, ale gdyby rzeczywiście miał coś na sumieniu, starałby się nie zwracać na siebie uwagi i zachowywać grzecznie. Zgadzam się z ciocią.

Ojciec Herbst się zdziwił. Był przekonany, że właśnie Nina chciałaby, aby Rowiński okazał się winny. Ich wzajemna antypatia aż kłuła w oczy.

– Nasza opinia go nie interesuje – powiedziała Urszula. – To człowiek pozbawiony skrupułów.

– Jak to możliwe, że wyszła za niego tak urocza kobieta? – rzuciła w przestrzeń Wanda.

– Pozory myślą – podsumowała zgryźliwie Urszula. – Normalna kobieta nie wyszłaby za takiego drania. Może wcale nie jest taka urocza.

– Miłość jest ślepa – westchnęła sentencjonalnie Wanda. – Według ciebie normalna kobieta nie powinna w ogóle za mąż wychodzić.

– Chyba że za normalnego mężczyznę. Ale nie spotkałam takiego osobnika. Wybacz, kuzynie.

– Przyznam, że tempo tej dyskusji jest dla mnie... – zaczęła Wanda.

W tym momencie zegar zaczął głośno wybijać dwunastą.

– *Marsylianka*? Czy ja dobrze słyszę? – przekrzykiwała kurant Nina.

Ojciec Herbst wybuchnął śmiechem. Goście patrzyli na niego zdumieni, a Basia przyłączyła się do śmiechu.

– Komicznie się ojciec śmieje.

Zakonnik poczekał, aż melodia wybrzmi.

– Wiem – przyznał. – Podobno jak czapla skrzyżowana z kojotem. Ale przyznajcie, że znaleźliśmy się w sytuacji niecodziennej. Jesteśmy w polskim pałacu pod niemiecką granicą i słuchamy *Marsylianki*. A na górze spoczywa dwoje nieboszczyków. To wszystko jest takie... oryginalne.

– Cóż, życie – oznajmiła Wanda filozoficznie. – I jego niezbadane koleje. Pytanie tylko, czy moje serce to wytrzyma.

Urszula zerwała się na równe nogi, ignorując obawy krewnej.

– Trudno. Morderca mordercą, przypominam jednak, że nie ma służby. Nie lubię zmywać, ale jeszcze bardziej nie lubię brudnych naczyń. Kto mi pomoże?

– Ja chętnie – zgłosił się ojciec Herbst.

– Doskonale. Porozmawiamy sobie przy okazji. Basiu, ty idź do naszych pokojów

i trochę posprzątają. Chodźmy, Aleksandrze. Równouprawnienie zobowiązuje. – Urszula ruszyła przodem.

– Podoba mi się takie równouprawnienie – orzekł zakonnik, patrząc z zadowoleniem na czyste naczynia. Dla Herbsta zmywanie z kuzynką okazało się bardzo interesującym zajęciem. Dowiedział się przy tym większości rzeczy, które go interesowały.

– To nie ja pierwsza poluzowałam święty węzeł małżeństwa, przecież wiesz. Opowiem ci, skoro jesteście sami – powiedziała Urszula w odpowiedzi na pytanie, czy jej awersja do mężczyzn pokroju Rowińskiego jest podyktowana osobistymi doświadczeniami. Energicznie przy tym trzaskała naczyniami, z rozwojem opowieści coraz bardziej ryzykując, że pałacowa porcelana zostanie zdekompletowana. – Pan doktor, teraz już profesor, ma pewien zwyczaj od kilkunastu lat. Na pierwszym roku oblewa jedną ze studentek. Z prawa rzymskiego. Tym można zniszczyć każdego, nawet naprawdę dobrych studentów. Wybiera niekoniecznie najładniejszą, ale niebrzydką i zahukaną. Z prowincji. Taka panienka nie zdaje za pierwszym razem. No dobrze, połowa roku też oblewa, w końcu to trudny egzamin. Ale przejmuje się, bo jest porządna i pracowita. Oblewa drugi raz. Wtedy już w zdecydowanej mniejszości. Nie zdało zaledwie kilka osób. Czy ja jestem taka głupia? – zastanawia się biedactwo. I znów. Oficjalne poprawki się skończyły. Ale pan profesor ma dobre serce, chce pomóc. Zaprasza na nieoficjalną poprawkę do swojego domu. Lepiej, żeby nikt nie wiedział, przecież to poza regulaminem. Na kolejną poprawkę. Panienka jest coraz bliżej, ale zawsze popełnia jakiś kompromitujący błąd... Profesor nie może więc zaliczyć egzaminu. Chciałby, ale nie może. Jeszcze kilka razy... i panienka w końcu przeprowadza się do jego domu. W następnym roku wymiana. Sprytnie, prawda? System działa już... czternaście lat. Kiedy byłam w ciąży, zupełnie oficjalnie zapytał, czy panienka może z nami zamieszkać. Nie mogła, bo okazałam się mało nowoczesna. Wystarczyło mi rozumu, żeby wziąć rozwód. Nie życzę więc sobie, żebyś mi opowiadał o moralności oraz o obsesyjnej niechęci do mężczyzn. Ja się wciąż dziwię, że nie zastrzeliłam ojca Basi. W afekcie, ma się rozumieć.

Przez chwilę słychać było tylko szum wody. Urszula popatrzyła krytycznie na Herbsta.

– Zamoczyłeś się trochę. I tak – dodała po chwili – Rowiński jest podobny do mojego męża, arogancki i pozbawiony szacunku dla kobiet. Byłabym zadowolona, tak to chyba można nazwać, gdyby się okazało, że to on zabił. Ale przede wszystkim dlatego, że nie chcę, aby to był ktoś... lepszy. Ktoś, kto może zwyczajnie popełnił błąd, ale jest dobrą... dobrym człowiekiem. Ktoś oszukany? A co do mojego męża – uzupełniła – to jest typ zwyczajnie niemoralny jak Rowiński, ale przy tym tchórz.

Ojciec Herbst zamyślił się. Uważał, że jako teoretyk małżeński nie powinien wygłaszać kategorię sądów. Z drugiej strony osoba duchowna bezwarunkowo powinna stać na straży więzów kościelnych. Od dawna jednak miał problem z doradzaniem kobietom w sytuacji Urszuli, że powinny się modlić o nawrócenie męża i przyjąć nawróconego z powrotem. Z radością. A z trzeciej strony chciał porozmawiać o sprawach pilniejszych.

– O moralności nic nie powiedziałem – zaznaczył więc ogólnie, żeby cokolwiek powiedzieć i nie zdenerwować Urszuli.

– Profilaktycznie uprzedzam – obwieściła, podając mu nóż do wytarcia.

– Poglądy Kościoła na kwestie rozwodu są... być może niedoskonałe. Pamiętaj, że to nie

dogmat. Co więcej, w Biblii istnieją rozwody, choć już oczywiście Nowy Testament... Jak by to powiedzieć...

– Nie męcz się. Reprezentujesz archaiczną instytucję. Po prostu. Gierki słowne nie pomogą.

– Kościół to ludzie, wielu duchownych współczuje kobietom w twojej sytuacji. Dziś nie ma rozwodów, ale to może się jeszcze zmienić.

– Nie za naszego życia – Urszula wzruszyła ramionami. Krytycznie oglądała widelec. – Można oczywiście unieważnić małżeństwo. Ale na to szkoda mi pieniędzy. Zresztą co to za unieważnienie, skoro jest tylko dla bogatych.

– Tak – potwierdził już weselej. – Musiałabyś zabić na suchoty albo gruźlicę jeszcze wiele błękitnookich blondynek. Albo wydać je bogato za męża.

– Mhm, a to męczące, uwierz mi. Nawiasem mówiąc, ludzie chyba nie mają pojęcia, jak to obrzydliwie wygląda w rzeczywistości, nie w literaturze. Wybrałam się do szpitala, żeby zobaczyć. Bardzo nieprzyjemny widok, bardzo. Leżysz osłabiony i czujesz, jakby ci ktoś usiadł na piersiach. Dusisz się własną plwociną, a potem krwią... W sali kilkunastu takich samych nieszczęśników... Siostry nie nadążają... Za grosz w tym romantyzmu, w dodatku śmierdzi i karmią jakimiś zupami z obierek... Straszne.

Benedyktyn uśmiechnął się na widok autentycznej grozy, która odmalowała się na jej twarzy.

– Ale wiersze były przyzwoite.

– Po pierwsze, nie znasz się na poezji. Po drugie, nawet z nieprzyzwoitej poezji nie utrzymam Basi. Chcę, żeby miała dokładnie to wszystko, co dostałaby jako jedynaczka zamożnego prawnika. Dlatego sporo jeszcze romansideł dla kucharek wysmaruję. Ale to nie jest najgorsze życie. Lepiej mylić imiona bohaterek melodramatów niż kochanek męża.

Pokiwał głową.

– Dobrze. A teraz porozmawiajmy o twoich sprawach – stwierdziła Urszula, kierując w jego stronę widelec.

Janowiec, w pół do drugiej po południu

Mogę posiedzieć z ojcem w salonie? Mama kazała mi poznawać rodzinę, ale prawie wszyscy się ode mnie opędzają. Nikt nie chce o sobie nic powiedzieć. Mówią, że mam się zająć swoimi sprawami. Ale jakie ja tutaj mogę mieć sprawy? Całkowita nicość i miętka egzystencja.

Ojciec Aleksander wskazał Basi fotel i wyjął z ust fajkę. Uśmiechnął się. Dziewczynka była w tym wieku, kiedy na zmianę mówi się dziecięcym i dorosłym tonem, własnymi i cudzymi słowami. Tak jakby organizm nie mógł się zdecydować, wydorosnąć już czy z powrotem uciec w dzieciństwo. Basia wciąż jednak chyba była bardziej dzieckiem, bo usiadła na fotelu po turecku i złapała się za palce u stóp ubranych w góralskie skarpety.

– Powiedziałaś „prawie”? A kto z tobą rozmawiał?

– Pani Helena. Nawet poprosiła, żebym ją „ciocią” nazywała.

– Miłe z jej strony, wszak nie jesteście spokrewnione. Pewnie cię polubiła.

– Miłe, miłe. Ona jest słodka jak budyń. Nie wierzę w ani jedno jej słowo. Ewidentnie i bez wątpienia, fundamentalnie wręcz – powiedziała Basia zadowolona z możliwości użycia tak wielu oryginalnych określeń.

Zakonnik postanowił dać jej czas do namysłu, zamiast od razu zadawać pytania. Sięgnął po fajkę. Pomyślał, że jeśli zostaną tu do jutra, skończy mu się tytoń Najprzedniejszy Turecki. Miał jeszcze Przedni Turecki, ale to nie było to samo.

Przez kilka minut panowała cisza. Basia obserwowała kółka z dymu, ale w końcu nie wytrzymała.

– Dlaczego ojciec o nic nie pyta? – naburmuszona zapytała Herbsta.

– Daję ci czas. Jeśli to ważne, i tak mi powiesz.

– Nie wiem, czy ważne. Raczej dziwne – obwieściła, spuszczać nogi na podłogę. – Mam wrażenie, że ona wcale nie jest taka dobra i łagodna, jak się prezentuje. Sądzę, że to osoba zaburzona.

– A cóż powiedziała, że wysnułaś takie wnioski?

Basia zmarszczyła nos.

– Ojciec kpi? Nie lubię tego. Wszyscy ze mnie kpią. A ja nie mogę się bronić, bo wtedy jestem bezczelna.

– To z zazdrości. Dorośli kpią z młodych, ponieważ im zazdroszczą – wyjaśnił z powagą zakonnik.

– Aha. – Basia pokiwała głową. I znów spojrzała podejrzliwie.

– Przepraszam – rzekł zakonnik. Wstał i wyciągnął do niej rękę.

– Zgoda. – Dziewczynka również wstała i potrzęsnęła zamasyście jego dłonią. – Lubię ojca. Chociaż ja nikogo prawie nie lubię. Podobno taki wiek, ale obserwuję ludzi uważnie

i obawiam się, że już mi tak zostanie. Na zawsze – dokończyła z powagą.

Usiedli z powrotem.

– Doceniam twoją sympatię. Także długo miałem problem z polubieniem ludzi.

– Teraz ojciec już polubił czy może uznał, że to nie jest problem?

Herbst popatrzył na dziewczynkę z zaskoczeniem. Pytanie było mądre, a Basia przy okazji trafiła w jego słaby punkt.

– Uznałem, że przestanę się nad tym zastanawiać.

– Znowu ojciec kpi?

– Gdzieżbym śmiał. Opowiedz lepiej, dlaczego myślisz, że pani Helena jest zaburzona, w co wątpię. Inteligentna z ciebie osóbka, więc może mnie przekonasz. Co mówiła o sobie?

– O sobie nic. Prawie godzinę opowiadała mi o pięknie Kaszub i urodzie Wejherowa. Podobno tam wszyscy czują się Polakami. Wszyscy kochają flagę biało-czerwoną. Opowiadała mi, jak ważnym jest, aby burmistrzem Wejherowa był nadal jakiś Teodor Bolduan czy inny Bolderan i żeby miasto nie przeszło w ręce Niemców. Szlachetne obyczaje, prości ludzie o wielkich sercach zagrożeni żywiołem niemieckim... A ziemia, a przyroda! „Te pola malowane...”. I tak dalej...

– Tak się wyraziła?

– To od siebie dodałam, aby ojciec zrozumiał, że ta kobieta jest naprawdę kaszubską obsesjonatką. *Pana Tadeusza* znam na pamięć, nie żebym się chwaliła... Podobno uczenie się trzynastozgłoskowca wyrabia ascezę oraz dyscyplinę umysłową. Tak nam w szkole powiedziano.

– Jest nas więcej, też znam. Chociaż nie z powodu ascezy. Wracając do pani Heleny, niemal każdy jest przywiązany do swojego miejsca urodzenia. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Wybacz, Basiu, ale chyba jesteś za młoda, by zrozumieć...

Spojrzała na niego ze złością, zniecierpliwiona. Uważa mnie za niezbyt bystrego. Chyba rzeczywiście jestem stary, skoro trzynastolatkom takie rzeczy do głowy przychodzą, pomyślał ojciec Herbst.

– Dobre sobie. – Potrząsnęła włosami jak matka, a Herbst w ostatniej chwili powstrzymał uśmiech. – „Bardzo chcę poznać moją rodzinę. Czy może mi pani opowiedzieć coś o sobie?” – tak zagaiłam. A ona na to, że jest z Kaszub i te Kaszuby... Gdybym ja odpowiedziała na podobne pytanie: „Mieszkam w Warszawie, sercu polskości, gdzie od wieków...”. Tak napisaliby w szkolnym podręczniku. „Prezydentem mojego miasta jest Stefan Starzyński i ważnym jest...”. Zaburzona, naprawdę. Normalni ludzie mówią, kim są ich rodzice, wspominają o rodzeństwie, pracy... Nikomu nie przychodzi najpierw na myśl nazwisko burmistrza Wejherowa.

– Jest w tym sporo racji. Oryginalne zachowanie, nie przeczę. Albo rzeczywiście, jak to nazwałaś, jest obsesjonatką, albo nie chce mówić zbyt wiele o sobie.

Herbst zadumał się na chwilę.

– Nie przeszkadza ci fajka? Wiem, że twoja mama wychowuje cię w sposób... sportowy, tak to chyba można nazwać. Higieniczny.

– Sama pali, kiedy się denerwuje. A fajka? Gdzie tam! Wcale mi nie przeszkadza. Kiedyś będę palić. Papierosy też. I pić. Wszystko.

- Wszystkiego to może lepiej nie. Ja zresztą też nie mogę palić.
- Bo niezdrowo?
- Bo używka i wbrew regułom. Człowiek nie powinien być niewolnikiem swoich nałóg. Wystarczy, że zjadam za dużo orzechów.
- Ale to żadna sztuka – nie palić i nie pić całe życie – odpowiedziała z powagą, jakby uznała, że Herbst musi lepiej poznać świat, bo na razie jest strasznie naiwny. – Ja najpierw popadnę w jakieś nałogi, a potem bohatercko je porzucę, żeby nie być niewolnikiem. To romantyczne, taka walka ze sobą.
- Zakonnik mruknął coś pod nosem.
- Powiedział ojciec „jak diabli”?
- Ja?! Benedyktyni nie przeklinają.
- A ja nigdy nie próbowałam papierosów. Tak samo jak ojciec nie przeklina.
- Doskonale zatem się rozumiemy. Ładniej ci bez gogli niż w goglach, wiesz?
- Dziewczynka pokiwała głową i znowu usiadła po turecku. Zignorowała ostatnią uwagę, ale na myśl o matce się wyprostowała.
- Prawda. Z mamą tak się nie rozumiem. Sztymna jest.
- I znów się przygarbiła, jakby postanowiła wszem wobec udowodnić, że jest dorosła i będzie siedzieć, jak zapragnie.
- Też jestem sztywny. Miło sobie porozmawiać z inteligentną panią to każdy potrafi. Ale na co dzień nudny ze mnie człowiek, a nawet ponury. A twoja mama musi być sztywna za dwoje.
- Basia znów usiadła porządnie. Popatrzyła na niego badawczo.
- To jest jakaś myśl.
- Przez chwilę najwidoczniej tę myśl analizowała, bo milczała. Potem wzruszyła ostentacyjnie ramionami.
- A pani Helena zabiła różę.
- Basiu, nie nadążam za twoim tokiem rozumowania.
- Nie jest ojciec sam, w szkole też to słyszę. Siedziałyśmy w ogrodzie zimowym. Pani Helena trzymała różę, taką fioletową, dużą...
- *Cardinal de Richelieu.*
- Dziękuję, zapamiętam. I opowiadając o zaletach Kaszub, wrywała płatek po płatku. Jeden za drugim. Tak mimowolnie. Potem podeptała łądygę, też chyba nieświadomie.
- Uważasz, że to podejrzanę?
- Ona tylko udaje łagodną. A jej podświadomość...
- Jakaś zaraza chyba. Wszyscy chcą prowadzić śledztwo, odwołując się do podświadomości. Powiem ci to, co często sobie powtarzam: „Mniej benedyktyństwa, więcej matematyki”. Znaczą to...
- Żeby myśleć logicznie, a nie jak dobry, ale naiwny zakonnik?
- W skrócie tak. Zaczynam się ciebie bać.
- Nie wiem, czy to działa. – Wydeła usta i znów pokręciła głową. – Musiałby ojciec być maszyną. To już wolę podświadomość.
- Basiu, masz trzynaście lat, nie możesz jeszcze wierzyć w podświadomość.
- Dlaczego? Dobrze, a więc myślę, że Helena zwyczajnie kłamie. I coś ukrywa.

Ostatnie zdanie powiedziała z naciskiem. Trudno było zaprzeczyć. Ale czy Helena ukrywa coś, co ma związek z morderstwami?

– Wszyscy coś ukrywamy. Nikt nie jest bez grzechu, bez winy. I ja, i ty także. Z wiekiem coraz więcej ukrywamy, także przed sobą. Co nie znaczy, że pani Helena ma coś poważnego na sumieniu. Na przykład...

Nie dokończył, bo to rzeczywiście wydawało się niedorzeczne.

– Może po prostu nie lubi róż *Cardinal de Richelieu*? Ja nie lubię. Są za bardzo pompatyczne. I sam patron... wiesz, kim był?

– Przebiegłą i inteligentną osobą duchowną. Pozbawioną skrupułów.

Basia mrugnęła wesoło, jakby sugerowała pokrewieństwo swojego rozmówcy z postacią historyczną.

– Ja jestem tylko inteligentny. Tak, to jednak źle się kojarzy, ten majestatyczny fiolet. Sam najbardziej lubię różę *Gloria Dei*. Żółta, bezpretensjonalna, i nazwa ponadczasowa. Wygląda uczciwie i porządnie, jak chłopka na niedzielnej mszy... Róży *Gloria Dei* nikt o nic nie podejrzewa... o, przepraszam, głośno myślę.

– Nie szkodzi.

Ojciec Aleksander nieco się zawstydził, ponieważ Basia patrzyła teraz na niego dorośle, poważnymi, ale też lekko kpiącymi oczami swojej matki. I intuicyjnie wiedziała, że w tym momencie należy przerwać rozmowę.

– Idę sobie. Cieszę się, że mogłam z ojcem porozmawiać. Ale proszę zauważyć, że niczego się nie dowiedziałam.

– Jak to?

– O ojcu. Miałam przecież poznawać rodzinę. Chciałam zapytać o rękę. A wiem jedynie, jaką różę ojciec najbardziej lubi. Gdzie dzieciństwo, rodzice, oceny w szkole?

Herbst pokiwał głową.

– Cóż, wygląda na to, że i ja mam coś do ukrycia. I z premedytacją cię zagadałem.

– Jestem pewna, że jeszcze się dowiem. Na odchodne dodam, że naprawdę kopnęła go w kostkę, też to zauważyłam. A potem udawała niewiniątko, kiedy ojciec spojrzał ze zdumieniem. Normalny człowiek by się zawstydził i zarumienił. A ona spokojnie tylko się uśmiechnęła, tak łagodnie. Pierwszorzędna aktorka. Ale ja też patrzyłam. Dobrze ojciec widział. Kopnęła, a on wcale się nie zdziwił. Czyli przyzwyczajony, bo kopie częściej. Ona jest sztuczna i udaje lepszą niż w rzeczywistości. Ludzie z naprawdę dobrych domów piją, klną i nic ich nie obchodzi, co sobie inni myślą. Jeśli kopią w kostki, to nie udają, że nie kopali. Taki sznyt. Mamy w klasie Lubomirską i jedną taką Francuzkę z ambasady, więc znam się na tym. Dobrze ojciec widział – zapewniła dziewczynka. I wstała, kierując się do drzwi.

Tak, jestem już stary. Trzynastolatki tłumaczą mi oczywistości i pocieszają, że nie mam kłopotów ze wzrokiem, pomyślał ojciec Herbst.

– Basiu?

– Tak?

– Bystra z ciebie dziewczynka.

Basia wzniosła oczy do nieba, jakby szukała uznania za cierpliwość.

– Wiem. Może jeszcze ojciec dodać, że będzie ze mnie pociecha.

- Będzie. I zwracaj się, proszę, „ciociu” do pani Heleny.
- Dobrze. Nie musi wiedzieć, że jest podejrzana. Skoro to ma pomóc w śledztwie.
- W czym? Nie prowadzimy żadnego śledztwa.
- Amen. Bystry z ojca ojciec.

I wybiegła, jakby doszła do wniosku, że tym razem przeciągnęła strunę. Niepotrzebnie, zakonnik uśmiechał się pod nosem, idąc po kozuch, a potem przez całą drogę do ogrodu zimowego.

Cardinal de Richelieu rzeczywiście nie robił na nim wrażenia. Ale ciotce musiał się podobać, skoro właśnie te róże zajmowały kilka metrów kwadratowych jej oranżerii. Była to zresztą jedyna odmiana róż w całym ogrodzie.

Może zresztą nie chodziło o sam kwiat, ale o sens oranżerii. Ojca Aleksandra zawsze zastanawiało, co ludzie widzą w całorocznym podziwianiu roślin, których podstawową cechą powinna być przecież zmienność i poddawanie się przemijaniu pór roku. Oranżerie wydawały mu się wręcz nieprzyzwoite albo przynajmniej – dekadentkie.

Tutaj część kwiatów zaczynała słabnąć. Brak prądu, a co za tym idzie – światła – dał się im we znaki. Na progu, zamiast charakterystycznej dla ogrodów zimowych fali ciepła, uderzyła go atmosfera powolnego umierania. *Cardinal de Richelieu* miał się jednak na pierwszy rzut oka dobrze, jak dobrze ma się kupiec, który spekuluje zbożem ze swoich zapasów w czasie klęski głodu. Doskonale.

Ojciec Herbst przyjrzał się różom. Tak. Mocny odcień fioletu. Pąki bardzo kuliste, a zapach mocny i słodki. Jednak ta róża nie budziła sympatii.

– Powinieneś kwitnąć w lipcu, kardynale – mruknął, łapiąc różę za łodygę zaraz przy kwiecie, jakby to była szyja. – Żebyś tu sobie stał i pachniał z okazji sylwestra, ktoś ciężko pracował. Puszysz się, ale to nic nie da. Za parę dni skonasz w mękach. Mogę je skrócić. –

Chwycił mocniej, ale szybko się zmytygował. To niemądre niszczyć kwiat, który wydaje mu się niesympatyczny.

– Chyba nie będziemy tutaj aż tak długo? Albo przynajmniej wcześniej włączą prąd. Boję się, że i ja skonam w mękach, ze strachu.

Zawstydził się morderczych myśli wobec bezbronnej róży i cofnął ręce. Na progu oranżerii stała Wanda. Ładnie wyglądała na tle roślin. Zakonnik uśmiechnął się do swoich wspomnień. Nikt by nie zgadł, że trzydzieści lat temu starsza kuzynka stanowiła obiekt westchnień kochliwego gimnazjalisty. Dziś, choć pulchna, gadatliwa i często nietaktowna, wciąż była urodziwa. Jak na swój wiek.

– Najpóźniej jutro ktoś po nas przyjedzie – powiedział, by dodać jej otuchy. – Mają chyba w Zbąszyniu pługi śnieżne, a nami wiele osób jest zainteresowanych. Choćby miejscowy podkomisarz, który uznał nas za zdolnych do morderstwa. Pamiętasz, jak na nas patrzył?

Wanda pokiwała głową.

– Teraz wiemy, że się nie mylił. Albo mecenas Wasilewski, jeśli nie jest postacią mityczną, to z pewnością zależy mu na zakończeniu sprawy testamentu oraz rozwiązaniu kwestii spadku. Na wieczność tu nie zostaniemy.

– Oby. Żałuję, że przyjechałam.

Wanda usiadła na ławeczce przy figowcu. Miała na sobie gruby sweter w stylu góralskim, co sprawiało, że wraz z egzotyczną rośliną tworzyła mało gustowny kolaż.

– Panuje tu zakopiańska moda. Jesteś kolejną osobą z upodobaniem do takich motywów. Wczoraj Ignacy pokazał mi swój góralski pokój. Wracając do twojej uwagi, wszyscy trochę żałujemy. Ale – wybacz dosadność – ciotka i Tadeusz są w gorszej sytuacji.

Mówiąc to, zajął miejsce obok niej. Jego kuzynka stwierdziła:

– Modliłam się za spokój ich dusz. Tadeusz pewnie pójdzie do nieba. A ciotka... cóż. Tam, gdzie jej miejsce, chyba że dokonała tajemniczych dobrych uczynków, o których nie wiemy. Więc może czyścić.

Zakonnik odruchowo chciał zaprzeczyć, ale zafrapowało go coś innego. Przyjrzał się Wandzie oraz jej swetrowi. Skoro tak ciepło się ubrała, to znaczy, że specjalnie przysłała do ogrodu zimowego, aby z nim porozmawiać.

– Szukałaś mnie?

– Tak, Basia powiedziała, że poszedłeś wachać róże.

– Nie zwierzałem się jej z moich planów. Sprytna jest.

– Inteligentna dziewczynka. Wyrośnie z niej ktoś wartościowy, choć nie wiem, czy Urszula ma do córki właściwe podejście... Basia zachowuje się nieco dziwnie. Wydaje się, że potrzebuje męskiej ręki i jest zbyt oryginalna. Zwłaszcza te narciarskie gogle... ale jak na wychowanie, które odebrała... jakieś nowoczesne... to pewnie mogłoby być jeszcze gorzej. Nie jest zepsuta, tylko bezczelna, a to pół biedy. Co nie zmienia faktu, że takie podejście do dziecka...

– Nie jesteśmy powołani, aby je oceniać. Zakonnik i, wybaczyć, bezdzietna wdowa. A sama Basia uważa, że jest traktowana bardzo surowo.

– Dzieci zawsze tak uważają. I wiem przecież, że masz słabość do Urszuli. Taka słodka z was była para – rozczuliła się. – Młodziutka i śliczna. Szkoda, że się poróżniliście. O co właściwie poszło?

– Młodzieńcza kłótnia. O błahostkę. Ludzie robią czasem głupie rzeczy bez przyczyny. Zwłaszcza w tym wieku.

Przez chwilę wpatrywali się w figowiec. Wanda dotknęła ręką chropowatej powierzchni jednego z liści. Widać było, że chce porozmawiać o czym innym. Herbst spojrzął wyczekująco, ale nadal milczała.

– Wiem, kto zabił – po długiej chwili wyszeptała zdesperowana.

Ojciec Herbst mruknął coś pod nosem. Był przekonany, że to ona zostawiła kartkę. Styl oraz afektacja się zgadzały. I dziwaczny pomysł, by pisać lewą ręką.

– Figowce osiągają wysokość kilkunastu metrów. Ten ma ze trzy, do sufitu zostało kolejne trzy. Ciotka zostawiła problem spadkobiercom.

– To do niej podobne... – Wanda machinalnie kiwnęła głową. – Dlaczego mnie zbywasz i zmieniasz temat?

– Nie wierzę w winę Roberta. On przypomina trochę ten figowiec. Inna skala. Zgłosiłby się na ochotnika, żeby zabić Hitlera albo przegrać w kasynie dziesięć tysięcy, ale udusić starą kobietę z powodu majątku? Jeśli dług, to gigantyczny. Jeśli romans, to z mężatką lub nieletnią. Gdyby miał zabić, to osobę zdrową, młodą i silną. Gruźlik i staruszka? Szkoda zachodu. A poza tym mam wrażenie, że on się zmienił... Wiem, zachowuje się

bezczelnie jak zawsze. Mimo to coś jest inaczej. I z pewnością ma to związek z panią Heleną. Nie, moim zdaniem Robert jest niewinny.

– Czy ja oskarżyłam Roberta o morderstwo? Skąd ta myśl?

Zakonnik zaniemówił ze zdumienia. Zatem to nie Wanda podsunęła mu liścik?

– Dostałem podpowiedź. List.

– Od kogo?

– Nie mam pojęcia.

Wanda popatrzyła na niego z urazą.

– Oczywiście, rozumiem, nie musisz mówić. Jestem tylko twoją kuzynką, która wozila cię...

– W granatowym wózeczku.

– Otóż to.

– Naprawdę nie wiem. Ktoś podrzucił liścik do mojego pokoju. List pisany kobiecą ręką, w którym nadawca zasugerował, że zabił Robert. I do tego udawał mańkuta.

– Sami intryganci! – obruszyła się Wanda. – Jak tu komuś ufać?

– Najlepiej nikomu.

– Jak to? Nawet mnie, która...

– Wózeczkiem...

– Nie, chciałam o wycieraniu nosa. Ale słusznie – uśmiechnęła się – w istocie mam dość monotony repertuar.

Ojciec Herbst odwzajemnił uśmiech. I wózeczek, i nos, wszystko prawda. Ich pokrewieństwo było dalekie, ale przez kilka lat wakacje spędzali w tej samej leśniczówce pod Piłą. Ufał Wandzie, mimo całej jej egzaltacji. Chciał jej ufać.

– Nie chciałem cię zbyć. Po prostu nie wiem, kto napisał list. Proszę – wyjął kartki z kieszeni. – Przeczytaj.

Wanda milcząco przebiegła wzrokiem treść listu.

– Rozumiem. Ale pomyśl, czy ja napisałabym list, czy wolałabym porozmawiać osobiście?

Patrzył na nią zdumiony. Uwaga bardzo na miejscu i niezwykle jak na Wandę przytomna. Może nawet zbyt przytomna.

– Masz rację. List napisany w twoim stylu, ale samo podrzucenie do ciebie nie pasuje. Ktoś chciał, abym cię uznał za autorkę anonimu.

– Chce rzucić podejrzenie na Roberta, a jednocześnie na mnie. Sprytnie i przemyślnie. Skoro ja rzucam podejrzenie na Roberta... To skomplikowane, ale logiczne. Ktoś chce nas wszystkich skłócić.

Znów go zaskoczyła. Jak gdyby miała wszystko przemyślane. Całą historijkę i wnioski. Może podrzuciła list, aby podejrzewał kogoś innego? Nie, zbyt skomplikowane. Wanda wyrachowana? A może załatwiała przy tym swoje sprawy, jemu nieznaną? Nie chciał w to uwierzyć.

– Właśnie... – odpowiedział niepewnie, czekając na dalsze wyjaśnienia. Wzdrygnął się trochę. Było coraz zimniej.

– Może chodzi o kobietę. Z tym właśnie przyszłam – obniżyła głos do szeptu. – Uważam, że ciotkę zabiła Urszula. Była wczoraj w nocy u ciotki. Do zabicia baronowej miała

i sposobność, i motyw. Nie chciałam tego mówić przy wszystkich, ale tobie opowiem.

Zakonnik nie krył sceptycyzmu.

– Też byłem wczoraj u ciotki. Kilka minut, ale pewnie zdążyłbym ją zabić... Tak, to o niczym nie świadczy. Wando, rozumiem, że sytuacja jest trudna. Spodziewałaś się, że Urszula będzie chciała z tobą rozmawiać o książkach, o tych wszystkich bohaterkach. A ona niczego tak nie cierpi jak tego tematu. Jesteś zawiedziona. Twoja ukochana autorka okazuje się kpić z własnych czytelników, ukatrupia hrabiankę... jak jej było... Mioduszewską.

– Też czytasz?

– Kupiłem na dworcu, doskonała lektura do pociągu. Wracając do tematu, czujesz się zawiedziona Urszulą, jej zachowaniem i postawą. Myślałaś, że będzie z tobą dyskutować o losach hrabianek? To nieco dziecinne, sama przyznasz. Znałaś ją wcześniej i wiedziałaś, że daleko jej do romantycznych bohaterek literackich. Myślałaś, że skoro zrobiła karierę, to zaraz charakter jej się poprawił? To nowoczesna jednostka, niespecjalnie sentymentalna. Co nie znaczy, że kogoś zabiła.

Wanda westchnęła. Herbst pomyślał, że istnieją kobiety, które nie muszą mówić. Wystarczy odcienie ich westchnień, znaczące i emocjonalne. Tak się jednak składa, że właśnie te kobiety uwielbiają konwersować. Tak jak Wanda.

– W sytuacji, gdy mamy do czynienia z tragicznymi wydarzeniami, jej złośliwość i cynizm są doprawdy nie na miejscu – oznajmiła podniesionym tonem. – Nie oczekiwałam wcale, że zachoruje z przejęcia na zapalenie opon mózgowych. Nie myśl, że jestem egzaltowaną starą babą, która nie odróżnia fikcji od rzeczywistości. Rozsądek mam wrodzony.

Pokręciła się na ławce i usiadła pewniej, dla podkreślenia prawdziwości swoich słów. Właśnie taki ostentacyjny brak zastrzeżeń co do winy Urszuli wydał się ojcu Aleksandrowi podejrzany.

– Czyli dysponujesz bardziej przekonującymi argumentami?

– Oczywiście. – Wzruszyła lekko ramionami. – Widziałam ją. W nocy chodziła po korytarzu. Ja wyszłam na chwilę, aby poprosić Ignacego o kropelki na nerwy. Nie mogłam zasnąć... A Urszula była w pokoju ciotki znacznie dłużej od ciebie. Ty byłeś trzy minuty i osiemnaście sekund. Ona zaś siedem minut i dwadzieścia dwie sekundy. Zapisałam sobie. I była w męskiej piżamie, wyobraź sobie.

Zakonnik najpierw uniósł lekko brwi, zastanawiając się, co ma do wszystkiego piżama, a potem popadł w zadumę. Tak, ciotkę mogła zabić kobieta. Baronowa podczas kolacji prezentowała się doskonale, ale kto siedział najbliżej, dostrzegł, że pozorna rzeźkość jest efektem grubej warstwy kosmetyków. A nikt nie siedział tak blisko jak Herbst i Urszula właśnie.

– Ciotka Wirydianna miała dziewięćdziesiąt pięć lat. I raka. Musiała być bardzo słaba. Taka sportsmenka jak Urszula nie miałyby problemu, żeby ją udusić. Tylko po co? Domagała się pieniędzy? Siłą? Chciała zmusić baronową do zmiany testamentu? Przecież Urszula nie potrzebowała pieniędzy. Co innego jednak potrzebować, a co innego pożądać. Nikt przecież nie potrzebuje brylantów albo kompletu miśnieńskiej porcelany. A jakoś ludzie chcą to mieć.

- Słyszałaś coś jeszcze? – zapytał po dłuższej chwili.
- Tak. Najpierw było spokojnie. A potem chyba coś spadło z hukiem. Kłóciły się. Urszula krzyczała, baronowej nie słyszałam.
- Twój pokój jest obok sypialni ciotki, dobrze pamiętam?
- Tak, między pokojem ciotki a Tadeusza, dlatego Ignacy zapukał rano najpierw do mnie... Dlaczego tak patrzysz?
- W pałacu są grube mury. Jak mogłaś coś usłyszeć?
- No dobrze, może nie **słyszałam**, a **podśluchiwałam**. Wykorzystałam stary sposób ze szklanką. Urszula jest sama sobie winna, skoro opisała go w *Kolorach pragnienia*.
- Kiedy wredna wścibska ciotka podsłuchuje Januarego i Rozalię? W scenie z wyznaniem miłości?
- Wanda się zarumieniła.
- Tak. A ty spędzasz bardzo dużo czasu w pociągach – odcięła się.
- Ojciec Herbst zachował spokój. Odchrząknął.
- Cóż, zdarza mi się podróżować w sprawach klasztornych... Ale wracając do rzeczy, miałaś najlepszy punkt obserwacyjny. Słyszałaś, co krzyczała Urszula?
- O, dokładnie. To było bardzo dziwne. „Ty wstrętna starucho, własnego życia nie masz. Co to jest? Skąd to masz, ty spróchniała wiedźmo? Na każdego zbierałaś? Jak to możliwe, skoro nie ruszasz się stąd od kilkunastu lat? Kto ci pomagał? Jutro wszystkim powiem!”. Wyobrażasz sobie? Do baronowej Korzyckiej tak krzyczała. Musiała być wściekła. Możliwe, że coś przekreśliła, ale sens zachowałam. I coś spadło na ziemię. Usłyszałam huk. Bałam się, że moje serce tego nie wytrzyma!
- A co mówiła baronowa?
- Wanda zamrużyła szybko, jakby miało to pomóc w przypomnieniu sobie słów Korzyckiej. Herbst pomyślał, że próbuje stworzyć jakąś historyjkę na poczekaniu.
- Nie było słyhać, mówiła za cicho – oznajmiła w końcu.
- Skłamała. Nie miał wątpliwości. Wanda nie chciała mu zdradzić słów ciotki Wirydianny. Czyżby powiedziała coś ordynarnego, co Wandzie nie chciało przejść przez usta?
- Ale słów Urszuli chyba nie wymyśliła. Tym gorzej, bo rzecz wydawała się mało prawdopodobna i bez sensu. Benedyktyn zamyślił się. Nikt z nich nie lubił ciotki, ale wulgarnie wyzywać staruszkę to już przesada. Urszula bywa złośliwa, ale nie ordynarna.
- I przecież każdy bał się Wirydianny, Urszula także. Nie różniła się pod tym względem od pozostałych krewnych. Załóżmy, że Wanda nie kłamie i pisarka rzeczywiście krzyczała. Co ją tak rozwścieczyło?
- Coś więcej słyszałaś?
- Nic. Ale myślę, że ten odgłos, huk spadania na ziemię, to mogła być ciotka. Urszula przewróciła ją na podłogę i udusiła – triumfalnie podsumowała Wanda.
- Herbst nie odpowiedział. Patrzył na figowiec i myślał, że należało zostać w klasztorze i z okna celi podziwiać świerki. Przewróciła staruszkę i udusiła? Czy ktoś ośmieliłby się przewrócić baronową? Udusić – to już prędzej. Milczał.
- Co o tym sądzisz? – po dłuższej chwili nie wytrzymała Wanda.
- Myślę, że gdybym kogoś dusił – kto wie, na co przyjdzie nam w życiu – to wolałbym go dusić na łóżku, nie na podłodze. Zdecydowanie wygodniej.

Wanda się skrzywiła wyraźnie zawiedziona, że nie potraktował poważnie jej hipotezy. Zawsze miał słabość do Urszuli. Kiedyś nawet dostali wspólne lanie, coś podpalili jako dzieci... chyba krzesło... Z pewnością nie ocenia Urszuli obiektywnie. Do mnie jest uprzedzony. Ale dlaczego?, pomyślała Wanda. Westchnęła po raz kolejny.

– Jesteś już taki cyniczny jak Urszula – stwierdziła oskarżycielsko. – Tu są jakieś złe fluidy. Porządni ludzie stają się tacy... gruboskórni.

– Nie, Wando. Trzeba myśleć racjonalnie. Mordercy nie są wyrafinowani. Nie wygłaszają dramatycznej przemowy do ofiary, nie czekają, aż ktoś wpadnie do pokoju i powstrzyma ich, nie krzyczą, żeby ktoś mógł podsłuchać. I przede wszystkim są szybcy i zorganizowani. Jeden cios, jeden strzał...

Zobaczył, że Wanda ma łzy w oczach, i przerwał.

– Przepraszam, zapomniałam. To już tak dawno... – powiedziała skruszona.

Uśmiechnął się i poklepał ją po dłoni. Wanda gotowa się rozplakać, a teraz nie było czasu i miejsca na wzruszenia. Cały czas chodziło mu po głowie, że hipoteza Wandy ma sens. Ale z pewnością nie taki, jaki ona sama przedstawia.

– Masz rację, dawno. W moim starym życiu, którego już prawie nie pamiętam. Nie zrobiłaś mi przykrości, nie martw się. Rozmawiamy o hipotetycznych morderstwach dokonanych przez hipotetycznych morderców, tak? Kto to mógł być? Zastanów się spokojnie.

Wanda milczała przez chwilę. Chciała rozpocząć zupełnie inny temat, ale uznała, że nie ma śmiałości. Minęło już tyle lat, a wciąż wydawało się, że rozmowa jest niemożliwa.

– Tak, wciąż myślę, że to Urszula – oznajmiła w końcu, nie patrząc na Herbst. – Była wściekła na ciotkę, więc ją udusiła.

Skąd ta pewność? Wanda to dobry człowiek, raczej nie kłamie. Może trochę usłyszała, a resztę sobie dopowiedziała? Ale po co? Herbst nie potrafił zrozumieć. Zaczął się zastanawiać, czy od tych podejrzeń wobec rodziny nie wkracza już na obszary obłędu. Przecież to nie są źli ludzie, a przyzwoici chrześcijanie. Z pewnymi wadami, owszem, ale przecież... Nie, ktoś z tych dobrych chrześcijan zabił.

– Zakładając, że masz rację, to nie wyobrażam sobie, by zabiła również Tadeusza – stwierdził pod nagłym spojrzeniem Wandy. – Przypuśćmy, że była wściekła na ciotkę i udusiła ją. Mamy sposobność, ale nie znamy motywu.

– Motyw jest ukryty w jej pretensjach, które wykrzyczała baronowej. Tak mi się zdaje – dodała ostrożnie.

Już się wycofuje. Czyżby chciała odsunąć podejrzenia od siebie? Zaraz, co to za majaki? Wanda miałyby zabić dwie osoby?!

– Owszem. Możemy sobie dywagować, a możemy też zapytać Urszulę wprost. Nawet jeśli nam nie powie – a jeśli zabiła, to oczywiście się nie przyzna – to i tak przy okazji się czegoś dowiemy. Choćby tego, że coś ukrywa. Pójdiesz ze mną?

– Nie. – Wanda wstała i poprawiła sweter. – Nie mam do niej za grosz zaufania. Zresztą pewnie nie wpuściłaby mnie do swojego pokoju.

W tym samym czasie Ignacy postanowił, że woli jednak spędzić ostatni dzień roku w towarzystwie. Do jutra sprawa się wyjaśni. Znał małe miasteczka. Wiedział, że choćby

z ciekawości ktoś ich z tego śniegu wykopie. Przyjedzie adwokat, policja, ten facet z długim wąsem. I kłopoty się skończą.

Do tego czasu zachowa spokój. Przebierze się, wyjdzie z pokoju i będzie starał się uprzejmie rozmawiać z nimi, z nią także. Uznali go pewnie za wariata, a im dłużej siedzi w zamknięciu, tym bardziej się w tym utwierdzają.

Przy stole zachował się nieodpowiednio. Musi teraz bardzo się postarać, żeby o tym zapomnieli. Pójdzie do Roberta, do ojca Aleksandra i zaproponuje na przykład, żeby bardziej szczegółowo przeszukać cały pałac.

Przebrał się w wygodny tweedowy komplet i przeczesał włosy. Był już przed drzwiami, kiedy ktoś gwałtownie zapukał. Ignacy otworzył i zobaczył na progu Helenę Rowińską. Zapatrzył się przez chwilę. Miała na sobie czerwoną sukienkę z koronkowym kołnierzykiem. Bardzo piękna kobieta. I chyba nie wymaga od mężczyzn wielkich poświęceń. Przeciwnie – robiła wrażenie, jakby to ona lubiła się poświęcać dla męża. Nawet takiego łajdaka. Niektórzy dostają w życiu o wiele więcej, niż na to zasługują.

Helena przyglądała się Ignacemu z troską, wciąż stojąc w progu. Zrozumiał, że wypada zaprosić gościa do środka. Zaprosił ją więc szerokim gestem.

– Martwiłam się o pana – rzekła, siadając na drewnianej ławie w stylu zakopiańskim. Rozejrzała się wokół siebie. – Widzę, że pochodzimy z przeciwległych biegunów.

– Co proszę? – nie rozumiał.

Usiadł po drugiej stronie ławy. Lekko się zaczerwienił. Nie wiedział, co zrobić z rękami. Utkwił wzrok w podłodze. Tak, Ignacy zdecydowanie nie był człowiekiem, który potrafi rozmawiać z kobietami.

– Krańców mapy. Dostał pan pokój w stylu góralskim, a nasza sypialnia jest kaszubska – wyjaśniła. – To drugie zdaje się w pełni zrozumiałe, ciotka wiedziała o moich korzeniach. Ale pan nie jest góralem, jak sądzę?

– Nie. A szkoda. – Ignacy uśmiechnął się lekko. – Podobno górale mają twardy charakter.

– Pan nie ma? – Odwzajemniła uśmiech. – Proszę tak nie myśleć. Zwykle nie doceniamy własnej siły. Pozory mylą.

Czy ona przysłała prowadzić salonową konwersację i przerzucać się banałami? Tym razem nie dam się nabrać. Jeśli kobieta się uśmiecha, to na pewno czegoś chce, myślał Ignacy.

– Tak się mówi, ale w moim przypadku pozory mają odzwierciedlenie w rzeczywistości. Jestem raczej słabym człowiekiem, histerykiem prawie jak Wanda. Nie będę owijać w bawełnę. Ciotka doskonale mnie opisała. Nie doceniła jedynie mojej samowiedzy. Dużo o tym myślałem i doszedłem do pewnych wniosków. Jestem teraz zwolennikiem tezy, że nie ma sensu się pocieszać.

– Ja natomiast jestem zwolenniczką tezy, że należy się pocieszać. – Znów się uśmiechnęła. – Prawda jest przeceniana. I należy unikać kłamstwa. Przyzna pan jednak, że jeszcze lepiej umiejętnie go używać.

Helena była nie tylko piękna, ale także miła, wręcz urocza. Czuł, że taka kobieta mogłaby go zrozumieć. Że też jej właśnie trafił się mąż w typie Rowińskiego. A Ignacemu... Żadnej sprawiedliwości.

– Nie przyszedłam po to, by przedstawić panu moje poglądy na szczerłość. Panie Ignacy,

proszę mi wyjaśnić, dlaczego osoba uduszonapaskiem ma na szyi jedynie ślady duszenia ręką?

– Słucham?

Tego doktor Neumann się nie spodziewał. Piękne rzęsy Heleny zafalowały i jej wielkie oczy spojrzały na niego z niewzruszonym spokojem.

– Myślę, że doskonale pan słyszał. Pytam – powiedziała z naciskiem – o różnicę pomiędzy śladami pozostawionymi po duszeniu ręką a tymi po duszeniu paskiem. Nie potrafię sama profesjonalnie ocenić. Zajęcia z anatomii traktowałam po macoszemu. Nie mam pojęcia, jak zdołałam je zaliczyć. Już same kości dłoni wydawały mi się zbyt skomplikowaną kwestią, by to spamiętać.

– Słucham?

– Tak, na medycynie – oznajmiła Rowińska. – Nie byłam prymuską. Cud, że w ogóle skończyłam studia. Rodzice pragnęli, bym zdobyła porządny zawód. Bali się, że uroda zawróci mi w głowie, a jeśli trochę pomęcę się na medycynie, to zbrzydnę z niewyspania i zmęczenia, a w końcu zmienię moje plany na przyszłość. Proszę mi wierzyć, że były szalone.

Ignacy poczuł, że góralska ława się chybcze. Tak, najwyraźniej mebel miał problem z utrzymaniem równowagi. Neumann przytrzymał się rękami i słuchał dalej łagodnego głosu Heleny.

– Do głowy mi nie przyszło robić doktorat, jak pan. Wróciłam na Kaszuby, wyszłam za męża – i jak pan widzi, już prawie nic mi z tej wiedzy nie zostało.

– Tak, rozumiem... Nie wspominała pani wcześniej o medycynie. Nie wiedziałem, że jesteście... kolegami... kolegą i koleżanką, chciałem powiedzieć. Szkoda, że nie powiedziała pani wcześniej.

– Och, przecież... – tym razem uśmiech był lekko pobłażliwy – ...nikt mnie nie pytał. Jestem przyzwyczajona do pewnego lekceważenia... nie, raczej określonego traktowania przez otoczenie...

Najwidoczniej ta oryginalna istota pragnęła mu się zwierzyć. Dotknęła rękami włosów, jakby upewniając się, że fale są na miejscu.

– Kobiety mnie nie lubią, jeśli zaszczycają mnie uwagą, to najczęściej pytaniem o adres krawca albo fryzjerki. Mężczyźni mnie lubią, ale ich nie interesują moje studia, przekonania polityczne, książki ani poglądy. Mam dwadzieścia dziewięć lat, a ostatnio o książkę zapytał mnie nauczyciel w szkole powszechnej. Przywykłam do tego, że nie wzbudzam w nikim chęci nawiązania intelektualnego czy duchowego porozumienia. Wyjątkiem jest mój mąż. Nasz związek jest... inny. W tej sprawie jednak czas działa na moją korzyść. Za jakiś czas będzie mi zapewne łatwiej wzbudzić powszechną sympatię i zjednać sobie ludzi. Tak, za dziesięć lat będzie pod tym względem lepiej.

Doktor Neumann usłyszał w jej głosie autentyczny smutek, podszyty kokieterią. Trudno mu było jednak okazać współczucie i zapewnić, że od tego momentu dzieli ją raczej lat trzydzieści.

– Cóż, w zamian opatrność podarowała pani niezwykle powierzchowność – bąknął uprzejmie.

– Tak, wiem. Nie można mieć wszystkiego. Ale chciałoby się, prawda?

Uśmiechnęła się znowu, tym razem wesoło. Z bliska było widać, że ma nawet dołeczki w policzkach. Kobieta idealna. Czuł się jednak nieswojo.

– Jak zatem wygląda kwestia śladów po duszeniu? To dla mnie sprawa bardziej osobista, niż pan myśli... – zmieniła temat, widząc jego zmieszanie. – Ale odnoszę wrażenie, że pan mnie nie słucha. Co by to zmieniło, gdyby pan wiedział, że skończyłam medycynę?

Jej twarz zmieniała się w bardzo szybkim tempie. Gdy się uśmiechała, w twarzy widoczny był jeszcze miniony smutek. Gdy się smuciła, ciągle widać było refleksy uśmiechu. Dodawało jej to uroku. Dlaczego więc, skoro obiektywnie piękna i budząca zachwyt, wydała mu się w trakcie tej rozmowy dziwnie odstręczająca? Może była zbyt doskonała jak na percepcję zwykłego lekarza ze Środy Wielkopolskiej? Czy ona w ogóle wie, gdzie leży Środa Wielkopolska?

Zdecydował postawić wszystko na jedną kartę. Przecież musi się jakoś z nią dogadać. Z pewnością zależy jej na mężu. I na uniknięciu skandalu. Tak, nikt nie chce być bohaterem skandalu.

– Zostawmy temat duszenia – zniżył głos do szeptu. – Widziałem pani męża. Wszedł do pokoju Tadeusza. Rozumiem, że dla pani ta sprawa jest niebywale osobista. Na pani miejscu czułbym się oszukany.

Popatrzyła na niego uważnie. Więc doktor był sprytniejszy, niż wyglądał. Albo przynajmniej – spostrzegawczy. Tak, Robert był w pokoju Radzinowicza. Spędził tam dokładnie osiemnaście minut. A ona stała w ciemności i czekała.

Ignacy sprawiał wrażenie, że bardzo jej współczuje. Znowu zafalowała rzęsami. Westchnęła.

– Ironia losu, prawda? Z moim mężem często rozmawiam o książkach i polityce.

OKOŁO CZWARTEJ PO POŁUDNIU

W całym pałacu panowała cisza. Mówi się „klasztorna cisza”, ale ojciec Aleksander pomyślał, że w ich klasztorze ma ona znacznie weselszy ton. Tutaj złowieszczo dzwoniła w uszach. Pusto. Wszyscy się pochowali. Jakby się przyczaili.

Herbst stanął w holu pod wielkim żyrandolem, wsłuchując się w bicie swojego serca. I nagle coś zamiauczało. A po chwili bezszelestnie podszedł do niego duży biały kot. Pers. Miał czerwoną obrózkę i bezczelny wyraz mordki. Popatrzył na Herbsta wyczekująco.

– Witaj, Maurycy. Zgodnie z wolą ciotki trzeba cię nakarmić.

Ojciec Aleksander skierował się do kuchni. Kot pobiegł przodem, jakby kierunek był mu doskonale znany i oczywisty. Herbst nakarmił kota śledziami znalezionymi w spiżarni.

– Ciekawe, komu ciotka ciebie zapisała? Wyglądasz na kocura luksusowego, który ma swoje wymagania i przyzwyczajenia. Do klasztoru się nie nadajesz, chociaż powiem ci w tajemnicy, że mamy kilku współbraci równie przywiązanych do potrzeb doczesnych – zagaił, siadając przy kuchennym stole. W ciszy słychać było tylko mlaskanie, a potem donośne mruczenie kota. Maurycy skończył i znowu posłał zakonnikowi wyczekujące spojrzenie.

– Oczywiście, mleko. – Ojciec Aleksander poczuł, że kot posiada coś na kształt wrodzonego autorytetu. – Wybacz niedopatrzenie. Należę ci, a potem, jeśli zechcesz, przejdziemy się razem po pałacu. Wszyscy są bardzo ciekawi Maurycego. Pewnie ich zaskoczy twoja prezencja. Chodźmy zatem. Poobserwujemy otoczenie. Koty są bardzo spostrzegawcze, prawda?

Postanowił wyruszyć na poszukiwania Urszuli, kiedy nie znalazł jej ani w sypialni, ani w pokoju Basi. Dziewczynki też zresztą nie było. A przynajmniej nie otworzyła mu drzwi.

Nikogo nie zastał w salonie, w jadalni ani w bibliotece. Ogród zimowy także był pusty. Podobnie jak kuchnia. Po chwili nawet Maurycy czmychnął, pozostawiając po sobie woń śledzia.

Teraz także ojciec Aleksander poczuł głód. Warto byłoby zacząć przygotowania do obiadu albo nawet kolacji. W Krzywiniu o tej porze dzień powoli się kończył. Tutaj jeszcze wiele było przed nimi.

Jemu nie wypadało wziąć się do przygotowania obiadu, choć mógł się założyć, że gotuje najlepiej z całego towarzystwa. Uśmiechnął się na tę myśl. Konwenanse wymagają, aby posiłek przyszykowała osoba płci żeńskiej. Wygląda na to, że schematy przeszkadzają nie tylko w poszukiwaniach morderców, ale również w kwestiach bardziej prozaicznych.

Herbst szedł i rozmyślał. Wiedział, że popełnił jakiś błąd w rozumowaniu. Konwenanse... Kobiety w kuchni... Uznał coś za oczywistość i nie zauważył, że może być zupełnie inaczej. Na razie nie miał pojęcia, cóż to takiego.

Ojciec Aleksander przeszedł jeszcze raz głównym korytarzem. Wyglądało na to, że krewni się pochowali. Boją się i odliczają sekundy, minuty i godziny do przybycia odsieczy. Kto przybędzie z pomocą? Wąsaty podkomisarz? Pan mecenas? Wcześniej Herbst liczył na to, że po pierwszym szoku rodzina się zjednoczy i jeśli nie znajdzie mordercy, to przynajmniej zachowa spokój ducha. To jednak okazało się wyzwaniem ponad ich siły.

Zajął fotel w holu, gdzie był najlepszy punkt obserwacyjny z widokiem na korytarz i kilkoro drzwi do pokojów gości, schody oraz wielkie okno, za którym rozgrywał się ten sam spektakl: wiatr i śnieg walczyły o prymat. Taka pogoda wygląda ładnie tylko na pocztówkach. Po co właściwie pocieszał Ignacego, że przestaje padać? Nie było szans, żeby wydostać się z pałacu bez pomocy z zewnątrz. Dla pewności Herbst podniósł słuchawkę telefonu. Głucho.

Siedział więc w fotelu, palił fajkę i zastanawiał się, co też go podkusiło, żeby opuszczać klasztor, najpiękniejszy właśnie zimową porą, z kościołem pełnym wiernych, jeszcze na fali bożonarodzeniowego uniesienia... Dlaczego przeor mu na to pozwolił? A właściwie – nakazał? Herbst przypomniał sobie, że ojca Franciszka niezwykle list baronowej rozbawił. Lekturze towarzyszyło energiczne falowanie pokaźnego brzucha przeora oraz szereg dziwnych odgłosów, które współbracia identyfikowali jako śmiech.

– Jedź, to twój chrześcijański obowiązek powstrzymać zbłąkaną duszę przed samobójstwem. – Ojciec Franciszek oddał mu list. – Twoja krewna musi być trudnym dzieckiem Bożym.

Intuicja przeora nie myliła. Co więcej, w tym pałacu większość osób należała do grona

trudnych Bożych dzieci. Ojciec Aleksander się zadumał.

Pomyślał o Tadeuszu. Doskonały student prawa. Może trochę zbyt nerwowy i wrażliwy, jednak ambitny i pracowity. Sądzi, że robi karierę naukową, ale wybrał dyplomację. Też dobrze, szkoda tylko, że – jak narzekala matka Tadeusza, prawnuczka Helgi Schalbe z Moguncji – wysłali go do Szwabów. Przecież tyle się debatowało o projektach zamorskiej kolonizacji. Wyspy na oceanie. Jakies afrykańskie plemiona. Tam można byłoby rozwinąć skrzydła. A tu ambasada w Berlinie.

Zakonnik uśmiechnął się na wspomnienie zafrasowanej krewnej, pijącej herbatę z melancholijną miną i wyjmującej co chwilę lusterko, by sprawdzić stan fryzury. Jak na swoje pięćdziesiąt lat wkładała wiele starań i energii w dbanie o powierzchowność. Odruchowo kokietowała nawet duchownych. Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy Herbst uzmysłowił sobie, że Halina Radzinowicz straciła jedyne syna.

Wszyscy skupili się na strachu przed mordercą i wzajemnych podejrzaniach, ale przecież wkrótce wyjadą z Janowca i będą musieli powiadomić rodzinę. Kto powie Halinie, że jej dziecko nie żyje? Pewnie wypadałoby, aby zrobił to ojciec Aleksander.

Ludzie myślą, że święcenia czynią z osoby duchownej autorytet do spraw życia i śmierci. Podobnie jest chyba z lekarzami i nauczycielami. Nawet najgłupszy z nich wydają się bardziej predestynowani do wydawania sądów o świecie niż rozsądny piekarz albo szewc. Wierzymy im na słowo. Wydają się nam mądrzejsi we wszystkich dziedzinach. Nieraz sami w to wierzą i czują się lepsi od otoczenia. Nawet jeśli swój zawód wybrali, by temu otoczeniu służyć.

Na przykład on. Bez zastanowienia dali mu klucze od sypialni ciotki i pokoju Tadeusza. Miał je przechować do przybycia policji. Gdyby to on był mordercą, mógłby bez problemu zatrzeć ślady. Ufali mu nawet ci, którzy widzieli go po raz pierwszy czy drugi w życiu. Choćby Helena. I Robert – Herbst nie był jego rodziną, a w dodatku ten przystojny utracjusz był chyba antyklerykałem. Ale też uznał, że skoro ktoś musi te klucze przechować, najlepszy będzie benedyktyn.

O, chyba jeszcze aktorzy tak mają. Odpowiadają na liczne pytania o literaturę, politykę czy ekonomię, jakby grając literata, polityka i przemysłowca, nabywali wiedzy tajemnej. Na przykład Żabczyński. Jego zapytali w wywiadzie o Piłsudskiego. I cóż powiedział? Nie, przecież to bez sensu. A co mógł sensownego powiedzieć? Ta myśl przywołała echo kolejnej, z pewnością ważnej. Skupił się, ale nie zdążyła wybrzmieć w głowie ojca Herbsta, bo zakłóciło ją przejmujące skrzywienie. Drzwi pokoju Niny się uchyliły. Na białym tle pojawiła się kobieca głowa. Nie należała ona jednak do Niny.

Helena Rowińska wyszła z pokoju szybkim krokiem. Zakonnik przysięgłby, że go zauważyła, spojrzawszy w dół przez balustradę schodów. Nie dała nic po sobie poznać i zniknęła w zakręcie korytarza, kierując się zapewne do sypialni, którą zajmowała wraz z mężem.

Pójść za nią? Po co? Zapytać, dlaczego wyszła z pokoju Niny? Dziwaczne pytanie.

Tytoń się skończył, ale Herbst pozostał na miejscu. Zaczął się niecierpliwić. Już zapomniał, kogo i co chciał obserwować. Czuł się zniechęcony, a nawet trochę rozżalony i oszukany. Ktoś zabił dwie osoby z rodziny, a wszyscy nawzajem się podejrzewają, obrażają, krzyczą na siebie i wyzłośliwiają, zamiast zjednoczyć siły i działać. Ta

świadomość odbierała mu dobre samopoczucie.

Pojawił się Maurycy. Wskoczył mu na kolana i uderzył łapką w fajkę, co chyba oznaczało, że koniec palenia. Autorytarny typ. Kocur popatrzył zakonnikowi w oczy. Ojciec Aleksander mimowolnie się zaczerwienił. Dostrzegł we wzroku persa ponaglenie. Do działania, oczywiście.

Nigdy nie był człowiekiem naiwnym. Wyrobiecie w sobie rozsądnie optymistycznego stosunku do bliźnich i całego świata zajęło mu kilka lat i nie było jeszcze z pewnością procesem zakończonym. Wiedział, że monopol na cudowne przemiany i ekspresowe nawrócenia mają autorzy książek dla dzieci oraz filmy z Jadwigą Smosarską. W tej chwili utknął na etapie, który na własny użytek nazywał „uśmiechniętą melancholią”. Do wieku biblijnego, czyli lat siedemdziesięciu, dał sobie czas na stopniowe porzucenie melancholii i zastąpienie jej dobrocią staruszka w habitcie, pozbawionego pretensji do życia i świata.

Na razie szło nieźle. Jutro minie dziesięć lat od dnia, w którym – wiedziony noworocznym postanowieniem – przekroczył próg klasztoru w Krzywiniu. Wcześniej nie wierzył w noworoczne postanowienia ani ich zbawcze moce. I nagle, ku zaskoczeniu rodziny, znajomych, przyjaciół i wreszcie jego samego, jedno z nich wcielił w życie.

Rozmyślał, patrząc na kota, a minuty mijały.

– Rozumiem, że to jest słynny Maurycy? Wygląda na kota ciotki, ma nawet podobny wyraz... twarzy, powiedzmy. Myśli ojciec, że dostaniemy jakiś obiad?

Jak spod ziemi wyrósł przed ojcem Robert. Prawdopodobnie wyszedł z biblioteki, bo te drzwi były najbliżej. Ale skąd się tam wziął? Pół godziny temu pomieszczenie było puste. A Herbstowi wydawało się, że i te drzwi obserwuje. Trzeba było patrzeć uważnie, zamiast deliberować o abstrakcjach i analizować swoją biografię, pomyślał zły na siebie.

– Nie wiem, do kogo należałoby się zwrócić w tej materii. Może panu byłoby łatwiej?...

– Moja żona? Uchowaj Boże! – ściszył głos do szeptu. – Helena posiada wiele zalet, ale przed oświadczeniami byłem zbyt zakochany, by pytać o tak prozaiczne umiejętności.

Zakonnik pokiwał głową, a Rowiński usiadł obok na fotelu.

– Hol jest całkiem przyzwoity. To znaczy, jednorodny stylistycznie. Nasza sypialnia to spełniona wizja Kaszuba o luksusie. Podobno zaś pani Wanda – tu znowu zaczął konfidencjonalnie szeptać – ma pokój zmieniony w więzienną celę, niemal pustą. Myśli ojciec, że nieboszczka miała dar przewidywania przyszłości?

Herbst nie skomentował tej informacji. Zastanawiał się, skąd myśl, że ma ochotę słuchać hipotez Rowińskiego. Przystojny mężczyzna w typie anglosaskim zdecydowanie nie powinien być pleciugą. Taka cecha psuje sznyt. Chyba że Rowiński chce go sprowokować.

Robert wyglądał na niepokieszonego. Spróbował jeszcze raz.

– Moja żona podejrzewa Wandę.

– Doprawdy? A Wanda podejrzewa pana albo Urszulę.

Trochę skłamałem, ale w zbożnym celu, rozgrzeszył się Herbst. Rowiński wybuchnął śmiechem.

– A ja mówiłem Helenie, że zabił ojciec albo Nina.

– Czyli mamy jasność.

Benedyktyn również uprzejmie się uśmiechnął. Sztukę powierzchownej konwersacji

doskonale opanował w pierwszych trzydziestu latach swojego życia i proszę, okazuje się, że to jak jazda na rowerze. Po najdłuższej nawet przerwie wsiadasz, chwilę się chwiejesz, a potem ku swojemu zaskoczeniu jedziesz. Warto jednak wiedzieć, dokąd chcemy dojechać, pomyślał ojciec Herbst.

– Pana żona wygląda na osobę serdeczną i ufą – powiedział. – Skąd pomyśl, że to Wanda?

– O, Helena jest przesądna. Doszła do wniosku, że ciotka przewidziała swoją śmierć i знаła tożsamość mordercy. A skoro Wanda dostała celę...

Herbst znów nabił fajkę.

– Zaskoczę pana.

Rowiński spojrział na niego pytająco.

– To nie jest cela więzienna, ale zakonna. Ciotka nie bawiłaby się w półśrodki. Gdyby chciała zasugerować więzienie, dorzuciłaby kraty.

– Coś jej się pomyliło?

– Ależ skąd. Wszak była nieomylna. Nieuprzejmie, ale w swoim stylu przypomniała Wandzie o jej marzeniach z młodości. Moja kuzynka chciała wstąpić do zakonu, ale rodzice wydali ją za wysokiego urzędnika pocztowego, starszego o dwadzieścia lat. Nie był to nawet Jarecki, ale Jaretky. Z niemiecka. Trudno nazwać rodziców Wandy patriotami, niestety. Moja mama obraziła się na nich, oznajmiła, że jej noga nie postanie na ślubie ze starym bogatym Niemcem... ale mój ojciec zawsze żył ze wszystkimi w zgodzie. Pojechał i zabrał mnie ze sobą... Pamiętam ten ślub, choć byłem mały i śluby mnie nudziły. Wanda strasznie płakała. Obiecałem sobie wtedy, że nigdy nie ożenię się z kobietą, która woli wstąpić do zakonu, niż zostać moją żoną. Nawet jeśli będę wysokim urzędnikiem. Miałem... chyba dziewięć lat... tak. Nie wiem, czy pan wie, ale Jaretky zmarł niedługo po ślubie.

– Szkoda zatem, że nie wstąpiła wówczas do tego zakonu. Może nie byłaby dzisiaj taką histeryczką.

– Musiała się opiekować bratem, potem rodzicami, a potem było za późno. I teraz Wanda jest trochę śmieszną mocno dojrzałą panią, która przez całe życie musiała poświęcać się dla innych. Myślę, że byłaby spokojniejsza i szczęśliwsza bez małżeństwa. Z pewnością nie szukałaby tak zachłannie wzruszeń i przeżyć emocjonalnych, choćby w tych niemądrych historiach miłosnych z powieści Urszuli czy podobnych, o przystojnych brunetach i zaginionych skarbach... Nie nam ją oceniać, panie Robercie. Od mężczyzn wymaga się znacznie mniej. Nikt nie zmusza nas do rezygnacji z życiowych planów, ślubu ze starymi brzydkimi Niemkami i zaopiekowania się całą rodziną. Ja przynajmniej nie czułem takiego nacisku.

Przy ostatnim zdaniu Herbst się uśmiechnął. Rowiński pokręcił przecząco głową.

– Myślę, że ludzie zbyt chętnie składają swoje niepowodzenia na karb przeszłości. Proszę spojrzeć na mnie, miałem bujną młodość, nie przeczę. Były długi i niechlubne historie hazardowe. Ale zostawiłem to za sobą. Jestem uczciwym człowiekiem, pracuję dla ojczyzny...

– Założył pan rodzinę...

– Tak. Pokonałem swoją przeszłość. Czyli można. Jeśli się chce – dodał nieco

patetycznie.

Jak tu lubić takiego bliźniego? Dostał państwową pracę, płaci podatki i myśli, że przeszedł metanoję. Zaraz zacznie dawać świadectwo. Gdybym miał wytypować ofiarę żyrandola... Jaka szkoda, że to chyba nie on... Nie, nie wolno tak myśleć. Wystarczy, że spędziłem jeden dzień w tym pałacu, a już jestem sympatyczny jak ciotka Wirydianna. Może Wanda ma rację z tymi fluidami.

– Nie nudzi się pan? – zapytał Herbst, obserwując kółka z dymu i podając Rowińskiemu pudełko z zapalnikami. – Praca urzędnicza musi wydawać się panu monotonna.

– Nie jest aż tak źle. Praca jest... bardzo ciekawa. I pożyteczna.

Zapalił cygaro i oddał zapalnik zakonnikowi, który patrzył na niego tak, jak się patrzy na interesujące zjawisko przyrodnicze.

– Mówił pan, że ciotka przewidziała przyszłość – zaskoczył Roberta pytaniem. – Przeczuwała, że ktoś pozbawi ją życia?

– Moja żona tak mówi. – Rowiński znów obniżył głos do szeptu. – Kobiety potrafią sobie wiele dośpiewać. Ciotka powiedziała tylko, że spodziewa się śmierci z bezlitosnych rąk i że będzie starała się ją przechytryć. To mógł być taki symbol. Metafora, rozumie ojciec?

– Rozumiem. A więc byli tu państwo, prawda? Przed naszą wspólną wizytą. Przecież wczoraj o tym nie rozmawialiśmy.

– Owszem. I co z tego? – Rowiński znów się zirytował.

– Przypominam, że jest pan teraz porządnym obywatelem. Byliście tu przejazdem? Rozumiem, że mieliście jakieś sprawy w Niemczech?

Rowiński chyba zakrztusił się dymem cygara. Zaczął kaszleć.

– Skąd ojciec wie? – wychrypiął w końcu.

– Właściwie jest pan urzędnikiem czy przedstawicielem handlowym?

Robert na chwilę zamilkł. Zastanawiał się widocznie, czy lepiej obrócić sprawę w żart, czy udać obrażonego. Wybrał pierwsze.

– Widzę, że szykuje się spowiedź. Jestem urzędnikiem w przedstawicielstwie handlowym polskiej firmy. Rozumie ojciec, jakie to ważne, żeby Polska miała silny wpływ na handel w Wolnym Mieście?

– Rozumiem. Jeszcze kilka lat temu uznałbym, że za ważne. Teraz myślę, że zamiast przejmować się handlem marchewką, powinniśmy się zbroić. Wojna jest nieunikniona.

– Marchewką? Zapewniam ojca, że nie zajmujemy się handlem marchewką. Gdyby ojciec...

Herbst mu przerwał.

– Wierzę panu. Nie marchewką. Ale muszę przyznać, że pańska żona zdaje się być znacznie lepiej przygotowana do swojego obecnego zajęcia niż pan. Czy w sopockim Domu Zdrojowym nadal działa eleganckie kasyno?

Rowiński zerwał się na równe nogi. Zaczął krążyć w kółko pod żyrandolem. Delikatna konstrukcja drżała lekko od podmuchów powietrza. Spadłaby dokładnie na niego. Z takich myśli się trzeba spowiadać, pomyślał Herbst.

– Słucham? Co ojciec sugeruje i dlaczego próbuje mnie obrazić?

– Sugeruję, że słabo pana przeszkolono, ale wykpił się pan jak zwykle urokiem osobistym i obyciem towarzyskim, w tym biegłością prowadzenia konwersacji przy stoliku w kasynie.

Wybrano pana ze względu na żądę przygód i lekceważenie zasad moralnych. To rozumiem. Ale czy naprawdę nie ma u was testów psychologicznych? Zamiast ucieszyć się, że rozmówca bierze pana za handlarza marchewką, tworzy pan atmosferę tajemniczości i niedopowiedzeń. Po co ja mam się domyślać? Po co łączyć fakty? Nie może pan siedzieć cicho? Miłość własna przeszkadza panu w pracy. Choć przyznaję, poczynił pan duże postępy jak na studenta, który zadłużył rodziców tak, że musieli sprzedać dom.

Rowiński odruchowo dotknął kieszeni marynarki.

– Jeden z kilku, nie zbiednieli. A wie ojciec, że ja teraz powinienem...

– Chyba nie tym parabellum z kieszeni? Nie było czegoś mniejszego? Mniej ostentacyjnego? Proszę brać przykład z żony. Przepełnia pana buta i pogarda dla ludzkiej inteligencji, panie Robercie. Pańska żona jest zupełnie inna, prawdopodobnie...

– W ojcu natomiast za dużo jest tego księżowskiego namaszczenia – powiedział Robert. – I proszę mi wierzyć, nic o mojej żonie... Zresztą o czym ja mówię? Bredzę bez sensu. Wracam do siebie. Zawołajcie mnie, jeśli będę do czegoś potrzebny.

Poszedł na piętro, przeskakując po dwa stopnie schodów naraz.

– Maurycy, to byłby dobry pan dla ciebie – Herbst zwrócił się do kota. – Podobnie wrażliwy i altruistyczny.

Kocur zeskoczył z jego kolan i gdzieś powędrował, wyraźnie urażony. Fajka zgasła. A zakonnik poczuł, że wreszcie dysponuje konkretną wiedzą. To był blef. Ale się powiódł. Tyle że Herbst nie miał pojęcia, czy te nowe informacje mają cokolwiek wspólnego z morderstwami.

Córka wzięła kota na ręce i poszła z nim do kuchni. Urszula westchnęła. Teraz Basia pewnie będzie namawiać matkę, żeby zabrać persa do Warszawy, skoro został sierotą. Bezdomnym, czy też bezpałacowym. Maurycy nie wyglądał na przejętego śmiercią swojej pani. Wręcz przeciwnie. Przybrał wyniosłą minę, jakby sprawy doczesne go nie dotyczyły, z wyjątkiem oczywiście kwestii aprowizacji. Koci Buddha, nawet podobnie tłusty. Dobrze, że Basia go zabrała.

Urszula jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Różowa półka na tle różowej ściany. Ohyda. Wczoraj to wydawało się nawet dowcipne. Dziś już tylko irytujące.

Wyciągnęła spod łóżka diabelskie teczki. Równy rząddek, podpisane pedantycznym pismem dziewiętnastowiecznej damy. Otworzyła jedną, z napisem „Urszula Klimt de domo Wiśniewska (Maria Lemborska)”. Pierwsza rzecz, odpis aktu ślubu rodziców prosto z poznańskiej fary. Pełen zawijasów, ale wyglądający autentycznie. Spojrzała na dokument bez emocji.

Rodzice Urszuli byli wręcz statystyczną parą; Jadwiga z domu Kowalczyk (l. 21) oraz Ildelfons Wiśniewski (l. 24). Oboje katolicy, kawaler i panna. Zamieszkali w Poznaniu. Sakrament zawarto czwartego lutego 1908 roku. Kto bierze ślub w lutym? A choćby ten, kto spodziewa się dziecka już w czerwcu, o czym świadczył kolejny dokument, potwierdzający fakt, że Urszula została ochrzczona w wierze katolickiej dzień po narodzinach. Widać rodzicom spieszyło się ze wszystkim. Co sugerował także kolejny dokument, tym razem nie kościelny, ale poświadczony przez urząd cywilny. Rodzice rozwiedli się jeszcze w tym samym roku. Dalej odpisy świadectwa szkolnego, aktu ślubu

oraz prasowa informacja o rozwodzie Urszuli. Profesorowie prawa rozwodzą się na tyle rzadko, że czasem wspomni o tym prasa ogólnopolska.

W papierach nie było nic szczególnego. Jej wczorajszy czyn (a właściwie już dzisiejszy, rzecz nastąpiła około pierwszej w nocy) był zupełnie niepotrzebny. niesprawiedliwy. Oraz małostkowy. Starsi ludzie lubią zbierać różne papiery... Lubią wiedzieć, kto z kim się ożenił, kto miał ile dzieci... Nic dziwnego, że ciotka Wirydianna założyła każdemu z nich teczkę. Zbierała dokumenty, kopie i zaświadczenia. Pewnie ktoś jej pomagał, bo przecież sama ich nie wyciągała z kancelarii parafialnych oraz urzędów. Jest to niedyskretne, trochę niesmaczne, ale przecież to nie zbrodnia.

Urszulę najbardziej zirytowały recenzje. Chociaż – po tylu latach – powinna była się już uodpornić. Nie, nie były to niestety głosy zachwyconych czytelniczek, takich jak Wanda. To były artykuły profesjonalnych krytyków. Choćby fragment wycięty bardzo starannie i z pietyzmem umieszczony w dodatkowej kopercie.

Literatura szkodliwa, czyli o sprzedawaniu marzeń

Maria Lemborska, autorka dzieł pod wiele mówiącymi tytułami („Kolory pragnienia”, „Samotność wśród morza”, „Drgnienia serc”, „Czerwień winnej krwi”, „Cienie miłości” i tym podobne) posiada coś na kształt talentu literackiego. Z uporem schlebia jednak najniższemu gustowi, zakładając, że im głupiej coś napisze, tym lepiej książka się sprzeda. W jej powieściach występują blondwłose panny, którym matki zmarły na gruźlicę, a ojcowie ożenili się z wiedźmami. Macochy te oczywiście dręczą nasze urocze bohaterki. Jest też i cały dywizjon wysokich brunetów, którzy na końcu okazują się spadkobiercami kopalni diamentów w Indiach albo przynajmniej prawnikami z hrabiowskiej rodziny. Oczywiście powieści takie doskonale się sprzedają. Napędza to głód marzeń i szczęścia. Ludzie, a zwłaszcza kobiety, lubią wierzyć, że los uśmiecha się do każdej miłej i skromnej dziewczyny. Jeśli zaś nie, to przynajmniej pozwala jej umrzeć na suchoty przy wtórze skrzypiec i łkań ukochanego.

Poświęcamy tak wiele uwagi Marii Lemborskiej, bo jest ona osobą inteligentną i utalentowaną, ale szkodzi swoim czytelniczkom. Zamiast zadowolić się korzyściami materialnymi, mogłaby podpowiedzieć tym naiwnym istotom, jak zmienić swoją egzystencję. Nie brakuje jej do tego walorów umysłu i pracowitego pióra. Ale serca!

Dlaczego nie daje im rad życiowych, nie przekazuje praktycznej mądrości? Czy nie lepiej byłoby opisać, jak dzielna blondynka zakłada sklep i dzięki swojej zaradności utrzymuje rodzinę? Albo idzie na kurs krawiectwa, aby otworzyć swój własny punkt naprawy odzieży oraz repasacji? To nie byłoby romantyczne, prawda? Ale prawa statystyki są nieubłagane. O ileż łatwiej zostać krawcową, niż spotkać w Siedlcach czy Samborze dziedzica kopalni diamentów!

Trudno nie przyznać racji panu M.W., który w piśmie tak szacownym jak „Wiadomości Literackie” postanowił pochylić się nad literaturą kobiecą. Urszula zgadzała się z recenzentem. Zaraz jednak dodawała w myślach, że przygody dzielnej Marysi zakładającej punkt repasacji pończoch sprzedałyby się zaledwie w kilku egzemplarzach.

Być może jej pisanie jest szkodliwe z moralnego punktu widzenia. Miesza czytelnikom w głowach, nie da się ukryć. Myślała o tym niejednokrotnie. W końcu machnęła ręką, stwierdziwszy, że dzięki pomysłom pana M.W. córki nie utrzyma. Zdecydowanie milej otrzymywać listy od zachwyconych czytelniczek niż pochwały w „Wiadomościach Literackich”. Coś za coś.

Niepotrzebnie wczoraj nakrzyczała na ciotkę. Przecież artykuł był nawet dowcipny. Inne też. Nic dziwnego, że baronowa takie rzeczy gromadziła. Kto wie, może i Urszulę by to bawiło w innych okolicznościach. Jej zachowania nie dało się więc usprawiedliwić. Może to wszystko następstwa zmęczenia po podróży?

Pukanie. Zgarnęła teczki pod łóżko.

– Mogę wejść?

Na progu stał ojciec Aleksander. Z kotem na rękach.

– Oczywiście, proszę. To jest ten sam kot czy nowy, podobny?

– Ten sam. Maurycy. Opuścił Basię i teraz chodzi za mną. Pozwól, że wejdziemy razem. Nie pozwala zamknąć sobie drzwi przed nosem. Natychmiast zaczyna się drzeć. Słowo „miauczeć” jest zbyt delikatne, żeby opisać ten dźwięk. Ciężki będzie los jego nowych właścicieli.

Zrobił dwakroki i zatrzymał się zdumiony, wypuszczając kota. Ten wskoczył na łóżko i umościł się na samym środku różowej kapy.

– Różowo. Bardzo różowo. Przepraszam, ale...

Nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

– Wybacz. Rozumiem, że to pokój pensjonarki z jednej z twoich powieści. Nie jestem na bieżąco, znam zaledwie kilka.

– Wanda ogłosiła wczoraj, że jej zdaniem przeczytałaś wszystkie. I że cię o to dzisiaj wypyta. Ale pewnie wyleciało jej to z głowy. Nic dziwnego... no, nie patrz w ten sposób, różni ludzie czytają romanse.

Powiedziawszy to, mrugnęła do niego wesoło.

– Tak, w identycznym pokoju mieszkała i ducha wyzionęła jedna z moich bohaterek. Wybierz sobie któryś różowy fotel i siadaj. Nie było tylko aż tylu świec wokół, bo w powieści elektryczność działa... Dobrze, ale powiedz mi, gdzie są wszyscy? Widzę, że w końcu pozamykaliśmy się w swoich pokojach. Tylko Basia chodzi i szuka.

– Czego mianowicie?

– Tajne. Nie zdradziła.

– Mam nadzieję, że znajdzie i nam powie. Udała ci się córka, choć najbliższych kilka lat będziesz miała... – Herbst się zawahał – widowiskowych. Przyszedłem jednak w innej sprawie. Po pierwsze, pan Robert szuka kogoś, kto ugotuje obiad. Albo kolację.

Urszula spojrzała na niego zaskoczona.

– I pomyślałaś o mnie? Dobry Boże, rzeczywiście dawno się nie widzieliśmy. Może Wanda? Ona lubi gotować. Siadaj wreszcie.

– Wanda źle się czuje. Pomyślałem o sobie raczej. Przyda mi się ktoś do pomocy. Ty albo Nina. Pani Rowińskiej nie śmiem pytać, bo Robert twierdzi, że jest to osoba stworzona do wyższych celów.

Uśmiechnął się do Urszuli.

– Przede wszystkim mogła być bardziej wybredna w wyborze męża. Nie uważasz, że to trochę dziwne? – powiedziała.

– Dziwne? Chyba nie sądzisz, że w klasztorze zatrudniamy kucharza?

– Nie udawaj. Dziwne jest to, że naszym głównym problemem jest posiłek. Debatowaliśmy najpierw o śniadaniu, teraz o obiedzie... Przypominamy rosyjską szlachtę na daczach, zaraz ktoś poruszy kwestię chłopską. A to wszystko, żeby nie rozmawiać o istocie rzeczy... Rowiński przyszedł do ciebie, bo jest głodny? Bzdura. Czego się spodziewał? Orzechów? Próbował coś wywęszyć. Chodzi po całym pałacu, a Basia za nim.

Westchnęła. Jej córka była zdecydowanie zbyt kochliwa. W dodatku w wyborze obiektów uczuć kierowała się zaletami ciała, co nie wróżyło dobrze na przyszłość. Urszula zaraz dodała, żeby nie zatrzymywać się przy tej myśli:

– W spiżarni jest mnóstwo jedzenia. Każdy może sobie wziąć na przykład suchą kiełbasę... Coś się stało? Nic nie mówisz.

Ojciec Herbst omiółł wzrokiem pokój. Urszula uświadomiła sobie, że z jego fotela widać wystający spod łóżka fragment teczki. Poczuli się nieswojo.

– Jeśli zjemy coś wspólnie i poczekamy razem do północy, wszystko będzie wyglądało normalniej. Zadbajmy chociaż o pozory, przecież nie możemy się skłócić i dokumentnie poobrazić. Pamiętaj, że w końcu stąd wyjdziemy. I sylwester jest przecież. A Basię się nie martw. Rozsądna z niej panienka. Jak na trzynastolatkę... Maurycy, co tam znalazłeś pod łóżkiem? Wstydz się, nie jesteś dyskretnym dżentelmenem.

Herbst schylił się, żeby wyciągnąć Maurycyego. Urszula, spanikowana, także wstała.

– Chodźmy robić ten obiad. Zgłodniałam. Mogę obrać jakieś warzywa... Poprosimy też Ninę. Zostaw kota, idziemy.

– Pomysłowy wynalazek taki monochromatyczny styl. Doskonale rzuca się w oczy wszystko, co nie jest różowe.

– Doprawdy? – zapytała słabym głosem.

Popatrzył na nią z lekką kpinią.

– Nie zemdlej mi tutaj, z łaski swojej. Nie zwykłem zaglądać damom pod łóżka, nawet tym, które znam od kołyski. Zauważyłem jednak, że z biblioteki zniknął rząd zielono-szarych teczek. Nie wiem, co w nich było, zdążyłem przejrzeć jedynie okładki. Ciekawi mnie, dlaczego je tu przyniosłaś. I tak nieudolnie schowałaś, że kot je znalazł.

Urszula podeszła do łóżka.

– Pisarka głupsza od kota, niech ci będzie. Zdajesz sobie sprawę, że jesteś irytujący? Jak prymus z pierwszej ławki. „Nieudolnie schowałaś”. Tere-fere. Schowałabym lepiej, gdybym miała kilka sekund więcej.

Wyciągnęła teczki spod łóżka i położyła na stoliku przed nim.

– Ciotka była jeszcze gorsza, niż myśleliśmy. Ta stara wariatka nas śledziła. Zbierała papiery: świadectwa, akty, zaświadczenia... Każdy z nas ma swoją teczkę. Nawet Basia. A tam wycinek o zawodach narciarskich w Zakopanem dla junierek, gdzie zajęła trzecie miejsce. I inne, zupełnie nieważne rzeczy.

Na ojcu Aleksandrze ta informacja nie zrobiła wielkiego wrażenia. Po baronowej spodziewał się wszystkiego.

– Dla ciotki Wirydianny widocznie były ważne. Starsi ludzie lubią takie kolekcje.

Dobrze, zobaczą, co ciekawego zgromadziła o mnie.

Otworzył teczkę z napisem „Ojciec Wincenty Aleksander Herbst”. Słowo „ojciec” napisane było znacznie nowszym atramentem, a „Wincenty” wzięte w nawias.

– O, spójrz! Bardzo ważny dokument.

Podał jej zdjęcie zaślinionego łysego niemowlaka w sukience.

– Ten tłuścioch to ty?

– Wypraszam sobie. Dobrze odżywione dziecko. Mama mówiła, że do szóstego roku życia nigdy nawet kataru nie miałem. Zobacz, jaki optymizm w spojrzeniu. Zdrowie, krzepa i wiara w przyszłość.

Urszula spojrzała uważniej. Rzeczywiście, dziecko wyglądało, jakby miało dalekosiężne plany podboju świata.

– Myślałem, że istnieje tylko jedna taka fotografia, u mojej matki. A tu proszę. Może dostanę w spadku.

Przeglądał kolejne dokumenty. Świadczenia, zaświadczenia i wycinki. Miał szukać informacji związanych z morderstwem, ale gdy patrzył na dokumenty, zaczęły napływać wspomnienia.

– Pomysł, żeby dokumentować moje lata szkolne, sam nie wiem... Orłem nie byłem. Proszę, dostateczny z katechezy... ale za to sukcesy w dziedzinie rysunków i śpiewu. I niemiecki... opór wobec germanizacji przejawiałem już w szkole, mam na to dowód pisemny. Indeks ze studiów... proszę, tego to nawet ja nie mam. Myślałem, że zginął. Tu już lepiej...

Nagle zamilkł. Wpatrywał się w wycinek prasowy. Urszula zajrzała mu przez ramię, ale spieszyła się i wróciła na fotel. Herbst podniósł głowę i uśmiechnął się do niej trochę kpiąco, a trochę smutno.

– Ten artykuł mam także. *Ręka bohaterskiego młodego człowieka uległa trwałej deformacji...* A mówią, że prasa kłamie. Deformacje trwałe, bohaterstwo trochę przybladło... No, obdarz mnie krzepiącym uśmiechem. Nic się nie stało, to tylko notka z trzeciej strony „Kuriera”. Nic wielkiego.

Odchrząknął. Próbował kpić, ale był wyraźnie zmieszany. Urszula nie wiedziała, co powiedzieć. Miała wystraszoną minę. Herbst zamknął swoją teczkę.

– Rozumiem, że przeglądałaś resztę? Coś zwróciło twoją szczególną uwagę?

– Nie zdążyłam zajrzeć do innych. Nie patrz tak... Wczoraj je zauważyłam, a dopiero dziś wzięłam resztę z biblioteki. Wtedy, gdy chodziliście po piwnicy i strychu. Moja i twoja są chyba najgrubsze. Do pozostałych wstydziłam się zajrzeć... No dobrze, nie zdążyłam. Wczoraj skupiłam się na swojej... a potem nie miałam głowy. Czy coś zwróciło moją uwagę? Owszem, złośliwe recenzje, które ciotka gromadziła. Ale chyba nie sądzisz, że ją z tego powodu zabiłam?

– Pisarze są wrażliwi na krytykę.

– Pana M.W., autora jednej, może i bym zabiła, w sprzyjających okolicznościach. Ale zamordować kogoś, bo zbierał negatywne recenzje moich powieści? Nie zabija się pośłańca.

– Średni żart, ale celna uwaga. A co z Rowińskimi?

Zajrzał do teczki Heleny.

– Prawie nic tu nie ma... Świadeństwo chrztu... oczywiście, Wejherowo. Trzydzieści jeden lat? Wygląda młodziej. Gimnazjum w Gdańsku, medycyna... na to już zupełnie nie wygląda.

– Dwoje lekarzy i dwoje nieboszczyków... – Urszula pokręciła głową. – Symetria. Co do Heleny, to jak konkretnie nie wygląda twoim zdaniem? Na trzydzieści jeden lat czy na medycynę?

– Wygląda na dwadzieścia pięć i szkołę dla sekretarek.

Pisarka się obruszyła.

– Może trochę chrześcijańskiego miłosierdzia okazesz? Mówiłeś, że piękna i urocza. To raz, a dwa, że mężczyźni są mało spostrzegawczy. Nina już rano mi powiedziała, że Helena chyba sobie odejmuje lat. Spójrz uważniej na jej czoło...

– Ależ nie, dziękuję, wolę uważać, że piękna i urocza. Zdaje się też, że odważna. I bardzo wszechstronna. Chyba należałoby się bać takiej kobiety.

Nie zaprzeczyła, ale spojrzała na niego z powagą.

– Podobna, prawda? Nawet ton głosu...

– Wszystkie piękne kobiety wydają się siostrami. Ale owszem, podobna.

Przez chwilę milczeli. Wreszcie Urszula postanowiła przejść do sprawy, która interesowała ją najbardziej.

– Za to jej mąż wygląda jak angielski lord, a okropny z niego chłystek.

Ojciec Aleksander pokręcił głową.

– Jesteś pewna?

– Żałosny kokiet. Nawet Basię i Wandę emabluje. Tani fryzjerczyk.

– Twoja niechęć do mężczyzn pozbawia cię obiektywizmu. Ale też jakoś nie potrafię go polubić, chociaż będę się upierał, że chłystkiem nie jest.

Przeglądał dalej, w milczeniu.

– Nie ma tego dużo, ale ciekaw jestem, co też ciotka wywnioskowała z zawartości tej teczki – powiedział po dłuższej chwili.

– Że Helena mówi jedynie po niemiecku. O to pytała przy kolacji.

– Nie, zdaje się, że chciała ją tylko zdenerwować. Albo raczej zdenerwować Wandę, bo, tak myślę, z Heleną miała już wcześniej kontakt. Co do języka, to nie byłoby wcale takie dziwne, przecież wielu Kaszubów polskiego wcale nie zna. Mówią po kaszubsku.

– Po kaszubsku? Gwarą?

– Należałoby zapytać Helenę. Wydaje mi się, że jest bardzo wrażliwa na tym punkcie. Według niej to zapewne język. Zdaje się, że to może być znacząca różnica. Przynajmniej dla Heleny.

– Dla mnie gwara... O czym my właściwie dyskutujemy? Powiedz lepiej, co Helena robiła po studiach według teczek? Bo przecież lekarzem nie została? Nie wyobrażam sobie tego.

Ojciec Aleksander pokazał równiutko wycięty fragment artykułu.

– To ostatnia rzecz w teczce. Nie wiem, z jakiej pochodzi gazety. Ale oboje znamy niemiecki, więc rzuć okiem.

Trzy urodziwe panny ponuro patrzyły w obiektyw. Helena pierwsza z lewej. Tytuł głosił *Żywioł słowiański podnosi głowę*.

– Czyli Helena została po medycynie żywiołem słowiańskim? Ciekawe zajęcie.

– Piszą, że panny Helena i Maria Aubrecht oraz Katarzyna Czapiewska dokonały prowokacji, wywieszając na płocie płachtę materiału z napisem „Tu jest Wolne Miasto, a nie Rzesza”. Coraz więcej sympatii budzi we mnie żona Roberta. On natomiast coraz mniej.

Urszula nie kryła zaskoczenia.

– Przecież to zupełnie inny typ człowieka... Widziałeś jej paznokcie? Takimi wypielęgnowanymi rączkami wieszalała? Ona robi wrażenie jakiejś nimfy czy rusalki... I co, do więzienia poszła?

Herbst przebiegł wzrokiem artykuł.

– Nie, rodziny panien zapłaciły grzywnę. Ten artykuł pochodzi z roku trzydziestego trzeciego. Teraz pewnie spotkałby je gorszy los.

– A później, co się z nią działo?

– Jak mówiłem, nic więcej w teczce nie ma.

– Czyli nie wiemy, co robiła przez ostatnich pięć lat. Ciotka też nie wiedziała? W mojej teczce informacje są znacznie bardziej szczegółowe. Może Helena wyjechała do Ameryki. Zmieniła nazwisko. Zniknęła. Sama nie wiem... Bardzo dziwne to wszystko.

– Najwyraźniej. Jesteś pewna, że nikt oprócz ciebie nie zaglądał do teczek? Może ktoś coś wyjął?

Urszula zarumieniła się.

– Ty wyjęłaś?

– Nie. Ale pokazałam je Ninie. Ona chyba coś zabrała. I zdaje się, że spaliła. Ale nie ze swojej teczki. Tadeusza... myślę, że nie chciała zrobić nic złego... Wiesz przecież, krążyły różne plotki. Znalazła jakieś fotografie... Może powinnam była zwrócić jej uwagę, ale zrobiło mi się jej żal... Powiedziała, że nie chce brukać pamięci Tadeusza i musi je zabrać. Żeby rodzice się nie dowiedzieli.

– Czysty absurd. Tylko dlatego, że grał na fortepianie, był przystojny i dobrze się ubierał? Od razu pederasta? Dziwne uzasadnienie.

– Tam było dużo różnych zdjęć... ale żadne nie było... wstydlive, że się tak wyrażę. Według mnie te podejrzenia były... niewłaściwe. Zobacz, myślałam, że jestem kobietą nowoczesną, a nie potrafię o takich rzeczach rozmawiać.

Pominał milczeniem jej uwagę.

– Czyli zaglądałaś do zdjęć.

– Naprawdę, prawie nic nie zobaczyłam. Były w kopercie, osobno. Dałam ją rano Ninie, po tym, jak znaleźliśmy ciotkę i Tadeusza, przed śniadaniem. Nina je wzięła, zanim zdążyłam zerknąć. Wcześniej, wierz mi, nie miałam powodu zaglądać do tej właśnie teczki. Bardzo mi żal Niny.

Ojciec Aleksander popatrzył uważnie na kuzynkę. Znali się czterdzieści lat i przez ten czas raczej on wykazywał się większą empatią. Było jej żal Niny? Czy miała w tym swój interes? Wiedziała przecież, że zawartość teczek może wyjaśnić motywy dwóch morderstw.

– Patrzysz na mnie, jakbyś mnie podejrzewał Bóg wie o co.

– Zaraz Bóg. Nie wzywaj nadaremno. Dobrze wiesz, że twoja opowieść brzmi mało wiarygodnie. Pozwoliłaś zabrać Ninie fotografie, choć mogły być ważnym dowodem,

a przynajmniej wskazówką, kto zabił Tadeusza, a może także ciotkę. Sama niby do teczki kuzyna nie zajrzałaś. Kiedy powiedziałem to głośno, widzę jeszcze wyraźniej, że coś ukrywasz albo postanowiłaś udawać sentymentalną kobietkę, którą każdy zdoła oszukać.

Kuzynka siedziała w różowym fotelu i przygryzała wargi. Dodał:

– Użyła sformułowania „nie brukać pamięci”? Wybacz, ale takim językiem posługują się twoje bohaterki, a nie Nina. Ona jest rozsądna. Pozbawiona sentymentów.

Urszula zirytowała się, ale w jej głosie zabrzmiał obronny ton.

– Ktoś zabił Tadeusza! Ona go kochała! Miała się wysławiać jak księgowy z fabryki zapalek? Gdyby zabili ci... zresztą nieważne. Boże, od dwóch dni jestem bardzo niezręczna. Albo coś głupiego wygaduję, albo robię... Przepraszam. Tu panuje duszna atmosfera. Może przez bliskość granicy albo przez to, że nie możemy stąd wyjść. I rok się kończy.

– Tak, Tadeusz też powiedział, że będzie duszna atmosfera i może się pozabijamy. Należałoby mu pogratulować intuicji.

– Ależ ty jesteś cyniczny! Wyrzucą cię z zakonu, jak tak dalej pójdzie. Będziesz musiał wrócić...

– Za gorsze rzeczy nie wyrzucali – przerwał jej Herbst i zaraz dodał: – Nie zdziwiło cię, że Nina przysłała właśnie do ciebie? Nie zamknęła się u siebie, żeby się wypłakać. Nie poszła do Wandy, która jest jej ciotką. Ani do mnie. Wszak ludzie wierzą, że duchowni potrafią pocieszyć człowieka w nieszczęściu. – Uśmiechnął się lekko. – Nawet ci cyniczni.

– W pierwszej chwili się zdziwiłam. Zapytała, czy wiem o Tadeuszu coś, czego nikt inny nie wie. Zaskoczyło mnie jej pytanie, oczywiście. Ale pomyślałam, że przecież...

Urwała w pół słowa.

– Jeśli naprawdę ukrywasz coś ważnego, powiedz – nakazał stanowczo zakonnik. – Nie chcesz zwierzyć się mnie, powiedz policji. W końcu przyjadą. Śnieg nie będzie wiecznie padał, wyjdziemy stąd i co wtedy? Zamierzasz dalej kłamać?

– Nie kłamię. Nie mówię tylko... wszystkiego.

– Taki infantylny tok myślenia do ciebie nie pasuje. Sądzisz, że policjanci to idioci? Sądzisz, że ja jestem idiotą?

Urszula zrobiła sceptyczną minę. Nie odpowiedziała. Herbst stwierdził, powoli dobierając słowa:

– Z pewnością zdarzają się policjanci idioci. Ale podkomisarz Nowak...

– Ten wąsaty? Wygląda na niezbyt roztropnego.

– A jest bardzo roztropny, zaufaj mi.

– Oczywiście, wy zakonnicy każdego przejrzyście na wskroś...

– Nie widzę ludzi na wskroś. Ale wiem, że nie wysyła się idiotów do pracy na granicy polsko-niemieckiej. Jest jeszcze jedna sprawa, o której powiem wam... chyba przy kolacji, bo na obiad zrobiło się za późno. Niezależnie od wszystkiego, jeżeli nawet podkomisarz Nowak jest wąsatym idiotą, to przecież ktoś zabił baronową. Ona rządziła całą okolicą. Za punkt honoru postawię sobie znalezienie mordercy. Łudziłaś się, że machną ręką i puszczą nas do domu? Że spokojnie wrócisz na swój Żoliborz? Nie, będą szukać dopóty, dopóki nie znajdą winowajcy.

– Co mam więc zrobić?

– Obiecuję, że powiesz wszystko, co wiesz, policji. Również wstydlive rzeczy.

Milczała. Postanowił nie dawać za wygraną.

– Nie utrzymywałyście z Niną serdecznych stosunków. Widziałyście się ostatnio chyba z dziesięć lat temu, prawda?

– Nie.

Zakonnik obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Nie chciał podejrzewać Urszuli o coś złego. Nikogo nie chciał. Ale nikogo poza nimi tutaj nie ma. Zabił ktoś z rodziny. Przecież nikt sam siebie nie dusi paskiem.

Urszula wstała i podeszła do okna. Stała tyłem.

– Chyba przestaje padać – stwierdziła.

Ojciec Aleksander posiadał cenny talent do cierpliwego czekania i słuchania. Dlatego patrzył spokojnie na plecy kuzynki w obramowaniu różowej zasłony. Od tyłu Urszula wyglądała jak młoda dziewczyna. Twarz również miała wciąż młodą i świeżą, choć jej życie do najłatwiejszych nie należało. A teraz chyba skomplikowała je sobie jeszcze bardziej.

– Ja nie mam motywu. To byłoby bez sensu, gdybym zabiła ciotkę i Tadeusza.

Odwróciła się i znów usiadła.

– Dlaczego więc Nina do ciebie przyszła po śmierci Tadeusza? Uznała cię za przyjaciółkę? Kiedy widziałyście się ostatnio, przed przyjazdem do Janowca?

– W listopadzie.

– Na peronie udawałaś, że dawno się nie widziałyście.

– Żeby nie denerwować Tadeusza. Miał do mnie pretensje. Ponoć dziwnie się zachowywał, jak napisała mi w telegramie Nina. Poprosiła, żebym przyjechała, ale miałam udawać, że naszego poprzedniego spotkania nie było. Gdyby mnie nie poprosiła, nigdy bym tutaj nie przyjechała. Leśna głusza zamiast sylwestra w Zakopanem? Napisała też, że lepiej go nie drażnić. On i tak chorował.

Ojciec Aleksander pokiwał głową. Nie dlatego, że coś zrozumiał. Raczej dlatego, że teraz nie rozumiał już nic.

– Rozumiem, że chodzi o zaburzenia psychiczne? Już w pociągu doszedłem do wniosku, że z ambasady go wyrzucili, sam się nie zwolnił. Ale wciąż nic nie rozumiem. Miałem chyba zbyt wysokie mniemanie o swojej inteligencji. Myślałem, że wszystko wiem, a przynajmniej to najważniejsze. Dlaczego Tadeusza miałyby drażnić, że się widujecie?

Urszula westchnęła i zaczęła bawić się frędzlem różowego obrusa.

– Nina zaciągnęła u mnie dług. Dość wysoki. Wszyscy się zachwycali, że ciężko pracuje i bohatersko spłaca długi ojca... Rzeczywiście ciężko pracowała i spłacała, ale pojawiły się nowe okoliczności. Potrzebowała więcej pieniędzy.

– Na co?

Przez chwilę panowała cisza.

– Nie wiem. Nie pytałam.

– Pożyczyłaś bez słowa? Żadnych pytań, wątpliwości? Nie wierzę ci. Pamiętam twoją matkę. Jej córka nie pożyczaby nikomu pieniędzy, nie zapytawszy o powód. Nawet papieżowi.

– Przecież wiesz. Ta rodzina ma hazard we krwi. Nina chciała spłacić dług jak

najszybciej... Na Kraszewskiego w Poznaniu jest kasyno wojskowe...

– Wiem – powiedział Herbst z rezygnacją. Domyślał się dalszego ciągu.

– Ktoś ją zapewnił, że zna system... taki, który zawsze wygrywa. Ileś tam razy czarne, ileś czerwone... Ale system nie zadziałał. Dług w kasynie to nie jest dług bankowy. Odsetki są – powiedzmy – inaczej naliczane. I brutalniej je egzekwują. Nina nie nadała ze spłatą. Najpierw sześć tysięcy. Potem zrobiło się jedenaście. Bała się. Ona jest biedna, nie miała żadnego oparcia. Popatrz, nawet Robert narobił długów i uciekł do Gdańska. A przecież pochodzi z szanowanej rodziny.

– Jego rodzice spłacili wszystko co do grosza.

– Za Ninę nie miał kto spłacać. Przecież nie jej schorowana matka.

Herbst wziął głęboki oddech. Gdzieś z tyłu głowy zaczęła kiełkować złość. Na ludzką głupotę i naiwność.

– Rozumiem, pożyczylaś jej pieniądze. Przegrała. Ale nie wyobrażam sobie, że Nina idzie do kasyna i sama obstawia.

– To sobie wyobraź. Pomagał jej Tadeusz.

– Obstawiał za nią? Doskonale się dobrali – zirytował się ojciec Herbst. – Co za idiotyczna historia! I co za głupie dzieciaki! Skoro taki zakochany, nie mógł jej tych pieniędzy po prostu podarować?

Urszula spojrzała na niego zmęczonym wzrokiem.

– Nie unosi się tak. Podobno nie miał. Albo miał za mało. Ale mnie obwinił, że pożyczylaś jej na kasyno, a nie na spłatę. Uznał, że przeze mnie obudziła się w niej krew ojca... Tak mi napisał w liście, wyobraź sobie. Nielogiczne, skoro sam grał. Pewnie, ale chciał wzbudzić we mnie poczucie winy. Udało mu się znakomicie. Mam wyrzuty sumienia. Usiądź, nie denerwuj się!

– Byłem spokojny dwa dni, a teraz czuję, że mnie chrześcijańska cnota cierpliwości opuściła! Na amen!

Chodził długimi krokami po różowym dywanie. Na tle pasteli oświetlanych przez płomień świec wyglądał jak długa czarna zjawa.

– Opanuj nerwy. Nie lubię ludzi, którzy dostają napadów szału. Masz jakieś dziwne rumieńce. Przypominam, że twój ojciec...

– Przepraszam. Już jestem spokojny. Nie zejdem na apopleksję jak tata. Nie martw się. Jestem w doskonałej formie – zapewnił ojciec Aleksander, oddychając głęboko.

Urszula przypatrywała mu się krytycznie.

– Teraz, z perspektywy czasu, widzę, że należało zrobić kwestę po rodzinie. Natychmiast, gdy dowiedzieliśmy się o długach... Bylibyśmy w stanie pomóc.

– Dałem jej półtora tysiąca.

– Ja więcej. Gdybyśmy jednak pomogli od razu, osiem lat temu, dałoby się problem inaczej rozwiązać. Teraz chodzi podobno o zawrotne sumy...

Herbst opadł na fotel.

– Masz rację, oczywiście. Nikt tu z nas nie jest bez winy. Każdy zajął się własnymi sprawami... Zaraz, Urszulo, przecież Nina powiedziała, że w końcu dług spłaciła.

– Kłamała. Co w tym dziwnego?

– Ciotka przecież potwierdziła. Przy kolacji. Pamiętasz? Oznajmiła, że Nina przeznaczyła

najlepsze lata swojego życia na spłatę cudzych długów... i pewnie teraz oczekuje nagrody. Pewnie więc wygrała w końcu tyle, żeby spłacić. Przecież czasami jednak się wygrywa. Ale w takim razie Tadeusz nie powinien mieć pretensji, tylko cieszyć się, że długu nie ma. To znaczy, że został tylko ten wobec nas. Jednak ja nie oczekiwałem zwrotu. Ty pewnie też.

Patrzyli na siebie zdeorientowani.

– Teczka.

Chrzest, świadectwo szkolne... nic ciekawego. Fotografie ojca i matki. Urszula zapatrzyła się na zdjęcie młodej pary z plaży nad Wartą. Zakochani trzymali razem za ręce dwuletnią dziewczynkę, podobną do ojca. Uwagę jednak przykuwała blondynka o wielkich jasnych oczach.

– Już zapomniałam, jaka Stefania była piękna.

– Była. Nie wstaje z łóżka już czwarty rok.

Urszula wyjęła papierosa.

– Przecież ty nie palisz... a już z pewnością nie warszawskie, dobry Boże... – zaczął Herbst, ale nie skończył, bo kuzynka zniecierpliwiona machnęła ręką. I wyciągnęła spod fotela popielniczkę. Różową.

– Źle to rozegraliśmy – powiedziała.

– Wanda ma rację. Powinniśmy się wspierać, w końcu jesteśmy rodziną. Dobrze, to zajrzyjmy do pozostałych dokumentów.

Na teczkę Niny przeznaczili jeszcze pół godziny. Świadectwa, dokumenty z pracy, recepty dla matki. Nie znaleźli jednak nic, co mogłoby wyjaśnić, skąd wzięła pieniądze.

– Czyżby rzeczywiście w końcu wygrała? Źle szukamy – doszedł do wniosku zakonnik. – Może coś będzie u Tadeusza? Proponuję od końca.

Ostatnia była fotografia przedstawiająca Ninę i Tadeusza w poznańskim parku Sołackim. Zrobiona z pewnością z ukrycia, bo Tadeusz patrzył w bok, a jego partnerka poprawiała sobie makijaż, wpatrując się w lusterko.

– Skąd ciotka wytrasnęła jakiegoś agenta, który biegał za nimi i z krzaków robił zdjęcia? – zastanawiała się na głos Urszula.

– Dlaczego powiedziałaś „agenta”?

– Nie wiem... dobrze brzmi.

Ojciec Aleksander popatrzył na nią z uwielbieniem. Jego kuzynka była jednak genialna.

– To prawda, że boska mądrość objawia się w kobietach o wiele czytelniej niż w mężczyznach.

Urszula odłożyła papierosa do popielniczki.

– Mhm, oczywiście, zgadzam się, ale mógłbyś konkretniej?

– Wszystko ci powiem, cierpliwości. Muszę chwilę pomyśleć. Nie wiem, kto zabił, ale odkryłem coś innego, bardzo ważnego.

– Poczekam. Bo ja nie mam wątpliwości, kto zabił. Daj spokój Ninie. Wplątała się w jakieś hazardowe historie, ale żeby kogoś zabić, trzeba mieć zimną krew. I umieć grać. To Robert i Helena.

Ojciec Aleksander nie skomentował tej hipotezy.

– Śnieg już prawie nie pada – powiedział jakby do siebie. – Może przyjedzie mecenas albo chociaż policja?

Herbst wyciągnął fajkę.

– Skoro ty palisz, to i ja sobie pozwolę. Chociaż to perwersja palić w panieńskim różowym pokoju. – Mrugnął do niej żartobliwie. – Ostatnio zdarzyło mi się coś podobnego między powstaniem a wojną z bolszewikami.

Zapalił i zmienił ton na bardziej poważny.

– A teraz powiedz, dlaczego to oni?

– Prawie nic o nich nie wiemy. O Robercie też, nie tylko o Helenie. Do jego teczki zajrzałam – przyznaję. Popatrz. On jest obiektywnie podejrzany – słowo „obiektywnie” zaakcentowała. – Całe życie kręcił, kłamał, oszukiwał.

Podawała Aleksandrowi teczkę. Zakonnik przejrzał obojętnie świadectwa i zaświadczenia.

– Ale zawsze był przystojny – zawyrokował nieoczekiwanie. – Zobacz, zdjęcie z indeksu... Trzeba mu oddać... Nie lubisz przystojnych mężczyzn? Mnie lubisz, więc konkluzje są łatwe do... O, to ciekawe. „Za długi syna naszego nie odpowiadamy”... Pamiętam, w „Kurierze” ukazał się ten anons. I nic, od dwóch lat żadnej informacji. Wiemy, że był w Gdańsku. Dalej go nie śledzono? Może ciotce nie chciało się już inwestować w agenta? Była bogata, ale uznała, że to wyrzucanie pieniędzy w błoto, ponieważ Robert nie jest wart zachodu.

Urszula pokręciła głową.

– Ja myślę, że ciotka dowiedziała się o nich czegoś złego. I wystraszyła się.

– A może odwrotnie, dowiedziała się czegoś dobrego. I dała sobie spokój ze śledzeniem ich. To też przecież możliwe.

Kuzynka znowu zaciągnęła się papierosem.

– Bawisz się w spekulacje umysłowe? Nudzisz się w klasztorze, to widać. Ciebie chyba nie obchodzi, kto zabił. Wymyślasz jakieś kombinacje i chciałbyś, żeby najdziwniejsza okazała się prawdziwa. Dobrze, zdradzę ci tajemnicę.

Zniżyła głos do szeptu.

– Robert wraz z Heleną udali się nie docelowo do Gdańska, ale statkiem przez Gdańsk do Indii. Po wielu przygodach dotarli do małej wioski. Tam oddali się pielęgnowaniu chorych na trąd. A teraz nas wszystkich zarażą i będziemy pierwszymi w historii ofiarami trądu pod Zbąszyniem. Nie musimy więc się martwić, kto zabił i czy nas także zabije. W tej chwili jest to kwestia drugorzędna. Przygotujmy się lepiej na spotkanie z Panem.

– Ostatnia kwestia jest aktualna w każdych okolicznościach – odparł równie poważnie. Oboje się zaśmiali. – Pokaż jeszcze teczkę Ignacego – poprosił Herbst.

Przeglądali ją razem przez chwilę. Świadectwa, pochwały, dyplomy oraz depesza z informacją o odwołaniu ślubu Ignacego z panną Alicją Wojtaszyk.

– Biedny Ignacy. Niektórzy ludzie są dobrzy, ale... cóż powiedzieć, nawet jego teczka jest najnudniejsza – westchnął zakonnik.

Zamknął ją i wstał z fotela.

– Razem zmywaliśmy, razem oddawaliśmy się nałogowi, to teraz razem idziemy szykować obiad. – Spojrzał na zegarek. – Lub raczej kolację. Sylwestrową. Czytałem w pociągu broszurę *Równouprawienie w kuchni i zagrodzie*. Drugi człon wydaje się trudny do realizacji w tych okolicznościach, ale pierwszy postulat uznaję za słuszny. Ja gotuję.

Helena siedziała sama w pokoju. Rozmowa z Niną ją zirytowała. Kwiatkowska nie rozumiała sytuacji. Nie była to niestety osoba, której można powierzyć sprawy wysokiej wagi. W gruncie rzeczy nie należało jej powierzać niczego: informacji, pieniędzy, cudzych uczuć ani nawet błahych problemów.

Żeby zirytować Helenę, trzeba było bardzo się postarać. W jej pracy spokój i opanowanie stanowiły najważniejsze z cnót. Tak, była w tym doskonała. Potrafiła panować nawet nad własnymi myślami, tak aby nie odbijały się w oczach ani drżeniu rąk. Jedynie ktoś naprawdę przenikliwy mógl to zauważyć. Ale Helena nie spodziewała się spotkać tutaj nikogo przenikliwego.

Usłyszawszy pukanie, przybrała najmiłszy ze swoich uśmiechów. Wcale jej nie zdziwiło, że za drzwiami stał ten klecha, krytyk filmowy i pseudodetektyw w jednej osobie. Nie cierpiała zarozumiałych dyletantów. Na każdy temat się wymądrzają, a gdy przychodzi co do czego...

– Ojciec do mnie? Zapraszam, Roberta niestety nie ma. Poszedł chyba do biblioteki.

Dobry Boże, że też do wszystkich trzeba się wdzięczyc. Łagodny trzepot rzęs. Uspokoić irytację, bo wypełźnie na twarz.

– Tak. Chciałem porozmawiać właśnie z panią.

Uśmiechnęła się raz jeszcze. Wiedziała, że zwłaszcza duchowny doceni ten uśmiech. Cholerna renesansowa Madonna. „Właśnie z panią”, jakby chciał ją wystraszyć sugestią, że odkrył coś niezwykłego. A potem zaskoczyć dziwnym pytaniem, po którym ona przyzna się do wszystkiego i zaszlocha ze skruchą. Tak, ciotka miała rację, księża to tani efekciarze. Zakonnicy też. Proszę, odwzajemnił uśmiech nieśmiało, jakby go słońce oślepiło. Czyli jednak nie jest aż taki zarozumiały.

– Proszę usiąść. Dominuje tutaj, jak ojciec widzi, styl kaszubski wzbogacony o meble z Hanzy.

– Dostrzegam też subtelny wpływ fin de siècle’u.

Wskazał obraz, na którym rudowłosa kobieta wykonywała dość wulgarny, ale i zachęcający gest.

– Owszem, to pewien zgrzyt.

Znów się uśmiechnął. Ale tym razem chyba nie do niej, lecz z niej. Tak, to z niej się śmiał.

– Nie tyle zgrzyt, ile reprodukcja.

– To Salome, niekonwencjonalnie przedstawiona, ale można ją rozpoznać – wyjaśnił, widząc jej pytające spojrzenie. – Była w modzie na przełomie wieków. Kobieta występna i fascynująca. Ja tę modę pamiętam, pani jest natomiast za młoda.

– Nie rozpoznałam – powiedziała przepraszająco. – Ale postać oczywiście znam. Zmylił mnie brak głowy Jana Chrzciciela.

– Cóż, dla malarzy sam Jan Chrzciciel nie jest interesujący mniej więcej od stulecia. Z głową lub bez. Ale Salome owszem. Piękne, występne kobiety mają chyba swój najlepszy czas.

Zalała ją fala ciepła. Panika? Nie, nie podda się. Helena zachowywała zimną krew w sytuacjach zagrożenia życia, a tutaj byle rozważania o malarstwie miałyby wytrącić ją z równowagi?

– Zawsze podziwiałam wszechstronnych mężczyzn – poinformowała, trzepocząc rękami. Wkroczyła na swoją ulubioną ścieżkę. Każdy daje się na to złapać.

– A kobiety?

– Kobiety oczywiście też podziwiam – dodała skwapliwie.

– Bo ja, muszę przyznać, kobiety obdarzone wiedzą podziwiam bardziej. Im trudniej ją zdobyć. Nie chodzi oczywiście o różnice biologiczne, bo już wielokrotnie się przekonałem, że kobiety bywają od mężczyzn bystrzejsze. Dostrzegam to zwłaszcza przy spowiedzi. Rzecz tkwi raczej w pewnych ograniczeniach społecznych i ekonomicznych.

– Jest ojciec zwolennikiem równego statusu kobiet i mężczyzn?

– Oczywiście. Skoro Chrystus był, to dlaczego ja miałbym być przeciwko?

Nie miała już wątpliwości. Obezwładniała ją panika. Po głowie przelatywały szalone myśli. Dobry Boże, o czym my tu rozmawiamy? Najwłaściwiej byłoby go zastrzelić. Narobi kłopotów i będzie wpadka, gorsza niż w zeszłym roku.

– Zdaje się, że nauka Kościoła postrzega to nieco inaczej, kobieta ma być podległa mężowi.

– To nie jest dogmat. Tylko o dogmaty nie można się spierać. Reszta to kwestia interpretacji. Moim zdaniem źle się dzieje, jeśli kobieta, która pragnie być równa mężczyźnie, sięga po niskie środki. Dlatego pod względem prawnym nie powinno być żadnych różnic między płciami.

Helena milczała.

– Co ciekawe, do takich wniosków doszedłem w męskim klasztorze.

Znów zaczął się śmiać. To był nawet miły śmiech, pozbawiony złośliwości. Ale Helena już wiedziała, że musi mieć się na baczności. Popełniła wcześniej błąd w rozumowaniu. Cóż, bywa. Nie doceniła przeciwnika. Ale jeszcze tylko kilka godzin. Przyjadą i wszystko się skończy. Wytrzyma. Nie takie rzeczy wytrzymała.

Nie ma więc sensu przeciągać.

Tak, nie ma sensu.

– Chciał ojciec porozmawiać ze mną o historii sztuki oraz kwestii kobiecej? – zapytała oficjalnym tonem.

Przestał się śmiać i usiadł bardziej wyprostowany.

– Przepraszam, mam kilka ulubionych tematów i prawie zawsze staram się tak poprowadzić konwersację, by pochwalić się wiedzą. Albo poglądami. Bo podobno postępowe. Co do malarstwa, to skończyłem historię sztuki i zbyt rzadko mam okazję o tym porozmawiać.

– O, myślałam, że matematykę – zdziwiła się grzecznie. – Robert mówił. Że jest ojciec matematykiem.

– Historię sztuki również. Matematykę pamiętają wszyscy i budzi to znacznie większy szacunek. Sam nie wiem dlaczego. Historii sztuki trzeba się nauczyć. Matematyka jest prosta, jeśli ma się do niej zamiłowanie. Wystarczy połączyć fakty i uruchomić wyobraźnię.

Tego już było za wiele.

– A ojciec lubi łączyć fakty, prawda? – powiedziała Helena przez zaciśnięte zęby.

– Pasjami – przyznał z uśmiechem. – Pasjami, droga pani Heleno. Teraz, skoro zarówno

pani, jak i ja połączyliśmy nasze fakty, porozmawiamy nieco inaczej. I wolałbym to zrobić przed przyjściem pani małżonka.

Ignacy leżał na łóżku przykrytym skórą owcy i myślał. Miał dziwne poczucie, że dokonuje podsumowania swojego życia. A bilans nie wychodził mu satysfakcjonujący.

Nie jest dobrze być mężczyzną ambitnym. Teraz to wiedział, ale oczywiście zdecydowanie za późno. Najlepiej byłoby zostać tam, gdzie losy postanowiły go rzucić. Pójść ścieżką rodziców – wcale przecież nie taką najgorszą. Ojciec miał sklep, drogerię. Ignacy mógł ten sklep odziedziczyć i spokojnie sprzedawać jakieś mazidła dla kobiet i płyny do sztucznych szczęk.

Tymczasem każda ambicja, którą udało mu się zaspokoić, sprowadzała na niego nowe kłopoty i niepokoje. Skończył najlepsze gimnazjum w Poznaniu, zamiast pójść do takiego, w którym nie czułby się jak wyrzutek społeczny. Koledzy go nie lubili. Początkowo sądził, że to z powodu ubóstwa i pracowitości. Oczywiście biedny był tylko jak na warunki szkoły, którą wybrał. W innej czułby się jak krezus. Ale do takiej nie chciał iść.

Był więc niezamożny, pracowity i nielubiany. Na początku lubił myśleć, że nienawidzą go za zalety, i nawet tym się szczycił. Wybitny przybysz z prowincji, który zawstydził wielkomijskich paniczek. Z czasem jednak zauważył, że takich osób jest więcej. Prowincjuszy. Było nawet dwóch chłopskich synów mówiących dziwną mieszaniną gwary wielkopolskiej i polszczyzny z Sienkiewicza, która wydawała się im wielce elegancka i światowa. Ale to jego nie lubili siostrzeńcy biskupa i synowie fabrykantów. Przez ambicję, zawziętą i nerwową. Mógłby być tylko pracowity. Albo tylko biedny. Osobno. Połączenie tych dwóch cech czyniło go pariasem.

Skończył gimnazjum z medalem, przytłoczony niechęcią zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Dlaczego nie lubili go również profesorowie? Był przecież najlepszym uczniem w szkole. Powinni go podziwiać, szanować, stawiać za przykład. Ale nie, ze strony kadry także napotkał na zimną uprzejmość wymieszaną z pogardą. Słyszał za plecami: „Tak, Neumann, ten to się uczy”. I potwierdzenie: „No tak, uczy się, uczy”. Jakby robił coś wstydlivego, o czym lepiej milczeć.

Na medycynie jemu podobnych było więcej, poczuł się więc nieco lepiej. Ale nikt nie szukał z nim przyjaźni. Chcieli tylko skończyć studia z najwyższymi notami i szybko wkroczyć na drogę kariery. Dwa razy ktoś pożyczył od niego notatki. Nic więcej.

To samo dotyczyło się kobiet. Początkowo myślał, że nie lubią go za brak urody. Ale nie był przecież najgorszy – kobiety wychodziły i za brzydszych, i za głupszych, i za biedniejszych. A za Ignacego nie. Je również odstręczała ta ambitna nerwowość. Gdy dostał świetną posadę w szpitalu, ewentualne kandydatki były w tak ostentacyjny sposób zainteresowane jego pozycją społeczną, że sam szybko się wycofywał. A jedyna osoba, której się oświadczył i został przyjęty, podczas wakacji w Zakopanem porzuciła go dla biednego górala.

Teraz kobieta zwróciła na niego uwagę. Prawdopodobnie to była przyczyna, dla której zrobił coś, na co w innych okolicznościach nigdy by się nie poważył.

Siedział w tym pokoju udręczony poczuciem, że wszystko, cała pracowitość, cała ambicja, wszystko to poszło na marne. Sam sobie upłócił sznur. Proszę, nawet wyszedł mu

dowcip, jak rzadko.

Pukanie. Spodziewał się każdego, ale nie Basi.

– Dzień dobry. Przyszłam poprosić, żeby się pan nie martwił.

Patrzył na nią zaskoczony. Nigdy nie potrafił rozmawiać z dziewczynkami w tym wieku. Ze starszymi też nie, ale z podlotkami szczególnie.

– Dobrze, Basiu, dziękuję. Nie będę się już martwił.

– Ach – powiedziała. – Wyraźnie widać, że to nie na pana nerwy.

Ignacy się zmytygował.

– Może wejdiesz? Zdaje się, że trochę za głośno...

Dziewczynka popatrzyła na niego z ogromną powagą. Co musiało oznaczać, że sobie kpi.

– Nie wypada. Nie jesteśmy spokrewnieni, a ja mam prawie czternaście lat. Jak to mogłoby wyglądać? Moja mama jest nowoczesna, ale bez przesady.

– Oczywiście, stokrotnie cię przepraszam za taką sugestią. Hm – odchrząknął. – Zatem obiecuję, że nie będę więcej się martwił. Dziękuję ci za troskę.

– Ależ nie ma za co. Lubię pocieszać ludzi. Pan zaś budzi moją szczerą sympatię. Proszę pamiętać, że to nie musi się skończyć całkiem źle. Musi pan tylko powiedzieć, że został oszukany. Prawie każdy dałby się nabrać. Prawie każdy mężczyzna, mówiąc precyzyjnie. Kobiety są jednak bardziej spostrzegawcze – powiadomiwszy go, odwróciła się na pięcie i czmychnęła.

Basia zdecydowała, że usiądzie w bibliotece i poczeka. Niebawem sprawy się wyjaśnią. Czekała to.

Jej własny pokój, urządzony chyba według podręcznika dla nowoczesnych pań, wyjątkowo ją drażnił. Najgorsze były drażki do ćwiczeń i ciężarki, identyczne jak w domu. Basia lubiła wysiłek fizyczny, ale taki z sensem. Pływanie do końca basenu i z powrotem albo skłony góra-dół uznawała za stworzone dla ludzi pozbawionych fantazji. Co innego narty. Te porzucone pod pałacem wyglądały zachęcająco. Chwilowo jednak nic nie wskazywało, żeby można je wykorzystać. Trzeba czekać. Biblioteka wydawała się do tego najbardziej odpowiednia.

Basia dobrze się czuła wśród książek. Sama, ale nie samotna. W przytulnej bibliotece, wśród grubych tomów oświetlonych blaskiem kominka i świec, jakoś lżej się oddychało. Rozejrzała się zadowolona po pomieszczeniu.

Musiała ciotce przyznać, że choć złośliwa i pozbawiona dobrego smaku w kwestii wystroju wnętrz, baronowa książki kupowała ciekawe. Miała na przykład egzemplarz *Mein Kampf* oraz podręcznik, który prawdopodobnie służył do szybkiego odróżniania Aryjczyków od nie-Aryjczyków. Basia nie znała niemieckiego, więc przeglądała jedynie ilustracje. Wynikało z nich, że prawdziwi Aryjczycy chodzą w samych majtkach, aby otoczenie mogło podziwiać ich doskonałą sylwetkę.

Basia wpatrywała się w ilustrację przedstawiającą ideał Aryjczyka w wieku około dwudziestu lat. Blondwłosa młodzieniec odwzajemnił jej spojrzenie w taki sposób, że poczuła się godna pogardy, choć przecież sama też była jasnooka i blondwłosa. Potem spojrzała na portretową fotografię Hitlera zdobiącą *Mein Kampf*. Hm.

Zasiadła na szeszlunku, przeciągnęła się, a w końcu z tej samej półki wzięła *Szkice*

o nierówności ras ludzkich Gobineau. Nie rozumiała wiele, ale przynajmniej książka była po francusku.

– Co czytasz?

Na progu biblioteki stała Nina.

– Mogę z tobą posiedzieć?

Basia skinęła głową, a Nina usiadła obok niej na szeszlunku.

– Przyszłam sprawdzić, czy znajdę tutaj jakąś ciekawą lekturę. Co czytasz?

Basia podała jej książkę.

– To chyba nadaje się do ćwiczenia francuskiego, ale ty niekoniecznie powinnaś się interesować zagadnieniami dotyczącymi rasy.

Kwiatkowska patrzyła z troską, co dla osoby trzynastoletniej (prawie czternastoletniej!) musiało być irytujące.

– Oczywiście, bo pewnie nic nie rozumiem?

– Nie o to chodziło. Możesz dużo zrozumieć.

Przez chwilę Nina patrzyła na wszechobecną biel za oknem. Wiatr ustał.

– Wiesz, Basiu, najbardziej na świecie nie lubię pogardy. Staram się sama nie gardzić i nie lubię, gdy ktoś gardzi mną.

– Ja też nie lubię. Ale osoby w moim wieku zwykle gardzą innymi. Nie mogą się powstrzymać.

Nina uśmiechnęła się do niej.

– Podobnie jak osoby w mojej sytuacji.

Basia otworzyła szeroko oczy, z pytającym wyrazem twarzy.

– Nie powiem, że jesteś za mała, żeby zrozumieć. Wyjaśnię zatem ogólnie: z was wszystkich ja jestem tu najbiedniejsza. Nawet ojciec Aleksander, chociaż w zakonie, wywodzi się z zamożnej rodziny i ma pieniądze. Możesz powiedzieć, że liczy się dobre serce, wykształcenie... Zapewne, ale najlepiej być przy tym zamożnym. Staraj się, Basiu. Nie gardź biednymi, ale sama biedna nie bądź. Żadna to cnota.

– Wielu ojców Kościoła by się z tobą nie zgodziło, Nino. A ubóstwo ma swoje zalety – orzekł ojciec Aleksander, stając w progu biblioteki.

– Znakomita większość ojców Kościoła była bogata. Ubóstwo może mieć zalety, ale nędza nie ma żadnych – oznajmiła Nina. Podeszła do jednego z regałów, obrzuciła jedną z półek szybkim spojrzeniem i usiadła z powrotem w fotelu.

Basia opuściła nogi z szeszlunku.

– A jak ojcowie Kościoła zapatrują się na podsłuchiwanie? Ktoś z takim długim, charakterystycznym cieniem powinien zachować ostrożność, stając przy drzwiach. Od dwóch minut już ojca widzę – obwieściła, wpatrując się wesoło w zakonnik.

Ojciec Herbst skłonił się z szacunkiem.

– Spozrzegawczość twoja, o pani, budzi mój zachwyt. W nagrodę proponuję udać się do kuchni. Zaproszenie wystosowała twoja mama. Szykujemy posiłek. Obiad lub kolację, zobaczymy, jak pójdzie nam z czasem. Nino, na ciebie też liczymy. Potem zamierzamy coś ciekawego wam pokazać. Macie świadomość, że dziś sylwester? Musimy zrobić coś dobrego. Mnie taka okazja może się już nie trafić.

- A co robicie w sylwestra w klasztorze? – zapytała Basia.
- Modlimy się. Całą noc. W intencji nowego roku. Ale są takie klasztory, gdzie bracia kładą się spać o zwykłej porze.
- Straszne! Nie był ojciec nigdy na balu sylwestrowym?
- Ależ byłem, wielokrotnie. Nikt nie rodzi się jako zakonnik, Basiu. Moim zdaniem jednakże bale są przeceniane.
- Niemożliwe! Wszyscy mówią, że to wspaniała rzecz. Ja się wybieram za dwa lata. A potem przez następne dziesięć.
- A potem? – zapytał Herbst.
- Nie planuję tak daleko. Będę dość stara, więc może znudzona balami zajmę się czymś, co robią ludzie starsi.

Ojciec Herbst zachował kamienną twarz, ale widoczne w oczach rozbawienie nie umknęło uwadze Basi, która w odpowiedzi wyduła usta.

- Och, wiem, dwadzieścia pięć lat obiektywnie nie oznacza starości. Ale subiektywnie uważam też, że to już nie pierwsza młodość.
- Zgadzam się z przedmówczynią. – Zakonnik pokiwał głową.
- Rok 1939 nie będzie dobry, więc modlitwy niczego nie zmienią. – Nina wstała, przerywając ich przekomarzenia.

Basia popatrzyła z powagą na Herbsta.

- Bądźmy dobrej myśli. Nie ma sensu straszyć się nawzajem. Będą bale. Zawsze są jakieś bale – powiedział zakonnik.
- Nie będzie źle. Będzie gorzej – dorzuciła z goryczą Nina już z korytarza. – Przebiorę się i zaraz przyjdę do kuchni.
- Mógłbym zajrzeć do ciebie? Chciałbym porozmawiać na osobności.
- Proszę bardzo. Zapraszam za pięć minut.

Nina wcale się nie przebrała. Nadal była w tej samej szarej sukience do połowy łydki. To zdecydowanie nie był strój, w którym ktokolwiek wyglądałby dobrze, pomyślał Herbst. Przyszło mu też do głowy, że Nina zwyczajnie nie chce wyglądać dobrze.

– Jestem podejrzana? W bibliotece czułam na sobie badawczy wzrok ojca – powiedziała Nina, zapraszając go gestem do środka.

Pokój utrzymany był w różnych odcieniach bieli. Ściany kremowe, meble w kolorze, który Herbstowi kojarzył się ze szpitalem, dywan i obicia foteli zaś śnieżnobiałe. Wchodząc, czuł obawę, że coś wybrudzi albo zniszczy.

- Masz jakiś pomysł na...
- Proszę usiąść – przerwała mu. – Proponuję krzesła, foteli się boję. Już je trochę przybrudziłam. Na wyjaśnienie tego koloru nie trzeba pomysłu. To proste.

Niespodziewanie podciągnęła wysoko rękaw sukienki. Zaskoczony Herbst spojrzał na jej ramię.

- Bielactwo – wyjaśniła krótko. – Dlatego nie chodzę specjalnie... wydekoltowana.
- Zakonnik trochę się zawstydził swoich wcześniejszych rozważań. Rzeczywiście trudno o kobietę próżność w takiej sytuacji.
- Nina patrzyła na niego spokojnie.
- Proszę, niech ojciec zachowa mój sekret dla siebie. Nie jest to straszna choroba, nie

można się tym zarazić, ale...

– Rozumiem, przepraszam...

– Proszę się nie przejmować. I tak mi się poszczęściło, że nie widać na twarzy i dłoniach. Większość chorych ma problem właśnie z rękami. To nie z braku higieny, podkreślam. Wszystkich to brzydzi. Ale skoro jestem według ojca podejrzana, to chciałabym jak najwięcej wyjaśnić. Nawet ten kolor.

Herbsta przytłoczyło poczucie winy, jakby niesmaczny żart ciotki był także jego winą. Ninę jego milczenie chyba sprowokowało do dalszego mówienia.

– Tak, to jest aluzja do mojej choroby. Nie jakieś subtelne nawiązanie, na przykład biel jako kolor niewinności, tylko prymitywny dowcip. To jakby kalece ustawić w pokoju stół bez nóg... Wiem, że w oczach ojca ciotka była oryginalną, nieco złośliwą starszą panią. Ja natomiast widziałam w niej złego człowieka.

Milczała dłuższą chwilę.

– Ciekawi mnie, dlaczego jestem podejrzana? – zapytała. – I z jakiego powodu podsłuchiwał nas ojciec w bibliotece?

– Nie podsłuchiwałem, a słyszałem – zapewnił. – Chciałem się dowiedzieć, dlaczego Basia nie jest z mamą, natomiast jako jedyna snuje się i węszy po całym pałacu. Wydaje mi się, że dzieci w tragicznych chwilach odruchowo zwracają się w stronę matki. Choć Basia nie była silnie związana z baronową ani Tadeuszem... to jednak niezwykle wydarzenia. A ona je potraktowała jako zagadkę do rozwiązania.

– Nie ma ojciec pewności co do innych. Skąd wiadomo, że nie węszą? Za wszystkimi ojciec nie chodzi. Poza tym Basia nie dogaduje się najlepiej ze swoją mamą. Może więc nie tyle rozwiązuje zagadkę, ile nie chce być z Urszulą.

– Nie dziwi cię to? – zapytał.

– Urszula jest... chimeryczna. Nigdy nie wiadomo, co jej do głowy przyjdzie... Raz równouprawnienie i higieniczny tryb życia – biedna Basia musi trzy razy w tygodniu chodzić na pływalnię, chociaż nie lubi – a potem znowu te dziwne melodramaty. Ona jest taka... niestabilna.

Ojciec Aleksander popatrzył na Ninę z zainteresowaniem. Po co mu to wszystko mówi?

– Nie zgodzę się z baronową, że Urszula jest fałszywa. „Niestabilna” bardziej do niej pasuje. Tak, boję się, że ona jest lekko nieźrównoważona, a Basia może mieć ciężkie życie.

– Sugerujesz, że mogłaby...?

Nina wyprostowała się na krześle.

– Cóż, skoro mogła zabić kobieta... Najbardziej podejrzana wydaje się właśnie ona. Wysoka, wysportowana, silna. Ciotkę zabić byłby w stanie każdy z nas. Ale Tadeusza?

Herbst zastanawiał się, dlaczego Nina, zwykle spokojna i wręcz nieśmiała, sugeruje mu winę Urszuli. Kobiety, która podobno pożyczyła jej pieniądze na spłatę długów.

– Są różne sposoby. Nie trzeba rzucać się z gołymi rękami na ofiarę.

– Oboje zostali przecież uduszeni. Wiemy to.

– W gruncie rzeczy nie jestem pewien. Ignacy jedynie rzucił okiem. Nie zbadał gruntownie zwłok. Trzeba pamiętać, że i on mógł być zabójcą. Wtedy miałyby interes w tym, byśmy od razu uwierzyli w to, co chciałby nam zasugerować. Ignacy wydaje się wręcz wymarzoną zabójcą. W końcu wszyscy uważamy go za niezbyt rożgarniętego. I zauważ,

jak dziwnie się dziś zachowuje. Najdziwniej z nas wszystkich. Jakieś historie, krzyki, machanie widelcem...

Zdenerwowała się, ale zmieszanie przykryła uśmiechem.

– Przecież Ignacy naprawdę jest niezbyt... To dobry człowiek. Dlaczego miałby to zrobić?

– Dlaczego? Wszyscy jesteśmy podejrzani. I ja, i ty. Każdy. I wszyscy jesteśmy dobrymi ludźmi. Ty jesteś pracowita i opiekujesz się chorą matką, Wanda to urocza sentymentalna wdowa, pan Robert wkroczył na drogę cnoty i jest teraz porządnym urzędnikiem, jego żona to prawdopodobnie anioł. Ignacy leczy ludzi. Urszula tworzy piękne historie ku pokrzepieniu kobiecych serc, Basia to miłe i mądre dziecko. A ja, wiadomo, zakonnik z bohaterską przeszłością.

Uśmiechnął się kpiąco.

– Czyli sami dobrzy ludzie. I wśród nich morderca.

– No, tak... ale jesteśmy rodziną. Daleką, jednak jakieś więzi są... Nie potrafię myśleć o nas jako o mordercach.

– O Urszuli potrafiłaś. Wiem, że dała ci pieniądze. Wiesz, Nino, odzwyczaiłem się od płci pięknej... Z pewnością kobiece rozumowanie nie ustępuje męskiemu. Jednakże wybacz, niewielu mężczyzn pozwala się zaślepić emocjom, szczególnie zawiści i zazdrości, jak to się zdarza kobietom.

– Ja jestem zazdrosna o Urszulę? Zawistna?

– Nie wiem. Obiektywnie, jeśli miałabyś kogoś zazdrościć, to Helenie. Jest piękna, chyba dość zamożna. Robi ogromne wrażenie na otoczeniu, szczególnie mężczyznach. Tego można jej zazdrościć. Ale ty jej tylko nie lubisz. Zazdrość odczuwasz wobec znacznie starszej od siebie kobiety, rozwódki z dzieckiem... zamożnej, ale źródło jej dochodów jest, powiedzmy, moralnie wątpliwe i w każdej chwili może wyschnąć. Łaska czytelniczek na pstrym koniu jeździ... Wracając do istoty sprawy, wszystkie panie nie lubicie Urszuli. Nawet Helena, choć ona dla wszystkich jest miła. Dlaczego?

Nina uśmiechnęła się, trochę smutno i trochę ironicznie.

– Jednej rzeczy ojciec nie zauważył. Każda z nas uważa, że lepiej wychowałaby Basię. Helena nawet się domaga, żeby zaczęła do niej mówić „ciociu”, wiem to od Basi. To nie jest sprawiedliwe: Urszula robi, co zechce, zarabia dużo pieniędzy, chodzi w spodniach, obraża mężczyzn, jak to ciągle powtarza Wanda, ale dziecko ma. A my, takie bardziej zwyczajne i być może... nie wiem, czy lepsze, ale... w każdym razie my nie mamy.

Tak. Żadna z nich nie miała dzieci. Być może któraś z wyboru, ale przecież nie wszystkie, pomyślał zakonnik. Nina kiwnęła głową, jakby przytaknęła jego rozważaniom.

– A co do wyglądu... Jest ojciec amatorem kina, więc zapewne zna Helenę Grossównę.

Teraz go olśniło.

– Ach, to do niej jest podobna. Zastanawiałem się, gdzie widziałem kogoś bardzo podobnego, wręcz identycznego...

Czyli to Nina napisała ten list. Uwaga o Grossównie była tak charakterystyczna, że równie dobrze Nina mogła od razu wyznać „to ja lubię podrzucać anonimowe liściki”.

– Właśnie. Ona jest piękna jak aktorka. Aktorkom się nie zazdrości, aktorki się podziwia. O co ja mogę być zazdrosna? A ojciec zazdrości Żabczyńskiemu albo Brodziszowi?

Nie odpowiedział.

– Nie ta liga, prawda? Nieważne. Zostawmy to. Chciałabym, żeby ojciec mnie wysłuchał. Była teraz śmiertelnie poważna.

– Podejrzewam Urszulę, bo słyszałam, że była w nocy u ciotki. Weszła do pokoju Basi, a potem do sypialni baronowej. Nawet nie zapukała, wpadła bez pytania. Słyszałam krzyki. Herbst z niedowierzaniem pokiwał głową.

– Wanda też słyszała. Tu chyba nikt nie spał. Wszyscy nasłuchiwali. Rozumiem, że krzyków Urszuli?

– Nie, ciotki – odpowiedziała nieco zdziwiona. – Raczej nie wyobrażam sobie, żeby ktoś podniósł głos na baronową... Zbyt ryzykowne. Ale muszę dodać, że te krzyki usłyszałam jakieś pół godziny później. W międzyczasie na chwilę przysnęłam. Byłam zmęczona. Mogłam więc coś źle usłyszeć.

– A co krzyczała? – dopytywał Herbst.

– „Wyjdź stąd natychmiast!”, albo coś podobnego. Była wystraszona.

– Wybacz, ale chyba powinnaś była wyjść i sprawdzić.

Nina wzruszyła ramionami.

– W jakim celu? Zresztą ktoś wyszedł. Zdaje się, że Helena. Ktoś z ich pokoju, więc Rowiński albo żona.

– I co było dalej?

– Nie wiem. Zapadła cisza i... i tyle.

Wygląda na to, że tylko ja spałem, pomyślał Herbst. Wszyscy coś wiedzą, coś zauważyli, coś słyszeli.

– Nie byłaś ciekawa, co się stało?

– Byłam, ale przecież i tak nie ośmieliłabym się wejść do jej sypialni. Mój Boże, przecież to ciotka Korzycka! Postanowiłam zasnąć. Potem obudził mnie jeszcze ktoś... zdaje się, że ojciec, kiedy przewrócił posąg Kupidyna na korytarzu. Posąg, który zniknął i nikt nie wie, gdzie się podział. I znów zasnęłam.

– Nie zainteresowało cię, że do baronowej poszła Helena? Nie uznałaś tego za dziwne? Prawie się nie znały.

– Wcale nie jestem pewna, że się nie znały. Wieczorem po kolacji szłam po schodach za Rowińskimi. Słyszałam, jak Helena mówiła do Roberta: „Jeszcze nigdy nie byłam na kolacji bez kolacji. A ona miała tym razem być milsza”. Tym razem. Skoro Helena знаła ciotkę wcześniej... W takim razie lepiej musiała znać Roberta. Z technicznego punktu widzenia... Spośród tej dwójki zdecydowanie on jest bardziej podejrzany. On albo Urszula.

– Nina pokiwała głową, żeby wzmocnić swoje słowa. – Pasek prawdopodobnie należał do niego. Bo przecież Helena nie mogła mieć z tym nic wspólnego. Och, nie. To byłoby zbyt straszne!

Ciekawe, czemu ta egzaltacja ma służyć, pomyślał ojciec Herbst. Nachalnie coś sugeruje, pozornie zaprzeczając. Wygląda na to, że Nina ma problemy nerwowe.

– Mam wrażenie, że coś przede mną ukryłaś, Nino.

Zrobiło mu się przykro. Po co oni wszyscy kłamią? W jakim celu? I to Nina. Postanowił skończyć rozmowę.

– Dobrze, zatem przyjdź chociaż pomóc przy obiedzie, jeśli nie chcesz...

Nie dokończył. Chwilę ciszy przerwał ojciec Aleksander.

– Prawdopodobnie kłamiesz. Oczywiście nie we wszystkim, ale całej prawdy nie mówisz.

– Ojciec też kłamie – oznajmiła nagle spokojnie.

Wstał z krzesła i ruszył w stronę drzwi.

– Rzecz w tym, że wszyscy tutaj kłamiemy – rzucił jeszcze na odchodnym. – Istotne, kto mniej, a kto bardziej. I z jakich powodów.

– Byłeś u Niny? Przyznała się?

Wanda dopadła go na korytarzu. Oczywiście było, że podsłuchiwała.

– Myślałem, że jesteś w kuchni... Co do Niny, przecież to twoja chrześniaczka. Naprawdę chciałabyś, żeby okazała się podwójną morderczynią? I mów, proszę, trochę ciszej – zniżył głos do szeptu.

Ojciec Herbst wziął Wandę pod ramię i odsunął od drzwi pokoju Niny.

– Idziemy.

– Chcę wiedzieć, kto zabił. Najgorsza jest niepewność. Miałam unikać wzruszeń, a boję się, że serce odmówi mi posłuszeństwa, jak biednemu Zenonowi.

– Z Zenonem też nie ma pewności.

– Jak to? – Przystanęła zaskoczona. – Wszak Ignacy go zbadał.

– Tak... słusznie. Sam nie wiem, po co to powiedziałem. Wpływa na mnie ta dziwna atmosfera.

Wanda pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Wszyscy są podejrzani – obwieściła konspiracyjnym szeptem. – Zaczynam podejrzewać nawet sama siebie.

Herbst uśmiechnął się krzepiąco do skonfundowanej Wandy i weszli razem do kuchni. Była tam już Urszula, która rzuciła Wandzie niechętnie spojrzenie. Ojciec Aleksander uznał, że lepiej zostawić je same. Zapukał więc do kolejnych drzwi. Po krótkiej rozmowie wrócił do kuchni.

SIÓDMA WIECZOREM

Niespodziewanie włączyła się elektryczność. Ojciec Aleksander stał właśnie pośrodku kuchni, trzymając w ręku dodatkową świeczkę i oglądając wielki rożen, kiedy nagle spłynął na niego snop światła.

Wanda klasnęła radośnie w dłonie.

– Bogu dzięki, w blasku świec wszyscy wyglądali groźnie – oznajmiła.

– A teraz jest lepiej? – zapytała złośliwie Urszula.

Wanda westchnęła i wzruszyła ramionami.

– Może również telefony działają? – ucieszył się zakonnik.

– Nie – oznajmił Robert, wchodząc do kuchni. – Stałem przy aparacie w holu – wyjaśnił, widząc zdziwione spojrzenia. – Od razu podniosłem słuchawkę. Nadal cisza. A więc

jeszcze tu posiedzimy. Co będziemy jeść?

Ojciec Aleksander zauważył, że po wejściu Rowińskiego Basia natychmiast się zarumieniła. Widocznie jej niechęć do Heleny ma więcej niż jedno źródło. Czyli wszystko, co mówi o Helenie, trzeba dzielić przez dwa. Rzeczywiście wygląda, jakby się zakochała. Ale to bystra dziewczynka, pomyślał zakonnik. Zachowanie Basi zauważyła także Urszula, więc posłała córce uważne spojrzenie. Benedyktyn uśmiechnął się do siebie pod nosem. Nikt nie jest równie czujny jak matka.

– Jest pan podejrzanie głodny. My planujemy ryż – odpowiedziała mu Urszula.

– Ryż i...?

– I ryż. Bardzo zdrowo. A do tego warzywa.

– Dla Chińczyka z pewnością. Dziwne są te nowe mody kulinarne. A pani, pani Wando?

– Ja tylko kroję. Zawiadują inni.

Z udawaną zgrozą w oczach Rowiński zwrócił się do zakonnika.

– Ale ojciec szykuje coś jeszcze, prawda? Jakaś pieczeń? Coś bardziej tradycyjnego?

Przecież to sylwester, a nie zjazd wielbicieli zdrowego trybu życia.

– Tak. Bliny. Jest i kawior.

– Brzmi zdecydowanie lepiej. Dobrze, że ojciec tu jest.

– Nie wiem, czy wszyscy by się z panem zgodzili. Ale ja, owszem, jestem coraz bardziej zadowolony.

Urszula skierowała w jego stronę łyżkę, którą dotąd mieszała warzywa.

– Czy sugerujesz, że wiesz coś, czego my nie wiemy?

Benedyktyn pokręcił przecząco głową.

– Wiem dokładnie tyle co inni. Rzecz jedynie w wyciąganych wnioskach. Jedni z panińskiego rumieńca dedukują zakochanie, inni niezwykłą bystrość umysłu, Urszulo.

Zapadła cisza, a paniński rumieniec pogłębił się znacznie.

– Obawiam się, że wspomniawszy o zarozumiałstwie osób duchownych, ciotka Wirydianna trafiła w sedno – rzuciła w przestrzeń Nina. – Nader irytujące.

Ojciec Aleksander spojrzał na nią.

– Toteż nie zaprzeczyłem słowom ciotki, Nino. Ktoś, kto tak często jest ośrodkiem zainteresowania, na kogo patrzą setki osób podczas nabożeństwa, musi powziąć myśl o swojej wyjątkowości. Niestety, dzisiaj potwierdzę teorię baronowej. Po posiłku – skłaniam się już ku nazwaniu go ostatecznie kolacją – poproszę was o pół godziny wyteżonej uwagi. Przed północą wszystko się wyjaśni.

– Przedstawi ojciec rozwiązanie zagadki? – Robert nie krył złośliwości.

– Panie Robercie, na pańskim miejscu skupiłbym się na poszukiwaniach paska, który lepiej pasuje do tych spodni – Herbst zdecydował się odkryć kilka kart. – Ot, fragment zagadki rozwiązany. Nie wymagało to skomplikowanych procesów myślowych. Ktoś z pańskim wyczuciem elegancji nie zakłada brązowych pasków do granatowych spodni i czarnych butów. Chyba że ma niespodziewane braki w garderobie.

– To on, wiedziałam! Jego paskiem zaduszono baronową i Tadeusza! – wykrzyknęła Wanda. W kuchni wybuchło zamieszanie. Tylko Nina oraz Urszula zachowały spokój i nadal kroїły warzywa.

– Powariowaliście! Co za prymitywny tok myślenia. Słuchacie ciemnego klechy,

a gdybyście tylko... – Robert nie dokończył.

Nina popatrzyła na Ignacego, który blady przysłuchiwał się dyskusji. Wzruszyła ramionami. Przecież wszystko idzie dobrze. Mogłoby być gorzej.

Nic się nie zmienił. Jak był niegodnym zaufania impertynentem, tak nim pozostał. Szkoda, bo przecież ludzie się zmieniają. Naprawdę. Ale nie on, westchnął w duchu ojciec Aleksander.

– Proszę się opanować. Nie ma pan nic na sumieniu, prawda? Wręcz przeciwnie, gdybyśmy tylko wiedzieli... – zaczął.

– Jeszcze mnie ojciec przedrzeźnia! Chyba rozwiążemy tę sprawę inaczej...

– Wolałbym porozmawiać z kimś rozsądniejszym.

– Nie krzyczcie na siebie. Pogarszacie i tak ciężką atmosferę – zwróciła się do nich Urszula. – Odwykłam od wrzeszczących mężczyzn i proszę to uszanować. Aleksandrze, zdradzisz nam, co odkryłeś przy kolacji, niech wszyscy usłyszą. Teraz spokój, proszę się skupić na gotowaniu. I żadnych wrzasków. A pan, Robercie, skoro nie jest mordercą, to niech się weźmie do krojenia. Albo zawoła żonę. Zamknął ją pan w pokoju, że nie wychodzi?

– Helenę?! Któż by się ośmielił...

– Stop, zwierzchnictwo byłoby niezadowolone – zauważył jakby mimochodem Herbst.

– Chodziło o to, że moja żona podobnymi rzeczami nie będzie się zajmować. Co to zresztą za pomysł, żeby jeść kolację z mordercą! Poczekamy na policję. Zobaczcie – wskazał za okno. – Przestało padać. Niedługo do nas przyjadą.

Wygłosiwszy swoją kwestię, Robert zostawił ich w kuchni.

– No proszę, mogłam się spodziewać... – zaczęła Wanda.

– To nie on. – Basia wzruszyła ramionami.

– Doprawdy? A ty skąd wiesz?

– Odwieczny problem. Za głupi. Przystojny, ale głupi, niestety – orzekła gimnazjalistka, patrząc z niechęcią na marchewkę i wzdychając przy tym komicznie, a jej matka parsknęła śmiechem.

– Ciut bezczelną masz córkę, Urszulo. Sama nie wiem, jak zareagować, bo takiego dziecka jeszcze nie spotkałam – stwierdziła Wanda.

– Bezczelna, ale inteligentna, na szczęście – powiedziała pisarka.

– Prawda, to zapewne się równoważy. Ale czy to dziecko kiedyś znajdzie męża, śmiem wątpić – westchnęła Wanda.

Była blada i na tyle osłabiona, że nie miała siły z nikim się spierać, nawet z Urszulą. Herbst zastanawiał się, czy powinien narażać ją na wieczorne emocje. Inaczej się nie da, doszedł do wniosku. Zauważył, że także Nina z troską patrzy na Wandę. Ignacy nie zwracał uwagi na nikogo pochłonięty wpatrywaniem się w blat.

– Dobry wieczór państwu. Proszę mnie uwolnić od tego wariata!

Wszyscy odwrócili się jak na komendę. W drzwiach stał Rowiński, trzymając przed sobą zakurzoną istotę w wieku około dwudziestu lat. Ręce miała wykręcone do tyłu. Jej płci dowodziły jedynie sukienka i głos, bo twarz i włosy oblepiła pajęczyna.

– A któż to?! – krzyknęła Wanda.

– Niech pan mnie puści! Wykręci mi pan rękę! – odezwała się nieznajoma. –

Wypróbował na mnie jakiś chwyt, dzudo chyba? Brutal! – poskarżyła się.

– Najpierw powie nam pani, kim jest i co robiła na strychu. Kot na dole, a szuranie nadal było słycać – zwrócił się do zebranych. – Poszedłem sprawdzić i oto kogo znalazłem.

– Proszę ją puścić – poprosiła cicho, ale stanowczo Nina.

Nie usłuchał. Herbst podszedł do niego od tyłu. Po sekundzie Rowiński musiał puścić dziewczynę i trzymany był w identycznym uchwycie, co wcześniej nieznamo.

– Nie wiem, co gorsze: dyletanctwo czy nadgorliwość? – mruknął Herbst do siebie, opróżniając niepostrzeżenie kieszeń marynarki Roberta.

Dziewczyna odsunęła się od Rowińskiego i popatrzyła na niego z niechęcią.

– Od początku mi się pan nie podobał. Po głosie.

– Doprawdy? Kim pani jest? Ponoć cała służba została odesłana. Ciotka nas okłamała?

Z zakurzonej twarzy spoglądały kpiąco bystre oczy.

– Nie jestem żadną służbą. Nazywam się Aniela Wasilewska. Miałam was pilnować, żebyście nic nie ukradli. Baronowa mówiła, że część z państwa to drobnomieszczańska hołota. Nawet już chyba wiem, która część.

– Pilnowała nas pani, siedząc na strychu? – zdziwił się Herbst. – Gdzie się pani konkretnie schowała? Przecież tam zajrzeliśmy.

– Panowie byli zajęci obserwowaniem siebie nawzajem. Gdyby rzeczywiście morderca skrył się w pałacu, już dawno by was wszystkich...

– Nie strasz, dziecko! Moje serce tego nie wytrzyma! – zawołała Wanda.

– Mogę usiąść? Zmęczona jestem – oznajmiła Aniela i nie czekając na zachętę, zajęła krzesło koło Basi. Maurycy wskoczył na jej kolana i kichnął z powodu kurzu. – Baronowa kazała mieć na was ucho, jak powiedziała. W każdym pokoju stoi gramofon. A płyty państwo gdzieś zauważyli? Właśnie. Gramofony służyły do podsłuchiwania. Na strychu miałam mikrofon. Ale wysiadł prąd, to po pierwsze. Po drugie, tata już miał tu być. W południe. A jest wieczór. Zrozumiałam też z rozmowy panów – zwróciła się do Herbsty – że baronowa nie żyje, ponieważ ktoś ją zamordował. To bardzo niedobrze. Planowała bowiem jeszcze kilka dni pożyć i posłuchać, co też wyczyniacie. A potem rzeczywiście opuścić ziemski padół.

– Nie żyje – potwierdziła Urszula. – Przez chwilę było mi jej żal, ale teraz to już wcale.

– Pani baronowa była zacną osobą – powiedziała panna Wasilewska. – Miała jedynie pewne oryginalne cechy... A teraz, wybaczcie państwo, muszę się odświeżyć. Potem, mam nadzieję, dostanę coś do jedzenia, bo jestem głodna. Okropny sylwester!

– Czy to pani zabrała Kupidyna? – zapytał jeszcze ojciec Aleksander.

– Tak. Ktoś zdekompletował go w nocy, a w środku był mikrofon. Nie chciałam, żeby państwo to zauważyli, a trudno było w nocy rozmontować posąg, więc wyniosłam go na strych. To gips, całkiem lekki. Tylko podstawa jest z marmuru. Potem się wytłumaczę, ale teraz natychmiast muszę iść do łazienki.

Zakonnik pokiwał głową. Panna Aniela wyszła z kuchni.

– Przynajmniej jedno się wyjaśniło – oznajmiła Wanda w ślad za wychodzącą. –

Niepokoili mnie te odgłosy ze strychu. Kolejna oryginalna młoda osoba. Trochę bezczelna. Skoro teraz tak się młodzież wychowuje, powinnam przywyknąć – spojrzała na Basię.

- Mam nadzieję, że cioci serce to wytrzyma – skwitowała dziewczynka.
- Drodzy państwo, mamy ryż, bliny, szynkę konserwową i ryby – przerwał dyskusję ojciec Herbst. – Za kwadrans będzie kolacja. Po kolacji zaś wszystko się wyjaśni. Panie Robercie – zwrócił się do Rowińskiego – proszę zawołać żonę. Zapraszam wszystkich do jadalni.

KWADRANS PO ÓSMEJ WIECZOREM

Zakonnik odłożył sztucce. Nikt już nie jadł, wszyscy patrzyli na niego ponaglająco. Nawet panna Aniela, która po odświeżeniu okazała się bardzo ładną osobą.

Aleksander przez dłuższą chwilę wodził ponurym wzrokiem po krewnych. Złapał się na tym, że celowo przedłuża ciszę, by spotęgować efekt. O tym samym myślała chyba Urszula, bo zaczęła przebierać palcami po stole i przygryzać wargi. Helena zaś uśmiechnęła się do Aleksandra zachęcająco.

– Wszyscy przyjęliśmy to, co nam w pierwszej chwili powiedziano – zaczął w końcu. – Przyczyną morderstw był testament. W związku z tym śmierć baronowej była ważniejsza od śmierci Tadeusza, prawdopodobnie pierwsza. Tak myśleliśmy. Błąd w założeniach, które wzięły się z naszych przyzwyczajzeń, a nie z logicznego myślenia. Jednocześnie zlekceważyliśmy to, co teraz wydaje się najbardziej oczywiste. Ja także. I wszyscy trochę kłamaliśmy. Ja także. Ale niektórzy kłamali zbyt wiele i niepotrzebnie, przez co sami się zdemaskowali. Wróćmy do sobotniego poranka, kiedy znaleźliśmy oba tru... Tadeusza i ciotkę. Ignacy obudził Wandę i poinformował ją o śmierci Tadeusza. Rozmowę słyszałem ja, Basia, Helena oraz Robert.

Wymieniając imiona, patrzył po kolei na poszczególne osoby. Każda skinęła głową.

– Nawiasem mówiąc, Robert przyszedł do żony dopiero nad ranem, a spał w bibliotece, gdzie wcześniej spalił w kominku kilka ważnych dokumentów. Ponieważ zaś to zrobił i miał w pamięci, szybko rzuciło mu się w oczy rano, że jeszcze ktoś spalił w nocy duże ilości papieru. Stąd nagłe zainteresowanie kominkami. Ale o tym za chwilę, wracamy do poranka. Ignacy przyszedł do pokoju Wandy. Stał na progu, drzwi były otwarte. Nie było problemu z usłyszeniem, o czym mówili. Nikt już nie spał (oprócz Urszuli), ale każdy wolał poczekać, aż wyjdą pozostali. Nie ma się czego wstydzić. – Wzruszył lekko ramionami. – Ja bałem się na tyle, że już od czwartej rano siedziałem w fotelu i udawałem sam przed sobą, że odmawiam różaniec. Gdy odkryłem brak prądu, byłem przekonany, że doszło do nieszczęścia. Wszyscy więc czekaliśmy, aż ktoś inny wyjdzie z pokoju jako pierwszy. I ktoś taki się znalazł. Ignacy, który rozmawiał z Wandą w drzwiach jej pokoju, prawie na korytarzu.

Nikt nie zaprzeczył. Tylko Helena znów uśmiechnęła się do ojca Aleksandra i pokiwała głową. Basia złośliwie zachichotała na ten widok.

– Grossówna... – szepnęła w stronę pani Rowińskiej.

Helena lekko się wzdrygnęła. Mała szelma. Tego się nie spodziewała.

– Rozmowy nie słyszała jedynie Urszula, która prowadzi artystyczny tryb życia i zwykle

śpi do południa. Co zadziwiające, nie słyszała też Nina, mieszkająca w pokoju obok Wandy. Podniesione głosy nie zdołały jej obudzić, choć wcześniej w nocy słyszała kilka rozmów i kroki na korytarzu, jak sama twierdzi. Natomiast Basia, której sypialnia jest oddalona najbardziej, słyszała wszystko. Prawda?

Dziewczynka skinęła głową.

– To się zdarza, niektórzy mają bardzo zły słuch, ale wstydzą się przyznać. Podam wam przykład z życia, mała dygresja – kontynuował zakonnik, a Urszula wzniosła oczy do nieba. – Pamiętam parafiankę, która udawała, że wszyscy mówią głupoty i nie ma sensu im odpowiadać. W towarzystwie patrzyła na ludzi z pogardą, żeby nikt nie spróbował nawiązać z nią rozmowy. Wolała być uznawana za arogancką niż za głuchą. Tak... ludzie defekty ciała ukrywają skrętniej niż defekty ducha... Jednakże Nina nie ma złego słuchu. Śpiewa przecież w chórze parafialnym. Po drugie, Nina nie prowadzi artystycznego trybu życia i stawia się w pracy skoro świt, jak zdążyła poinformować podczas sobotniego śniadania. Nawet zmęczona podróżą najprawdopodobniej była już na nogach. Chyba że potrafi ubrać się w ciągu minuty.

Podniósł lekko głos.

– Najwyżej minuta bowiem minęła od rozmowy do momentu, gdy Ignacy i Wanda pobiegli do pokoju Tadeusza. A całe towarzystwo, także kompletnie ubrana Nina, za nimi. Albo Nina spała w ubraniu, albo wstała dużo wcześniej. Dlaczego więc wcześniej nic nie słyszała? Tak więc pobiegli wszyscy. Oprócz Urszuli. Co oczywiście jeszcze o niczym złym nie świadczy. To jedynie drobiazg, który sprawił, że zaczęłam odczuwać pewną nieufność wobec mojej przyjaciółki z dzieciństwa. Nieprzyjemne uczucie. Pomyślałam: czy córka jej nie obudziła? Czy nie jest pierwszym odruchem dziecka pobiec do matki, żeby powiadomić ją o nieszczęściu?

Pisarka wzruszyła ramionami i znów zapaliła papierosa. Zdecydowanie wyglądało na to, że higieniczny tryb życia zmuszona jest realizować głównie jej córka.

– Owszem. Basia wpadła do pokoju i mnie obudziła. Nie pobiegłam oglądać nieboszczyków, bo mdleję na widok krwi. To nie była moja bardzo bliska rodzina. Uznałam, że nie warto robić z siebie widowiska.

Urszula spojrzała z niechęcią na zakonnika. Tak jakby zawiodła się na jego inteligencji. Herbst pomyślał, że najbardziej przykre w ich sytuacji jest to, że stracili do siebie zaufanie i sympatię. Także ci, którzy dotąd szczerze się lubili. Nawet on i Urszula, a przecież ich dwoje łączyły silne więzy.

– Masz świadomość, że budzi to... przynajmniej zaskoczenie?

– Tak. Ale nie będę się tłumaczyć. Zaraz i tak mnie zdemaskujesz. Nie lubię teatralnych efektów. Przejdź już do meritum.

– Moja droga, na tym odludziu brakuje rozrywek, jak by to powiedział pan Robert, więc mam zamiar możliwie ten spektakl przedłużyć. Cóż lepszego mamy do roboty?

Basia zachichotała nerwowo. Wanda cmoknęła, wyrażając dezaprobatę.

– Prawdopodobnie będziesz musiała się dodatkowo tłumaczyć – przed policją – kontynuował ojciec Herbst. – Idźmy dalej. Ignacy pokazał nam Tadeusza ze śladami po duszeniu. Zgodziliśmy się z jego wnioskami, wszak to lekarz. I wyszliśmy, by nie ruszać niczego przed przybyciem policji. Cóż za przeczność! Lekarz, stróż prawa... moc

autorytetu. A przecież większość z nas uważa Ignacego za prowincjonalnego nudziarza, pozbawionego charakteru. W innych okolicznościach nikt by go nie posłuchał. Ale Ignacy, doktor nauk medycznych... to co innego. W tej sytuacji zyskał przewagę. Nikt z nas nie zna się na duszeniu. Oprócz samego Ignacego. Jego doktorat nie był bowiem, jak zasugerowała ciotka Wirydianna, poświęcony ślepej kiszce. Bynajmniej. Rozprawa, nagrodzona medalem, dotyczyła typów urazów odcinka szyjnego.

– Czyli to Ignacy jest winny? – zapytała dramatycznym tonem Wanda.

Sam Ignacy siedział spokojnie, wyprostowany. Nie zauważał spojrzeń.

– Niezupełnie. Wiedzę zyskaliśmy dzięki niezrównanej ciotce oraz jej teczkom. Czasami dobrze jest zbierać informacje o krewnych, gdyż nigdy nie wiadomo, kiedy nam się to przyda.

– Mężczyźni zawsze się popisują! To nieznośne. Przejdź wreszcie do meritum. Kto zabił? Jak? Dlaczego? – Urszula domagała się konkretów.

– Spokojnie. Ignacy zapomniał usunąć zteczki artykuł na temat konferencji naukowej. „Ignacy Neumann, młoda nadzieja poznańskiej medycyny, prezentował fragmenty rozprawy doktorskiej poświęcone urazom odcinka szyjnego w sportach walki”. Szczęśliwie pan Robert zademonstrował, choć nieudolnie, pannie Anieli i pośrednio wszystkim wschodnie sztuki walki. Obezwładnianie przeciwnika bez robienia mu krzywdy. I pan Robert o czymś mi przypomniał. Shime-waza. Czyli sposoby na duszenie, przez zatamowanie dopływu krwi do mózgu, na przykład za pomocą przedramienia. Wtedy do mnie dotarło, że znając taką technikę, gołymi rękami udusić dorosłego mężczyznę bez krzyku i zamieszania mogłaby nawet Basia... I ciotka Wanda. Tym łatwiej, gdyby posiadała torbę lekarską Ignacego z jej cenną zawartością. Co to za problem – udusić nieprzytomnego, będącego pod wpływem weronalu albo morfiny? A ciotka cały czas była pod działaniem tych leków.

– Dlatego odmówiłeś mi weronalu! Wykorzystałeś go do zbrodni! – krzyknęła ciotka Wanda.

Ignacy milczał. Patrzył na krewnych wzrokiem raczej znużonym niż złym.

– To samo w sobie nic jednak nie znaczy. Ignacy nie musiał stosować sztuk walki. Rzecz w tym, że temat jego doktoratu uświadomił mi, że siła fizyczna nie była tu potrzebna. Wystarczyło, że ofiara będzie nieprzytomna. Zabić mogła więc i kobieta, niekoniecznie Ignacy. Ale wróćmy do szczegółów pierwszego zabójstwa. Pierwszy zginął Tadeusz, który tak samo jak ciotka brał morfinę. Mniej, bo jego gruźlica nie była tak zaawansowana jak choroba ciotki. Ale brał. Stąd jego dziwne zachowanie, zmieniające się z upływem czasu od wzięcia kolejnej dawki, a przede wszystkim objawy depresji i ustawiczne lęki, typowe dla osób, które zdążyły się uzależnić. Ciotka ich oczywiście nie miała, bo ona nigdy w życiu nie przejawiała skłonności depresyjnych. Inna konstrukcja ducha, powiedziałbym. Teraz najważniejsze. Tadeusz zmarł, bo dostał za dużo morfiny. Ślady po duszeniu paskiem powstały później – kontynuował Herbst. – Po śmierci. Na tyle jednak wcześniej, że organizm zareagował wybroczynami. W tym momencie podejrzanych powinno być dwóch – Robert oraz Ignacy. Obaj potrafią zabijać. Technicznie rzecz ujmując. Obaj mieli w swoim życiu do czynienia z narkotykami. Jeden z nich podobno nawet narkotyzował nieletnią panienkę, w co oczywiście nie wierzymy. Jeden jest lekarzem. A drugi? Zaraz do tego dojdziemy.

– Ale dlaczego Robert? To nieprawda! Myślałam, że już o tym rozmawialiśmy! – krzyknęła zarumieniona ze zdenerwowania Helena. – Wie ojciec, że mój mąż... nie zrobił Tadeuszowi nic złego.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Pan Robert wydawał mi się podejrzany do momentu, kiedy zobaczyłem jego teczkę. Lata hulanki starannie opisane i udokumentowane przez mecenasa Wasilewskiego. Wyciąg z banku wykazujący rzeczywiście imponujące rozchody. Cały nasz klasztor potrzebuje rocznie na utrzymanie tyle, ile pan Rowiński wydawał w miesiąc. Następnie końcowa adnotacja, że wyjechał na kilka miesięcy do Warszawy. Co tam robił? Zdaje się, że przeszedł pewne szkolenie. I chyba kupił buty w luksusowym sklepie Kielmana. Takie buty wymagają odpowiedniego paska. I właśnie ten pasek miał pana pogrążyć. Zbyt grubymi nićmi szyte.

Robert oderwał się od palenia cygara. Obdarzył ojca Herbstą pełnym uznania spojrzeniem.

– ...ale wróćmy do wcześniejszych wydarzeń. Nagle pan Rowiński wyjechał do Niemiec. Cóż za pomysł, zapytacie? Taki z niego Niemiec jak z każdego z nas, wszyscy w Poznańskim mamy w sobie choć trochę krwi niemieckiej. Zaraz wyjaśnię. Pojechał do Gdańska. Tam zrobił rzecz zadziwiającą, został mianowicie urzędnikiem w przedstawicielstwie polskiego handlu. Czy może być coś nudniejszego dla młodego przystojnego utracjusza? Nic. Ale Robert pracował pilnie, nagradzany zapewne pochwałami przez zwierzchników. Pisał, przeglądał akta, chodził do biura na ósmą i zostawał po godzinach, najdłużej ze wszystkich. Nie pił alkoholu, nie zażywał... nic nie zażywał... Nudy. I tuteczka się skończyła, moce poznawcze pana Wasilewskiego także. Nic w tym dziwnego. Robert jest agentem polskiego wywiadu w Wolnym Mieście Gdańsku.

Rowiński i jego żona popatrzyli na siebie przeciągle. Helena opuściła głowę. Nie wiedziała? A więc Herbst ją przecenił? Zakonnikowi zrobiło się żal Heleny, choć przecież powinien być dumny z krewnego walczącego o interesy państwa polskiego w Gdańsku. Pozostali zastygli w bezruchu, zasłuchani.

– Należą się panu wyrazy uznania. Myślałem, że jest pan fatalnym agentem. Jestem jednak mile zaskoczony. Zachowywał się pan jak buc Rowiński sprzed – nazwijmy to – życiowej przemiany, ponieważ takie polecenie otrzymał pan od przełożonych.

– W rzeczy samej – przyznał Rowiński beznamiętnie.

– Wymachiwanie parabellum i robienie znaczących min jednak mógł pan bardziej szczegółowo skonsultować ze zwierzchnikami. Ale do rzeczy. Poznał pan Tadeusza Radzinowicza z ambasady w Berlinie. Współpracowaliście ze sobą od jakiegoś czasu, a zaproszenie do pałacu tuż przy granicy było doskonałą okazją do spotkania. Fakt, że panowie nie widzieli się po raz pierwszy, był widoczny od razu. Z kolei pani Helena wiedziała, że jej mąż jest niewinny, bała się jedynie, że jego alibi jest mało... estetyczne. Sugestie ciotki przy kolacji musiałyby być dla niej straszne, gdyby potrafiła w nie uwierzyć. Ważne jest jedno, Robert i Tadeusz spotkali się, ale Robert nie zabił Tadeusza. Zapewne jeden drugiemu przekazał przydatne informacje. Niestety, panów łączyło coś więcej, czego nie możemy już ukrywać. To kwestia finansowa.

Żona Rowińskiego otworzyła usta, by zaprotestować, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Jej mąż zachował kamienną twarz i nadal palił cygaro.

– Wracam jednak teraz do mordercy. Zabił Ignacy. Ten, kto pierwszy krzyczy „pali się”, często okazuje się podpalaczem.

W pokoju zapanowało zamieszanie.

– Wiedziałam! – krzyknęła Wanda. – W blasku świecy wyglądał jak Makbet!

Urszula posłała jej ciężkie spojrzenie.

– O czym my tu jeszcze debatujemy? – zapytał Robert zakonnik. – Mamy zabójcę. Udawał, że znalazł ciało, to najprostszy w świecie zabieg. Od początku był podejrzany. Lepiej jednak, by ojciec nie omawiał tego wszystkiego publicznie, i nie chodzi wcale o charakter moich spotkań z Tadeuszem.

Neumann siedział w milczeniu. Urszula zaciągnęła się papierosem.

– Zgrabnie to przedstawiłeś, choć ciągle robisz dygresje, ale teraz wyjaśnij nam motyw – zwróciła się do Herbsta. – W jakim celu Ignacy miałby mordować? Czy Tadeusz był spadkobiercą?

– I tu właśnie tkwi nasz błąd. Myśleliśmy, że sprawa musi być związana z testamentem. Co właściwie na to wskazywało? Nic, uznaliśmy jednak, że skoro przyjechaliśmy tu w sprawie testamentu, to jest on motorem wszystkich wydarzeń. A chodziło o znacznie wyższą stawkę. Tak przynajmniej sądził zabójca.

– O politykę? O miłość? – Pierwsze pytanie zadała Urszula, a drugie jej czytelniczka.

– Trafiała Wanda. Ignacy, technicznie rzecz ujmując, zabił Tadeusza i ciotkę Wirydianę, ale nie o niego tu chodzi. Ujmę to inaczej – zabójstw dokonano rękoma Ignacego. Baronowa prawdopodobnie wiedziała za dużo. Winę natomiast ponosi Nina.

Wszyscy popatrzyli na sekretarkę firmy Mertel i S-ka. Dziewczyna wyprostowała się. Obrzuciła ich ponurym spojrzeniem, nie zatrzymując się na nikim dłużej. Wreszcie uśmiechnęła się do benedyktyna, ale usta jej zadrżały.

– Ależ musi ojciec opowiedzieć wszystko do końca – rzekła bezbarwnym głosem. – Ze szczegółami. Układanka ma jeszcze kilka brakujących fragmentów.

Z mieszaniną pogardy i litości patrzyła na Helenę. Rowińska znowu się zarumieniła.

– Opowiem dokładnie tyle, ile uznam za stosowne. Podczas oficjalnego przesłuchania będę zmuszony zdradzić policji więcej, ale poproszę o dyskrecję.

Nina wykrzywiła usta w nieprzyjemnym grymasie.

– Jak zawsze humanitarny. Dobrze, sama powiem. Ciotka Wirydianna wiedziała o nas naprawdę wiele. Kiedy zasugerowała, że Tadeusz... woli mężczyzn... miała rację. Przekonałam się o tym na własne oczy. Poszłam do jego pokoju porozmawiać. Miałam klucz, bo zaraz po przyjeździe dał mi drugi komplet. W końcu byliśmy narzeczeństwem. Ja dałam mu klucze od swojego... nie skorzystał. Otworzyłam więc drzwi... Tadeusz był zajęty. A z nim w pokoju zastałam Roberta. Nawet mnie nie zauważył. Mój narzeczoną zdejmował właśnie spodnie! Po tym, co zobaczyłam, nie miałam już wątpliwości. Tadeusz szukał parawanu... zasłony dymnej... nie wiem, jak nazwać moją rolę w tej... farsie. A ja się dziwiłam, że chce za narzeczoną biedną dziewczynę! Widocznie zastanawiałam się zbyt krótko, naiwna idiotka. Byłam szczęśliwa, bo go zwyczajnie kochałam. Takie kretyнки są najlepsze. Bezbronne i ślepe. Po ślubie jest za późno, poza tym i tak nie mają się gdzie podziać.

Rozpłakała się. Helena ukryła twarz w dłoniach. Basia patrzyła na wszystkich szeroko

otwartymi oczami.

– Czy panienka – Wanda wskazała dziewczynkę – nie powinna zostawić nas samych?

– Hipokryzja, moja droga. O trupach mogła słuchać, a o pederastach nie może? – Urszula wzruszyła ramionami. – Drobnomieszczaństwo. Zostań, Basiu.

– Nino, nie kłam chociaż teraz – Herbst zwrócił się do krewnej. – Wymyśliłeś całą rzecz doskonale. Jesteś wyrachowana. Sąd uznałby to za zabójstwo w afekcie. Z powodu zranionego uczucia. Sam chętnie bym na ten werdykt przystał. W dodatku sądy i opinia publiczna nie lubią pederastii. Zamiast stryczka albo dwudziestu lat więzienia byłoby pewnie kilka lat i powszechne współczucie, prawda? Oszukana przez dwóch degeneratów. Ale kłamiesz.

– Boże, cóż za perfidia? Po kim to masz, Nino?! – zawołała Wanda.

– Teraz ci powiem! – Nina niespodziewanie zwróciła się do Wandy. – Nienawidzę cię! Od zawsze! Nie masz za grosz gustu, ubierasz się ordynarnie i jesteś głupia jak gęś.

Ciotka siedziała z niemądrą miną i milczała osłupiała.

Helena odjęła ręce od twarzy, wstając. Zrobiła to tak gwałtownie, że przewróciła stojącą obok nakrycia filiżankę. Zebrani popatrzyli na nią z zaskoczeniem. Gdzie się podziała jej łagodność i dystynkcja? Nawet wyraz twarzy wydał się bardziej pospolity.

– Skoro nagle obowiązuje wśród nas szczerłość, to i ja się dostosuję. Powinna powstać technika policyjna albo wywiadowcza: zbiorowe rzucanie pełnych współczucia spojrzeń – oznajmiła zimno. – Każdy się przyzna do wszystkiego. Robercie, zrób mi przyjemność i wyjaśnij krótko, na czym polega nasza rola w sprawie. Nie ma sensu kontynuować małżeńskiej bajeczki.

Robert skinął głową i zaciągnął się jeszcze raz cygarem.

– Helena także nie potrzebuje waszego współczucia. Nie jest oszukaną żoną, ale moją zwierchniczką. Pracujemy razem. Oboje przyjechaliśmy spotkać się z Tadeuszem. Oraz z podkomisarzem Nowakiem, który absolutnie nie jest takim idiotą, na jakiego wygląda. Zajmuje się ważnymi sprawami na pograniczu. Powiedziałbym, że bywa idiotą ze względów operacyjnych. Spotkaliśmy się z nim w nocy. Stąd narty przy ścianie.

Helena energicznym krokiem chodziła po pokoju.

– Nareszcie mogę się rozruszać. W roli Rowińskiej czułam się niczym furia skrępowana pasami bezpieczeństwa. Biedna melancholijna Helena – prychnęła pogardliwie. – Nie ma sensu dłużej udawać, skoro ojciec okazał się nadszpedkowany bystry. Marnuje się ojciec w klasztorze, wszak tyle można zrobić dobrego dla świata, oprócz kontemplowania sacrum oraz pielęgnacji róż i krzewów. Co do mnie, wpadka mi nie groziła, nic o mnie nie wiedzieliście... A mimo to, pracując na podstawie dostępnych danych, sprawnie wszystko ojciec połączył.

– Nie mogę zrozumieć tylko jednej sprawy. Twierdziła pani, że jest Kaszubką. Teczka to potwierdza – zauważył zakonnik.

– Jestem Kaszubką i polską patriotką. Ale dość o mnie. Teraz ja zapytam Ninę: dlaczego przyszło ci do głowy, że wszyscy kupią bajeczkę o pederastach? Oprócz insynuacji ciotki nie było więcej dowodów. Co widziałaś?... Robert przebierał się w pokoju Tadeusza, wrócili ze spotkania z podkomisarzem Nowakiem cali mokrzy, pokonali wszak parę kilometrów w śniegu. Zobaczyłaś, że się rozbierają?

– Zmieniłem w pokoju Ignacego spodnie na piżamę, stąd pasek – wyjaśnił Robert. – Przy pałacowej ścianie została jeszcze druga para nart, nawiasem mówiąc. Ja nie jestem tak poukładany jak Tadeusz, więc swoje rzuciłem w kąt, zamiast oprzeć o ścianę. Nie spodziewałem się, że to będzie miało jakieś znaczenie. Kiedy śnieg stopnieje, będzie je widać. Dobrze, ale teraz ja też chciałbym zrozumieć – zwrócił się do Kwiatkowskiej. – Nie zobaczyłaś więc nic zdrożnego, Nino. Zrobił dla ciebie więcej, niż myślisz. Ten człowiek zdefraudował dla ciebie pieniądze z ambasady. Omal go tutaj nie odstrzeliliśmy z Heleną. Takie dostaliśmy polecenie, ale ciotka postanowiła, że spłaci to, co ten idio... człowiek ukradł. Plus odsetki. Oświadczyła, że nikt nie będzie jej robił konkurencji w umieraniu. Z Nowakiem musieliśmy uzgodnić, czy nasi przełożeni wyrażą zgodę. Wyrazili. Ale chciałbym ci wierzyć, że zabiłaś z powodu tego... podejrzenia. Tyle że jesteś na to za mądra. Zabiłaś, bo przebierał się ze mną w pokoju?

Nie dokończył. Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Byłam... wzburzona – wyznała w końcu Nina. – Nie wierzyłam wcześniej, aby ktokolwiek mógł mnie pokochać. Nie wiecie, jak to jest, kiedy wszystkie marzenia w jednej chwili... Skąd moglibyście wiedzieć? Ignacy mnie lepiej rozumiał, to dobry człowiek i świetny lekarz. Wiedział, że Tadeusz jest chory, rozpoznał oczywiście od razu. Już na peronie się umówili, że przyjdzie do niego wieczorem z morfiną. Ale wcześniej to ja odwiedziłam Ignacego. Wiedziała, że mi pomoże. Wystarczyło być dla niego miłą... Szlochałam, że Tadeusz mnie zdradził i nie będzie ślubu, że Ignacy zna tę rozpacz. I że potrzebuję morfiny, dla siebie. By ukoić ból. Zgodził się od razu, dał mi ją, a ja szybko wyszłam. Otworzyłam drzwi Tadeusza swoim kluczem, przynajmniej raz się przydał, skoro schadzka kochanków nie doszła do skutku – zaśmiała się gorzko. – Samo wstrzyknięcie morfiny nie stanowiło problemu, bo Tadeusz spał. Tyle że Ignacy wrócił do jego pokoju. Chciał sprawdzić, jak się czuje. Gdy zobaczył, że Tadeusz dostał podwójną dawkę i nie żyje, wpadł w panikę. Kto ma morfinę? Wiadomo, lekarz, więc podejrzenie od razu padnie na niego. Dlatego wymyśliłam zabieg z paskiem Roberta. Ignacy protestował, ale w końcu dał się przekonać, że Rowiński to zły człowiek, który ma na sumieniu wiele grzechów... i nigdy ich nie odpokutował. Wydał się więc najbardziej odpowiedni do roli kozła ofiarnego. Problem w tym, że ciotka nas usłyszała. Podśluchiwała. Panna Aniela mówiła prawdę. Widzieliście przewody przy gramofonie w sypialni ciotki? W tubie ukryty jest mikrofon. Nie zwróciliście uwagi? Nawet nasi wywiadowcy? Końcówki są przy gramofonach w waszych pokojach.

– Owszem, zauważyliśmy, ale dopiero w sobotę rano, kiedy weszliśmy do pokoju ciotki – rzekła Helena.

– Ojciec nie zauważył? – Nina zapytała Aleksandra.

Pokręcił głową przecząco.

– Nie zastanowiło was, dlaczego są w każdym pokoju? Nawet w kaszubskiej izbie? Kiedy skończyliśmy z Tadeuszem, usłyszeliśmy szept ciotki. Teatralny szept, bo zwielokrotniony przez cały mechanizm. „Jesteście gorsi, niż sądziłam”, powiedziała. Ten głos odezwał się z gramofonu. Cóż, nie było innego wyjścia. Poszło znacznie szybciej. Ignacy tak się bał, że pomógł mi już bez słowa sprzeciwu. Ta stara wiedźma rzeczywiście była chora i słaba. Znowu użyliśmy paska, żeby wszyscy pomyśleli od razu o testamencie.

Umierająca baronowa i najbliższy krewny. Motyw oczywisty. Pieniądze. To Rowiński przecież jest tutaj jedynym krewnym Korzyckiego, który kupił ten pałac. Wielu mogłoby pomyśleć, że słusznie mu się należy. Dlatego zabił ciotkę. Proste, prawda? Pasek Roberta miał być dowodem. Wiedzieliśmy, że w pokoju Tadeusza zostawił dużo odcisków palców. Kłótnia kochanków, z czego jeden jest podejrzanym obywatelem, do tego spadek... Każdy sąd by go skazał. Idealny kandydat na mordercę. Tak wtedy myślałam. Najlepsze jest to, że gdyby rzeczywiście on zabił, nic by mu nie groziło. Wywiad by go wybronił, prawda? – zwróciła się do Roberta.

Rowiński popatrzył na nią spokojnie.

– Nie mam pojęcia. Nie próbowałem dotąd sprawdzać, na jakie wsparcie można liczyć w sprawach kryminalnych.

Nina uśmiechnęła się gorzko.

– Takim jak ty zawsze się upiecze – powiedziała. – To właśnie nazywają ironią losu. Ja byłam uczciwa dwadzieścia osiem lat. Chciałam być szczęśliwa. Wyjść za męża za ukochanego człowieka... To was nie zainteresuje. Zrezygnowałam z uczciwości i teraz mnie powiesz. A ty, proszę, tyle świństw przez całe życie narobiłeś, a teraz taki z ciebie bohaterski pracownik wywiadu... Wystarczy. Resztę powiem policji.

– Nino, mam jeszcze jedno pytanie – odezwał się Aleksander. – Czym zajmuje się firma Mertel i S-ka? Tak konkretnie?

– Prądem, elektryfikacją. Przecież ojciec wie. I tak, nawet skromna sekretarka przez osiem lat jest w stanie nauczyć się wiele o przewodach. I elektryczności. Na przykład jak wyłączyć prąd jednym ruchem w całym pałacu. Skoro zauważyłam te przewody... Wystarczy tych wyjaśnień.

Przez chwilę panowała cisza.

– Tak, nie było żadnych pederastów – powiedziała w końcu zrezygnowanym głosem Nina. – Swój własny dług spłaciłam. Ale spodobało mi się w kasynie. Tadeusz chciał odwołać ślub, bo dowiedział się, że pożyczone od niego pieniądze przegrałam. Jak mój ojciec. Wzięłam cudze pieniądze, Tadeusza i Urszuli, a potem je przegrałam. I liczyłam, że skoro mój narzeczony prawie umiera... Cóż, po narzeczonym się nie dziedziczy. A po mężu – owszem. Wtedy on powiedział, że nie robi tego swoim rodzicom. Nie chce, by ich pieniądze poszły na hazard. I że mnie kocha i dlatego właśnie musimy poczekać. Przecież mogę się zmienić... i tym podobne banały... A ja już nie mogłam. Wytrzymałam osiem lat, spłaciłam dług, a potem coś we mnie pękło. Przez cały czas myślałam o kasynie, o tych kartach, przez które ojciec zniszczył mi życie. I coś mnie podkusiło, żeby spróbować się odegrać. Zagrałam raz i już wiedziałam, że to koniec. Jestem słabym człowiekiem, całą swoją energię zmarnowałam na matkę i tę straszną pracę. Każdy z nas ma określony kapitał siły moralnej. Mnie przypadł mały, cały więc straciłam przez te osiem lat. Pamiętajcie, co ciotka mówiła o życiu, że to gra znaczonymi kartami? Ona wiedziała, co robiłam. I miała rację. Dlatego sugerowała, że zapewne oczekuję nagrody. To prawda. Dlatego liczyłam na małżeństwo z Tadeuszem. Ale dostałam karty mojego ojca... Dobrze, sama wiem, jaka jest prawda. Zabiłam, bo nie chciał się ze mną ożenić. Smutny banał.

Wyglądała na zrezygnowaną i wyczerpaną. Zagryzała spieczona usta. Po chwili jakby odzyskała wigor. Z kąpiącym uśmiechem zwróciła się do benedyktyna.

– Brawo! Jak ojciec się czuje w roli pogromcy złoczyńców? Większy sukces niż z obrazem. Znowu będą wywiady. Gazety, radio... „Benedyktyn na tropie morderczego duetu...”. Bo musisz wiedzieć, Ignacy – powiedziała do Neumanna, który wciąż siedział bez ruchu – okrzykną nas złowrogim duetem. Kto by się spodziewał. Gratulacje. Dzięki ojcu zawisnę na sznurze. Pozdrówcie ode mnie mamę.

Herbst nie zdążył otworzyć ust, bo ubiegła go Urszula.

– Nie musisz przypominać. Wszyscy wiemy, że jeśli pójdziesz do więzienia, twoja matka zostanie zupełnie sama. Może spadkobierca... kimkolwiek jest, opłaci opiekę dla twojej mamy? Co o tym myślicie? Ja ze swojej strony obiecuję pomoc.

– To chyba oczywiste. I siostrze Ignacego też pomożemy – wtrąciła Wanda. – Jesteśmy w końcu rodziną. Musimy się nawzajem wspierać – dorzuciła na wydechu, łapiąc się za serce.

Urszula spojrzała na nią z zastanowieniem.

– Frapuje mnie, czy ty jesteś głupia, czy wyrafinowanie ironiczna? Skutek ten sam, bo zawsze mówisz coś zupełnie nie na miejscu. Zauważyłaś, jak chętnie sobie pomagaliśmy przez ostatnie dni?

– Nie odpowiadam na sugestie cynicznej manipulantki. Wypowiadasz się o uczuciach, a znasz je wyłącznie z teorii, moja droga.

– *Pax, pax!* – zawołał ojciec Aleksander. – Jeszcze nadarzy się okazja do kłótni. Teraz zajmują nas ważniejsze sprawy. Będzie nas przesłuchiwać policja. Chciałbym zasugerować... Oczywiście jest to jedynie prośba. Pamiętajcie, że powinniśmy przedstawić Ninę i Ignacego jak najbardziej pozytywnie. Wszak istnieją okoliczności łagodzące. Gdy nas zapytają, możemy je wymienić. W przypadku Niny – ciężkie warunki życiowe, trudna sytuacja osobista... A ty, Ignacy? Myślę, że współczucie wobec Niny zostanie potraktowane jako okoliczność łagodząca. Mogłeś też nie mieć świadomości, do czego Nina zamierza użyć morfiny. Nie miałeś – powiedział z naciskiem, patrząc na Kwiatkowską.

Pokiwała głową.

– Ignacy nawet w połowie nie jest winien. Zabić ciotki nie chciał z pewnością, a w sprawie Tadeusza podle go okłamałam.

– Nie. Nie sugerujcie policji żadnych okoliczności łagodzących – oznajmił twardo Ignacy. – Jestem biednym idiotą. To wszystko wyjaśnia.

– Przepraszam. – Nina patrzyła na niego smutno.

Nie odpowiedział i ona także nie zdążyła powiedzieć nic więcej. W tym momencie rozległo się łomotanie do drzwi wejściowych.

– Ja otworzę. Chciałbym najpierw chwilę z nimi porozmawiać. Panie Robercie, czy mógłby pan...?

– Oczywiście. Pierwsze drzwi po lewej. Posiedzę z nimi – zapewnił Rowiński, który od razu domyślił się, o co chodzi.

Zakonnik oddał mu parabellum. Rowiński pokiwał z uznaniem głową.

– Pani przodem – zwrócił się do Niny.

Ignacy bez słowa podążył za nią. Pozostali w milczeniu patrzyli, jak cała trójka kieruje się w stronę schodów.

W progu stał podkomisarz Nowak. Na wąsach miał śnieg, a w oczach obawę. Za nimi przebiegali nogami dwaj podkomendni, obaj wyraźnie przestraszeni.

– Telefony u państwa głuche, a przecież baronowa umierająca... Starosta wysłał nas do mecenasa Wasilewskiego z pytaniem, co dzieje się w pałacu. Mecenas miał tu dotrzeć już wczoraj, ale nie dał rady przejechać. Trudno było znaleźć jakiś pług śnieżny, rozumie ojciec, sylwester...

– A gdzie mecenas Wasilewski? – przerwał mu Herbst, wpuszczając przybyłych do holu.

– Tutaj. Bardzo mi miło, wiele o ojcu słyszałem! – Zza pleców policjantów wysunął się starszy pan średniego wzrostu, w okularach. Podał zakonnikowi dłoń.

– Nie wątpię, drogi panie. – Ojciec Aleksander uśmiechnął się uprzejmie i także wyciągnął dłoń. – Córkę znajdzie pan w jadalni. Dla pewności zapytam, czy ma pan na imię Maurycy?

– Skądże. Ludwik. Ludwik Antoni Wasilewski. Maurycyego znam tylko jednego. Waszego podopiecznego, kota – odparł, zadowolony z siebie.

– Pomagał pan ciotce pisać listy?

– Musiałem. W pierwotnej wersji brzmiały bardzo obcesowo.

Podkomisarz Nowak spojrział na Herbsta pytająco. Ten uśmiechnął się do stróża prawa i stwierdził, zamykając drzwi za gośćmi:

– To jest teraz nieistotne. Tak samo jak to, że przez przypadek zajrzał pan do przedziału, w którym siedzieliśmy razem z Tadeuszem. Musiał się pan nabiegać po tym pociągu, od trzeciej do pierwszej klasy. Trudno przy tym nie zwrócić na siebie uwagi. Oczywiście wygląd nobliwego starszego pana może rzecz ułatwić. Doceniam, że był pan dość dyskretny.

– Staralem się. Baronowa wszystko starannie obmyśliła...

– A my jej wszystko dokumentnie popsuliśmy, o czym zaraz opowiem – przerwał adwokatowi Herbst i zwrócił się do podkomisarza. – Musi pan wiedzieć, że w sypialniach na górze leżą dwa ciała. Baronowa oraz Tadeusz Radzinowicz. Natomiast w pokoju obok są osoby winne ich śmierci. Pilnuje ich nasz krewny, pan Rowiński. Proszę nie wpadać gwałtownie. Ma broń...

Policjanci już biegli. Po chwili rozległ się stukot ich butów na schodach. Ojciec Herbst popatrzył na bladego prawnika. Bez pytania ujął go pod łokieć.

– A my porozmawiamy w bibliotece – zakomunikował stanowczo.

Stanęli w progu. Zakonnik wskazał mecenasowi zielony fotel, a sam usiadł w czerwonym. Na stoliku między nimi leżały teczki. Na ich widok Wasilewski wyraźnie poczerwieniał ze zmieszania.

– Jak się nazywa taki zawód? Detektyw? Wywiadowca? Plotkarz? Bo z pewnością nie prawnik. Pana zadaniem było gromadzenie kompromitujących informacji na nasz temat.

Wasilewski szybko odzyskał pewność siebie.

– Wie ojciec, że prawnicy wykonują różne zadania. Nasz zawód to nie tylko sale sądowe i tony papierzyk. Byłem pełnomocnikiem pani baronowej, jej najbardziej zaufanym doradcą. – Wyprostował się z dumą.

– Mam nadzieję, że nikim więcej... Dobrze, tanie złośliwości na temat nieboszczki są nie

na miejscu. Zwłaszcza że pański rumieniec wiele tłumaczy. Wróć jednak do sedna, zbieranie o nas kompromitujących wiadomości bez naszej wiedzy uważam za nieprzyzwoite.

– Zbierałem informacje – powiedział z naciskiem. – A że okazały się kompromitujące, to już państwa zasługa. Gdybyście byli święci, miałbym teraz materiał do procesu kanonizacyjnego. A tak, cóż...

Było widać, że wypowiedzianie bezczelnych stwierdzeń i przeinaczanie rzeczywistości musiało być żywiołem starszego pana. Zaraz mi zacznie wmawiać, że podglądana kobieta jest gorsza od podglądającego gimnazjalisty, bo sieje zgorzenie gołym biustem, pomyślał Herbst. Machnął więc ręką, zniecierpliwiony.

– Wiem, że pana nie przegadam, wyszedłem z wprawy kazuistycznej. A nie mamy dużo czasu. Policja zaraz zacznie przesłuchania. Pana też wezwą, skoro posiada pan tyle cennych informacji.

– Wybacz ojciec, ale przecenia miejscową policję. Skoro, jak zrozumiałem, winowajcy już się przyznali, nasza policja nie przesłucha więcej osób, niż to absolutnie konieczne. Nienawykli dodawać sobie pracy. Mało kto czerpie radość z rozwiązywania zagadek i zadawania dodatkowych pytań... Jednym słowem, o mnie się proszę nie martwić.

Uśmiechnął się złośliwie i rozparł w fotelu. Ojciec Herbst pomyślał, że adwokaci to jednak zakała rodzaju ludzkiego i tworzą pewnie swój własny krąg w piekle.

– Wcześniej musimy publicznie otworzyć testament – ciągnął niezrażony mecenas. – O to przecież poszło. Baronowa była pewna, że zaczniecie się kłócić, może dojdzie do rękoczynów, liczyła na jakąś bijatykę... Już ta śmierć biednego pana Zenona mnie zaskoczyła... jednak to było całkowicie naturalne. Najzwyklejszy zawał, najzwyklejszy, jak nas zapewnił doktor Maj, którego specjalnie z Poznania sprowadziłem. Ale przyznam, że dwóch zabójstw się nie spodziewałem. Baronowa też, oczywiście.

– Zatem nie wie pan o nas wszystkiego. I baronowa też nie była taką znawczynią dusz ludzkich, jak sobie uroiła. Dowie się pan w swoim czasie, a teraz zadam panu kilka pytań. Proszę je potraktować jako ćwiczenie, bo jeszcze wielokrotnie je pan usłyszy.

– Nasza policja...

– Wiem, wiem. Tyle że sąd aż tak leniwy i głupi nie będzie. Po pierwsze, po co właściwie zakładaliście teczki? Z nudy? Z ciekawości?

Mecenas nagle udał, że zaciekawił go widok za oknem.

– Baronowa zastanawiała się, komu zapisać majątek – odpowiedział dopiero po dłuższej chwili. – Tego ojciec się domyślił sam. To całkiem normalne, że zbierała o was informacje. Chciała wiedzieć, komu warto przekazać spadek, a kto prowadzi się niemoralnie i roztrwoni jej pieniądze. Na początku teczek było dużo więcej. Moja chlebodawczyni podeszła do sprawy profesjonalnie. Ja zbierałem informacje, ona segregowała. To była dla niej miła rozrywka, odskocznia od choroby. Kupowała nowe teczki, zmieniała kolejność, tworzyła skoroszyty i spisy treści... Sprawiało jej to przyjemność. Dlatego uważałem, że moje zlecenie nie jest – jak podsumował ojciec – niemoralne, ale wręcz przeciwnie, daje radość i spełnienie starszej osobie...

Mina Herbsta odpowiedziała mecenasowi, że nieboszczka powinna była raczej zająć

się datkami na biedne sieroty albo powiększyć hodowlę kotów o kolejne egzemplarze.

– Nikt z nas nie wie, jak będzie wyglądała jego starość, jakimi krętymi ścieżkami podąży jego umysł – obwieścił filozoficznie Wasilewski. Czuł się coraz pewniej, zadowolony z linii obrony i wizji własnej osoby jako szlachetnego towarzysza jesieni życia baronowej.

– Zbyt łatwo oceniamy, nie mając wglądu w duszę naszego bliźniego... No dobrze, dobrze, niech już ojciec tak nie patrzy.

Przerwał na chwilę i wyciągnął fajkę.

– Osób typowanych do spadku było więcej – dodał. – Teczki osób, które... powiedzmy, że nie przeszły do finału, zniszczyłem.

Herbst pokręcił głową z niesmakiem.

– Brawo. Teraz drugie pytanie. Czy fakt, że przyjedzie pan później, niż zapowiadano, był wcześniej umówiony?

– Oczywiście dostali państwo czas, żeby się pokłócić. Niestety, baronowa nie mogła przewidzieć, że zanim sama odbierze sobie życie, ktoś ją w tym wyręczy. Pałac od świata odetnie burza śnieżna, telefony zostaną wyłączone... Spóźniłem się więc znacznie bardziej, a państwo... cóż, zrobili więcej, niż baronowa sobie życzyła. Dwoje nieboszczyków... któż by się spodziewał... Dowiedzieliśmy się o was wiele złego, ale okazaliście się dużo gorsi! Dlaczego? I powiem szczerze, że postawiłbym na kogoś zupełnie innego.

Ojciec Aleksander wstał. Nie miał ochoty opowiadać wszystkiego.

– Niech pan sobie wydedukuje na podstawie zawartości teczek – powiedział zgryźliwie.
– Chodźmy już.

– Tak, dobrze byłoby niezwłocznie... – Mecenas znów wydawał się trochę zakłopotany. Ale tylko trochę.

Zawiesił głos. Zakonnik posłał mu pytające spojrzenie.

– A dobrze, spróbuję. Myślę, że z całego grona najbardziej prawdopodobnym zabójcą jest ten, kto już raz zabił. Oczywiście nikt mu nie udowodnił, ale... – Wasilewski w tej samej chwili uświadomił sobie, że niepotrzebnie to powiedział. Herbst popatrzył na niego spokojnie, bez słowa otworzył drzwi i gestem zaprosił do wyjścia. Mijając zakonnika w progu, mecenas poczuł dziwny chłód. Jakby ktoś otworzył okno. Zerknął na pełną blizn rękę Herbstą. Wyglądała gorzej niż na fotografiach. Znacznie. Poczuł się naprawdę nieswojo. Odczyta testament i szybko wróci do domu z Anielą. Tak robi.

Zakonnik szedł za nim przez ciemny korytarz, a doktor praw odczuwał piekącą obawę, że dostanie tęym narzędziem w głowę. Albo przynajmniej w ucho.

Udali się do salonu, gdzie czekali już pozostali goście.

KWADRANS PRZED DZIESIĄTĄ WIECZOREM

W salonie panowała atmosfera nie tyle wyczekiwania, ile raczej nadziei, że cała sprawa jak najszybciej się skończy. Ciotka Wanda stała z boku i obserwowała wszystkich spod półprzymkniętych powiek. Czuła, że naprawdę boli ją serce.

Nikt by nie pomyślał, że ostatecznie nic mnie już nie obchodzi ten przeklęty testament.

Kto dostanie ten okropny pałac i te wielkie pieniądze. Może ciut mnie to interesuje, ale minimalnie... Tak, mam nadzieję, że spadkobierca wykaże się klasą i odwiezie nas na dworzec. Wróć do domu, do kościoła pójdę, trzeba podziękować, że cało z tego wyszłam... Na mszę dam, za tych grzeszników... Jakie to smutne, że w ludziach tyle zła jest. W Bogu nadzieja, zwłaszcza w moim wieku, myślała Wanda, zajmując miejsce w fotelu, naprzeciw benedyktyna i możliwie daleko od innych. Nie chciała siedzieć ani przy Urszuli i jej córce z kotem na kolanach, ani przy fałszywej Rowińskiej. Helena była w spodniach. Należało się tego spodziewać.

Wanda westchnęła ciężko. Helena przesłała jej pokrzepiające spojrzenie. Jarecka odwróciła wzrok. Kolejna fałszywa przyjaciółka, agentka jedna. Może podwójna.

Kiedy jednak odwróciła się od Rowińskiej, napotkała ironiczne spojrzenie Urszuli. Ta jeszcze gorsza, bo tamci chyba chociaż patrioci, orzekła w myślach Wanda. Niby pisarka, artystka, a w gruncie rzeczy oszustka. Życie na kłamstwie zbudowane, nawet nazwiska własnego nie ma. Cała rodzina to oszuści, tylko Basia ma jeszcze szansę. Może kiedyś przestanie być taką dziwaczką.

A Basia siedziała przy oknie z Maurycym na kolanach. Było z tego miejsca widać, jak podwładni Nowaka przez zaśnieżony podjazd prowadzą do policyjnego samochodu Ninę i Ignacego. Dziewczyna szła spokojnie. Ignacy także, ale ze zwieszoną głową. Basia przypomniała sobie, że w kronice filmowej w kinie widziała podobną scenę. Para zbrodniarzy szła w kajdankach. Kobieta spokojnie, patrząc z niechęcią na otaczający tłum, pewna siebie i wyprostowana, mężczyzna śmiesznie wierzgając nogami, podtrzymywany przez trzech policjantów. Tutaj wszystko było znacznie bardziej zwyczajne. Nawet kajdanek im nie założono. Basia, choć współczuła, była trochę zawiedziona.

Pan Wasilewski wyjął okulary. Z teczki wyciągnął kopertę, a z niej ozdobny arkusz. Bez zbędnych wstępów zaczął czytać.

Będąc całkowicie zdrowa na umyśle i stosunkowo zdrowa na ciele, postanawiam, co następuje: cały swój majątek zapisuję temu nieudolnemu państwu, Rzeczypospolitej Polskiej. Pałac proszę sprzedać, a uzyskane środki przekazać na Fundusz Obrony Narodowej. Tak samo wszystkie lokaty bankowe, papiery wartościowe, przedmioty i dzieła sztuki. Nie wiem, czy będzie z tego jakiś pożytek, ale przynajmniej ja odejdę z czystym sumieniem.

Wyjątkiem jest kot Maurycy, którego zapisuję małoletniej Barbarze Klimt.

– A więc przyjechałyśmy tutaj po kota. Pół Polski po starego kota. To w stylu ciotki – powiedziała głośno Urszula, przerywając mecenasowi.

– Na to wygląda – potwierdziła zadowolona Basia, drapiąc Maurycyego za uchem. Kot także wyglądał na ukontentowanego.

Wasilewski rzucił paniom surowe spojrzenie i wrócił do swoich urzędowych czynności.

Ma go zabrać do Warszawy i pokazać trochę świata. Zawsze miałam wyrzuty sumienia, że piękny rasowy pers skazany jest na żywot na głębokiej prowincji, gdzie nie ma kto docenić jego urody i bystrości. Matce małoletniej Barbary zapowiadam, że jeśli nie

zgodzi się na opiekę nad kotem, będzie tego żałować w każdą pochmurną noc, kiedy byle cień na ścianie przypomni jej nieszczęśliwą starą baronową, której ostatniej woli nie wypełniła.

– Grafomania. Wypełnię, wypełnię – mruknęła Urszula.

Adwokat na chwilę przerwał i lekko się wzdrygnął, bo zegar znów zaczął wygrywać Marsylianę.

Na wykonawców testamentu wyznaczam pana mecenasa Wasilewskiego oraz ojca Herbsta. Najpewniej nie polubiliście się panowie, ale tym lepiej. Przynajmniej szybko sprawę załatwicie, żeby nie przedłużać wzajemnych kontaktów.

Dziękuję za odwiedziny i zainteresowanie testamentem oraz losem starej ciotki. Nie jesteście zawiedzeni, prawda? Chyba się nie spodziewaliście, że komuś z was zapiszę pałac? Byłoby to niewychowawcze. Każdy powinien sam zarabiać na sobie. Albo przynajmniej poszukać sobie odpowiedniego męża.

Mam nadzieję, że mojej śmierci towarzyszyły interesujące wydarzenia oraz burzliwe emocje. Umiera się w końcu tylko raz w życiu.

*Wasza kochająca ciotka
Wirydianna Korzycka*

Spis treści

Piątek, 30 grudnia 1938

Zbąszyń

Janowiec, wpół do ósmej wieczorem

Janowiec, w nocy

Janowiec, siódma rano

Janowiec, ósma rano

Janowiec, wpół do drugiej po południu